

A woman with long, wavy blonde hair is shown in profile, looking down at a red apple she is holding in her hands. She is wearing a dark, possibly black, dress. The background is a soft-focus field of golden wheat under a bright, warm light, suggesting a sunrise or sunset. The overall mood is contemplative and serene.

Natalia
Rogińska

Pokalane poczęcia

Początki życia
absolutnie niezgodne
z idealnymi wyobrażeniami.

A jednak z tych historii
wynika coś dobrego –
nowe, kielkujące życie.



Prószyński i S-ka

Natalia
Rogińska

Pokalane
poczęcia

Prószyński i S-ka

Ireneusz

W grafiku Cipki zapisane są co trzydzieści minut – to optymalny czas wizyty, żeby każda czuła się usatysfakcjonowana. Prawdę mówiąc, okrajając wizytę ze wszystkich tych uprzejmości, delikatności, akuracności, wystarczyłoby góra pięć minut, no ale klientka prywatnego gabinetu musiała wyjść z niego dopieszczona. A ja miałem czas, więc je pieściłem. W rękawiczkach z lateksu, za pomocą wziernika, głowicy USG, no i oralnie – to znaczy słowem, oczywiście.

Lubię tu pracować. To miła odskocznia od izby przyjęć szpitala powiatowego, w której warunki lokalowe nie zmieniły się od czasów głębokiej komuny. Niektóre zakątki wciąż nie doczekały się remontu, ściany obmalowane musztardową emalią, na podłodze przetarte linoleum. Fotel ginekologiczny wygląda tak, jakby jego przeznaczeniem było skrępowanie kobiety do zabaw w stylu sadomaso, a narzędzia – metalowe wzierniki, szczypce i hegary, brzęczały złowrogo, ilekroć odkładałem je do blaszanej nerki. Remont planowany jest na początek przyszłego roku, ale pacjentki w potrzebie nie czekają na remont, tylko przychodzą tłumnie, bo nie mają wyjścia albo naprawdę ufają, że w tych murach pracuje personel z najwyższej półki.

A tutaj – zupełnie co innego.

Gabinet przy Chmielnej jest luksusowy. W oknach storczyki, na ścianach przyjazny pudrowy róż, wszystko do siebie pasuje, zero przypadkowości. Nawet mnie ubrali w fartuch w zupełnie niemęskim kolorze, żebym należycie komponował się z wystrojem. W sumie nie miałem oporów, żeby go założyć. Róż nie przeszkadza mi być przesiąkniętym testosteronem samcem, z powalającym spojrzeniem, wczorajszym zarostem, przerośniętym mięsem pod skórą. Ciacho-macho.

Pracuję w tym różowym miejscu od szesnastej, zarabiając przyzwoitą stawkę netto na godzinę, dorabiając do szpitalnego etatu. Nie robię tu nic intelektualnie porywającego, świata nie zbawiam, nauki nie popycham do przodu, ale to też medycyna, to też babki potrzebujące pomocy, niejednokrotnie takiej, której państwowy system opieki zdrowotnej dla nich nie przewidział.

Przy Chmielnej pozornie nuda, a jednak między poradą antykoncepcyjną, świadem sromu, cytologią i ciążą fizjologiczną, która właściwie mogłaby prowadzić się sama, coś mnie tu czasem zaskakuje, zadziwia, zatrważa.

Greta, 32 lata

Otwiera dzisiejszą listę pacjentek.

Moja koleżanka-bardziej-niż-dobra, a do tego – koleżanka po fachu.

Pierwsza miesiączka w wieku czternastu lat, cykle zwykle trzydziestodwudniowe, miesiączki bolesne, krwawienia trwają pięć do siedmiu dni, dotychczasowy wywiad bez przygód ginekologiczno-położniczych. Dziesięć lat antykoncepcji hormonalnej, z przerwami.

Aktualnie ona i jej partner Szymon starają się o dziecko. Zaczynają się niecierpliwić. Gdy chce się ciąży, cykle dłużą się niemiłosiernie, każda owulacja przynosi nadzieję, a miesiączka rozczarowanie. Greta chyba nie dowierza, że owuluje, choć wszystkie znaki na niebie i ziemi na to wskazują. Umówiliśmy się na podglądanie pęcherzyka jajowego w środku cyklu, gdy jej ciało niemal krzyczało: Jestem płodna! Zapłodnij mnie!

Może bym jej pomógł, ale technicznie rzecz biorąc – jest to niemożliwe. Trzy lata temu na własne życzenie bezpowrotnie pozbawiłem się zdolności płodzenia. Jedyne, co mogę dla niej zrobić, to sprawdzić, jak wyglądają te jej pęcherzyki.

Pewnie kiedy usłyszy, że właśnie ma owulację, ucieknie z gabinetu, popędzi do Szymona i będą się dziko pieprzyć. Dopadnie go nawet na końcu świata, choć akurat w jego przypadku to dość niefortunna metafora, bo rzeczywiście bywał na końcu świata, każdym możliwym. Teraz chyba nie szykuje się już do żadnej podróży, oczywiście nie licząc rodzicielstwa. Oj, tak... Wraz z pojawieniem się dziecka niewątpliwie czeka go podróż, chyba najbardziej przesrana w życiu...

Greta od progu uprzedziła, że przyszła prosto z całodobowego, intensywnego dyżuru. Nie zdążyła wziąć prysznicza i zanim się rozkraczy (dokładnie takich słów użyła), musi koniecznie skorzystać z bidetu.

– Jak to możliwe, że dyżury na dermatologii są intensywne? – Nie kryłem zdziwienia. – Intensywnie to jest na ostrym dyżurze, na porodówkach, ale na dermatologii?

– Obrzęk Quinckego i pęcherzyca przed północą, a po północy pacjentka z toksyczną nekrolizą naskórka, którą w końcu przejął OIOM – wielka kumulacja! – Powiedziała Greta na jednym tchu. – I to właśnie powód, dla którego ledwo żyję i śmierdę!

– Koleżanko! Taki tryb pracy nie sprzyja zdrowym cyklom... – westchnąłem i dałem jej chwilę na przygotowanie się do badania.

Sprężysta jak nigdy. Za czasów studenckich była jedną z klusek; zagryzała stresy sesji wafelkami, a w przerwie między zajęciami pochłaniała fastfoody. Ta i tamta Greta to fizycznie dwie różne osoby. Sportowa wersja znacznie bardziej mi się podoba, chociaż wtedy, na studiach, dziesięć kilogramów grubszą, też bym ją chętnie...

Kilka razy próbowałem nawet się do niej przystawiać – bezskutecznie. Ciągle była wpatrzona w tego Szymona. Nie lubiłem palanta. Greta jako jedyna nie widziała w nim buraka, którym bez wątpienia był. No, może trochę się zmienił, ale na tamten czas tak właśnie go postrzegałem.

Greta. Ciekawe, czy to przez niego się cięła? Zastanawiały mnie blizny, które kryła pod bransoletkami, ale nigdy o nie nie spytałem. Nie znałem jej mrocznej strony, zresztą – nie poznałem jej od wielu stron, od których chciałbym ją poznać. Ma ładne usta. Pewnie dobrze obciąga. I doskonały tyłek. Pewnie jeszcze lepiej prezentowałyby się w szortach albo przytulony do moich bioder...

Rozkraczyła się.

OK, skupmy się na pracy.

Włożyłem sondę do pochwy, żeby sprawdzić, zgodnie z życzeniem Grety, w jakiej fazie jest jej cykl.

Trajkotała coś o śluzie i temperaturze i że Szymon doktorat zrobił, że chyba sobie kupią psa, a ona już wie, jak wygospodaruje pokój dla dziecka na tych ich pięćdziesięciu dwóch metrach, a ja podziwiałem jej cipkę. Śliczna była, nawet z niewielkim nadmiarem przyszyrzonych włosów.

– Ej, ty, Skrobak, powiedz mi, czy sport koliduje ze staraniem się o dziecko? – Z jej nudnego słowotoku wychwyciłem skierowane do mnie pytanie.

– Patrząc na twoje ciało, śmiem przypuszczać, że sport uprawiasz niemalże wyczynowo.

Klepnąłem ją w muskularne udo i oparłem głowicę USG o sklepienie jej pochwy.

– Auuu! – zawołała.

– Sorry. – Cofnąłem głowicę.

Ale ona wrażliwa. Kręci mnie to!

– Wszystkie swoje pacjentki traktujesz tak brutalnie?

– Nie. Tylko ciebie! – Uśmiechnąłem się. – A jeśli chodzi o sport i intensywne dyżurowanie – mogą zaburzać owulację, ale dopóki owulujesz, możesz zajść w ciążę, a jak już zajdziesz, to się zastanowimy, co z tym sportem i dyżurowaniem zrobić. No wiesz, tak żeby organizm za bardzo się nie zdziwił ilością zmian: ciąża i jeszcze dupcia rozpląszczona na kanapie, zamiast codziennego joggingu... Hmm... – zawiesiłem głos.

– Co „hmm”?

To jest ten moment, gdy wszystko jest wesoło, na luzie, po koleżeńsku, a sprawy wcale nie mają się dobrze. Nagle trzeba zmienić ton dyskusji z żartobliwego na poważny. Śmiertelnie poważny. Nawet o seksie przestałem myśleć.

– Cholera, Greta...

– Ależ ty dziś profesjonalny... – rzuciła. – Nie dość, że bijesz mnie po nodze, to jeszcze przeklinasz!

– Ten twój pęcherzyk, którego szukamy, to... Tu jest gigantyczna torbiel z jakimiś farfocłami w środku.

– Może to ciąża?

– Nie! Za kogo ty mnie masz? Rozpoznałbym struktury zarodka... To siedzi w jajniku, nie w macicy...

– O, rety. Może pozamaciczna? – zgadywała Greta.

Nienawidzę pacjentek z branży.

– Cicho. To nie zarodek. Wygląda... Hmm. O sporcie i tej całej ciąży pomyślimy za jakiś czas, na pewno później. Bo teraz...

– Jak to później? Ja nie mam czasu na odkładanie ciąży na później! Jestem już stara!

– Teraz, kochana, myśl o sobie i o swoim zdrowiu. W tym jajniku może siedzieć rak, więc skup się na tym, co mówię! – Potraktowałam ją brutalnie, nigdy nie zwróciłbym się tak do pacjentki, która nie jest lekarką i moją koleżanką. Moja brutalność natychmiast odbiła się na mimice Greta. – Musimy cię zoperować – dodałem, już grzeczniej. – Musimy to usunąć i oddać do badania histopatologicznego. – Wyraźnie posmutniała. Była zdezorientowana. Odgadując jej emocje, zadeklarowałem: – Postaram się wcisnąć cię w kolejkę do zabiegu w miarę szybko, żeby wam się nie dłużyło...

Torbiel w jajniku Greta.

O, rety...

Michalina, 35 lat

Pierwsza miesiączka w wieku jedenastu lat, cykle sztuczne, na tabletkach antykoncepcyjnych, wcześniej regularne co dwadzieścia sześć–dwadzieścia osiem dni, krwawienia skąpe, trzy-, czterodniowe, bla, bla, bla, jakiś medyczny bełkot, nikomu niepotrzebny. Po co ja w ogóle pytam te wszystkie Cipy o takie pierdoły?

Ziewnąłem, wertując papiery.

Wywiad rodzinny: rak piersi u mamy, implanty piersi u siostry. Obie – mama i siostra, też bywają w moim gabinecie, od czasu do czasu. Cały świat zna siostrę Michaliny – Roxy. Była moją faworytką w talent-show, nawet SMS na nią wysłałem, gdy zaśpiewała *Titanium*, tak że telewizor mi się trząsł, a penis stawał. W kolejnym etapie porwała się na *I will always love you* i jak można było przewidzieć, poniosła klęskę. Piersi zrobiła sobie tuż po przegranej w programie, u progu prawdziwej kariery.

Zajebiste cycki. Po prostu miodzio. Trochę ją podrywałem, jak tu przychodziła, ale była tak kurewsko nadęta i niedostępna, że sobie odpuściłem. Mama też niczego sobie. Taka starsza pani, przy której bez problemu mógłbym się podniecić na tyle, żeby był między nami dobry seks. Niezłe geny mają te dziewczyny.

Sama Michaśka to korporacyjna wyjadaczka. Ciekawe, jak wysoko uda się jej wspiąć po drabinie kariery w takich niewygodnych butach. Była ubrana na pewno nieprzypadkowo i bardzo kolorowo, nawet jej makijaż jakby wyszedł spod profesjonalnej ręki, a nie był robiony byle jak przed lustrem. Tylko włosy miała jakieś takie nietwarzowe, krótkie. Ostatnio, jak przyszła dobrać antykoncepcję, miała długie włosy, bardzo ładne, aż chciałoby się ciągnąć za związany kucyk podczas ostrego seksu od tyłu. A teraz taka nieszczególna ta fryzura. Nie ma za co złapać. Szkoda. Cycków też ma mało. Też szkoda.

I coś mi opowiada, że podejrzewa ciążę.

– U kogo? – Naprawdę się zdziwiłem.

– Jak to u kogo?? U mnie!

Przejrzałem kartę raz jeszcze, żeby się upewnić, czy na pewno to ta sama osoba. Świtało mi, że ostatnio dopytywała, czy tabletki są na sto procent skuteczne, czy jest możliwość, żeby na nich jednak przypadkiem zaszała, co to właściwie jest ten wskaźnik Pearl'a i czym jest spowodowany ułamek procenta niepewności... „Błędem przyjmowania. Czasem ciążę naprawdę zaskakują i pojawiają się nawet u ludzi wysterylizowanych, więc ciężko mówić o stuprocentowej pewności jakiegokolwiek metody antykoncepcyjnej”, powiedziałem wtedy, a Michalina wydawała się usatysfakcjonowana tą odpowiedzią.

Teraz twierdzi, że znalazła się w tym ułamku procenta! No jak? W dodatku zero zaskoczenia na tej wytapetowanej buźce! Dwie różowe kreski na teście – przyniosła go nawet ze sobą.

Podejrzałem w komputerze ostatnie jej wizyty w gabinecie mojego kolegi – z informacji wynikało, że w międzyczasie wykonała komplet badań przedciążowych, tak jakby bardzo skrupulatnie przygotowywała się do wstąpienia w stan odmienny.

Nieco zmieszany sytuacją, zaprosiłem ją na fotel ginekologiczny. Czasem sobie myślę, że zupełnie nie kumam kobiet, a im głębiej je studiuję, tym głębsza jest moja niewiedza.

– Niespodzianka! Tak jak pani przypuszczała, jest pani w ciąży! – powiedziałem entuzjastycznie, sondując jej reakcję. – Powinna pani natychmiast odstawić tabletki, jeśli jeszcze pani tego nie zrobiła przed tym niespodziewanym i nieplanowanym zajściem w ciążę – dodałem z przekąsem, a Michalina uśmiechała się wymownie. – Co na to tatuś? – dolałem oliwy do ognia.

Wiem, co ja zrobiłbym na miejscu tatusia. Podał jej śniadanie do łóżka – bułkę z tabletkami wczesnoporonnymi. Głupia suka.

– Cóż, jest nieco bardziej zaskoczony niż ja – odparła sarkastycznie. – Jeśli któregoś razu przyjdziemy tu na wizytę razem... – Wyraźnie przypomniała mi o obowiązku zachowania tajemnicy lekarskiej. – Chyba się rozumiemy?

Czułem, że niebawem sprytna Michalina się przekona, iż nie wszystko w życiu jest tak różowe, jak dwie kreski na jej teście, sztuczny rumieniec na policzkach i mój gabinet. Zołza. Modliszka. Właśnie na okoliczność spotkania podobnej idiotki wykonałem wazektomię.

– Cóż, życzę wam powodzenia i zapraszam na kolejną wizytę za miesiąc – powiedziałem grzecznie i odprowadziłem wzorkiem jej zgrabną postać. – Proszę przypomnieć siostrze o cytologii, a mamie o mammografii!

Pierwsza miesiączka w wieku lat czternastu, aktualnie cykle regulowane antykoncepcją. Przyszła tu pierwszy raz, bo jej ginekolog z rejonowej przychodni jest na wakacjach, a jej się skończyły tabletki. Potrzebowała kilku opakowań na zapas, bo wyjeżdża z chłopakiem za granicę na wymianę studencką, a tam będzie miała problem z dostępem do hormonów. Za żadne skarby nie chce zmieniać antykoncepcji na inną, bo ta świetnie na nią działa i robi jej dobrze na wszystko – na cerę, włosy, na cykliczne bóle brzucha i humory.

Po ubiorze i oprawkach okularów widać, że dysponuje skromnym, studenckim budżetem. Wizyta w moim gabinecie to dla niej z pewnością znaczący wydatek.

– Mogła pani pójść do lekarza rodzinnego. Lekarz, który przepisuje pani kontynuację antykoncepcji, nie musi być ginekologiem – powiedziałem przyjaźnie.

– Pan też mnie do kogoś odsyła? No, powariował ten świat! – odparła z dużym ładunkiem emocji w głosie. – Właśnie wracam od swojego lekarza rodzinnego i byłam przekonana, że załatwię to bez problemu, a widzę, że nawet zapłacenie cholernych stu pięćdziesięciu złotych za wizytę niczego nie gwarantuje!

– Spokojnie! Kobie... Dziewczyno! – Zmniejszyłem dystans między nami, na co zareagowała tylko rumieńcem speszenia. A może wzburzenia? – Czy ja powiedziałem, że nie wypiszę tych hormonów? A dokąd jedziecie na tę wymianę?

Do Madrytu. Studiuje psychologię i filozofię jednocześnie. Bardzo się kochają z tym jej chłopakiem i planują razem zamieszkać w Hiszpanii. Tak na próbę. Jeśli im wyjdzie i przetrwają współdzielenie łazienki i obowiązków, po powrocie pomyślą, żeby wynająć razem kawalerkę. Interesują ją podróże. Potrafi też śpiewać, ma za sobą kilka występów przed kameralną kawiarnianą publicznością. Ale na razie występy estradowe odłożyła, bo postanowiła spróbować studenckiej czasowej emigracji.

Rozgadała się, poczuła swobodę – moja magia działa, ha! Nawet na małolaty!

– Ale do śpiewania wrócę – zarzekała się. – Zawsze marzyłam, żeby choć raz zawładnąć wielką sceną, i z pewnością to zrealizuję...

Marzenia o karierze stanowią tło dla intensywnej edukacji i na dziecko nie ma teraz w jej życiu miejsca. Ale na seks – owszem. Fajna jest. Taka świeżutka, milutka, z zadartym noskiem. Chodząca dziesiąteczka. Gdyby tylko zdjęła te bryle i ubrała się jakoś bardziej kobieco, a nie te bezkształtne ogrodniczki, unisex, oversize... O kurczę, jak ja dawno nie miałem w łóżku dwudziestki...

– A na ile jedziecie?

– Na pół roku.

Wyszła z receptami na sześć opakowań. Dostała też dwa w gratisie – próbki od producenta. Może chociaż częściowo zwrócą się jej koszty tej niepotrzebnej wizyty.

Honorata, 24 lata

Pierwsza miesiączka w piętnastym roku życia. Nic nie może powiedzieć o swoich cyklach poza tym, że z pewnością owuluje. Ostatnią miesiączkę miała ponad cztery lata temu. Urodziła czwórkę dzieci. Sama wygląda jak dziecko, a tu proszę – mamuśka!

– Jestem w ciąży. W piątej – oznajmiła od progu. – Jestem pewna i przerażona. – W piątej? Taka młoda w piątej ciąży! Mam nadzieję, że nie zachodzi w ciążę od kontaktu wzrokowego, bo właśnie dyskretnie rozbierałem ją wzrokiem. O dziwo kręciło mnie to jej wielokrotne macierzyństwo. – Czy to prawda, że pan przerywa ciążę? – spytała reporterskim tonem. Zastrzeżenie. Prowokacja dziennikarska czy

kobieta w potrzebie? – Mam czworo dzieci, w tym jedno chore. Jeśli będę musiała zostać matką po raz kolejny, zwariuję – obiecała. – Nie dam rady. Nie mogę. Oszaleję na pewno!

To są te momenty, w których lekarz powinien działać zgodnie z prawem, a nie z własnym sumieniem. Powinien. Chciałbym powiedzieć tej kobiecie: OK, zakładam, że pani wie, co chce zrobić. Pogadajmy o tym, rozważmy różne opcje. Powinienem powiedzieć jej, żeby poszła do domu, a jeśli nazajutrz nadal będzie pewna swojej decyzji, żeby do mnie wróciła. Chciałbym po prostu móc to zrobić, bo to prosta procedura. Chciałbym tak.

Prawo jednak mi nie pozwala. Co nie znaczy, że go przestrzegam.

Miałem już do czynienia z dziennikarką udającą pacjentkę. Wyczułem ją, szczęśliwie, ale ja generalnie mam nosa do kobiet. Powiedziała, że na mieście mówią, że skrobię. Była taka pewna siebie i co chwilę grzebała w torebce, nagrywanie pewnie włączała. Była nienaturalna i zdenerwowana, ale inaczej niż kobieta przychodząca po aborcję. Ta po prostu łaknęła sensacji.

– To insynuacje – odparłem. – Fakt, że mam na nazwisko Skrobak, nie oznacza jeszcze, że skrobię.

– Ale słyszałam od koleżanki...

– Tak?

– Że pan to robi.

– Tak naprawdę o wiele bardziej pasowałoby do mnie Jebak, proszę pani – zażyłem małpę, która próbowała nadziać mnie na minę. – Tak. Dobrze pani słyszała. Jebak – powtórzyłem, widząc konsternację na jej twarzy. – Wyskrobać mi się nie zdarzyło, ale wyjechać – owszem! – Wybałuszyła oczy ze zdziwienia i znów zaczęła majstrować w torebce. – Na przykład wyjechać z gabinetu! – ryknąłem, pokazując jej drzwi.

Nie było z tego żadnej sensacji, nigdzie nikt mnie nie obsmarował, nie odwiedził mnie prokurator, nie miałem żadnych kontroli, ale przez następnych kilka miesięcy wyostrzyłem swoją czujność.

Czy ta tutaj też jest miną? Siedziała taka przestraszona. Przez cienki materiał jej bluzki przebijały wkładki laktacyjne. Oczy miała podkrążone, ciało strasznie chude, ale wciąż miłe.

– Tutaj mam tysiąc złotych. Na początek. Resztę zorganizuję po zabiegu. Obiecuję – powiedziało dziewczątko, matkujące czwórce dzieci. Czy mnie wrabia? – Bóg mi świadkiem – dodała – robię to dla swoich dzieci, tych, które już mam... – Wrabia mnie. – Mój mąż pragnie tego dziecka, ale on jest marzycielem i ma wizję rodziny, na którą nie stać nas finansowo, a mnie nie stać fizycznie... – Nie, nie wrabia mnie. – Jestem zdesperowana. Jeśli pan mi nie pomoże, to... – Wrabia mnie. – Muszę to zrobić. Chcę to zrobić. Błagam pana. – Nie wrabia mnie. – Miej pan litość!

Wrabia mnie.

Spuściła głowę. Zawsze miałem słabość do dobieranych warkoczy.

– Pani zabierze tę kasę – szepnąłem. – Pomogę pani.

Po jej policzkach pociekły łzy.

Łzy nieszczęścia.

Hanna, 25 lat

Pierwsza miesiączka – nie pamięta. Cykle regularne, dwudziestoosmiodniowe, krwawienia średnio obfite, czterodniowe, nuda. Trzy ciąży w wywiadzie, w tym, o, tu już nieco ciekawiej, jedna usunięta farmakologicznie. Taka swojska dziewczyna – Jagna, stawiam, że kucharka albo przedszkolanka. Ma dwoje zdrowych dzieci i sama wydawała się być zdrowa na ciele i na umyśle, do czasu, gdy

przedstawiła mi swoje plany.

– Chcę zostać surogatką. – powiedziała zupełnie niewzruszonym głosem, podobnym do wcześniejszych komunikatów o cyklach, ciążach i aborcji. – Przyszłam zrobić badania przed pierwszą w życiu bardzo, bardzo dobrze zaplanowaną ciążą. Bo te poprzednie były zupełnie nieplanowane.

– OK – odparłem, zupełnie zbity z tropu. – Technicznie... Technicznie powinna pani zrobić dokładnie te same badania, które robiła pani przed każdą poprzednią ciążą.

– Przed poprzednimi ciążami nie robiłam żadnych badań. Nawet w trakcie nie robiłam wszystkich, a mam zdrowe dzieci. Ale teraz biologiczna matka mi kazała i ten jej lekarz od rozmnażania nalegał...

– Rozumiem – zapewniłem, choć prawdę mówiąc, nie rozumiałem. – Czy... jest pani pewna?

– No, muszę zrobić te badania. Wprawdzie nienawidzę igieł i pobierania krwi. Ja sama to nie widzę potrzeby, żeby się badać, bo generalnie jestem zdrowa, no ale skoro każą i płacą...

– Nie o to pytam. Chodzi mi o surogację. Czy jest pani pewna tej decyzji?

– Tak, oczywiście. Pani Adriana prosiła mnie, żebym przyniosła wyniki badań do kliniki, w której to zrobimy. – Oparła się o oparcie fotela, wydawała się zrelaksowana. – Ładnie tu, tak różowo, nie dziwię się, że pani Adriana wybrała to miejsce... Tam, gdzie chodziłam z poprzednimi ciążami, było obskurnie. Ale przecież najważniejsze jest zdrowie dziecka i bezpieczeństwo, a nie kolor ścian, prawda? – rzucała truizmami. Nachyliła się nad moim biurkiem i wręczyła mi kartkę. – Tutaj mam listę badań. Muszę je wszystkie zrobić.

Cycki miała fajne, takie pełne, różowe, wylewające się z dekoltu, ale nie zerkiałem zbyt nachalnie, udawałem, że czytam, choć dobrze wiedziałem, jakie są wytyczne dotyczące badań przed ciążą.

– Nie boi się pani?

– Pobrania krwi? Jak cholera!

– Pytałam o surogację...

Dziewczyna podniosła na mnie przesłiczne wielkie oczy w ciemnej oprawie i bez wahania rozwiązała moje wątpliwości:

– Widzi pan doktor, w życiu powinniśmy robić to, do czego jesteśmy stworzeni, co kochamy i co nam dobrze wychodzi, prawda? Tak się składa, że jestem w tym dobra. Uwielbiam być w ciąży, a aktualnie mam wolny brzuch. Do tego bardzo łatwo zachodzę w ciążę – mówiła bez większego przejęcia, ale przez jej słowa przebijała duma z biologicznej sprawności ciała. – No i potrzebuję pieniędzy – przyznała wreszcie. – Och, w tym gabinecie jest naprawdę ładnie! Już się nie mogę doczekać, aż będę prowadzić tu swoją ciążę, to znaczy... ciążę pani Adriany.

– A kto będzie ojcem?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Jakiś anonimowy dawca. Z katalogu.

Anonimowy dawca.

Może ja?

Zofia, 27 lat

Pierwsza miesiączka w wieku jedenastu lat. Miesiączkuje regularnie, co dwadzieścia osiem dni, krwawienia skąpe, w przeciwieństwie do owłosienia, które hodowała na całym ciele, z pachami i kroczem włącznie. Dawno już nie widziałem takich kędziorów u młodej dziewczyny.

Ostatnia miesiączka pierwszego sierpnia, a teraz ciąża i trzecia wizyta z tej okazji.

Przyszła z facetem, więc byłem bardziej niż powściągliwy. Nie mogłem pozwolić sobie na żaden flirt

ani inne formy molestowania, zresztą – mimo że ładna, naturalistyczny urodzaj włosów na jej ciele całkowicie mnie odstraszał.

Dziewczyna ekstatycznie reagowała na swoją ciążę, wszelkie symptomy płynące z jej ciała opisywała mi językiem niemalże poetyckim. Ciąża przybliżyła ją do natury, dzięki niej na nowo nawiązywała kontakt ze swoim ciałem, rozwinęła ją metafizycznie. Do tego czuje ruchy.

– Jak to? W dziesiątym tygodniu? To niemożliwe, żeby czuć ruchy płodu tak wcześnie.

– Nie płodu! Kosmosu – odparła całkiem serio.

Odbiło jej.

Ten jej facet siedział i chował mimikę pod obleśną brodą, w której dostrzegłem jakiś kawałek zieleniny, najpewniej kiełek słonecznika.

Dziewczyna miała wylistowane pytania, na które cierpliwie udzielałem wyczerpujących odpowiedzi. Tym razem się przyłożyłem, bo już raz dostałem uwagę od przełożonych, że ta sama pacjentka wyszła nieusatysfakcjonowana z ostatniej wizyty, gdyż nie poświęciłem należytej uwagi, by rozwiązać jej wątpliwości z pierwszego trymestru, i nie widziałem potrzeby, żeby oglądać ją i jej lokatora w brzuchu z częstotliwością większą niż raz w miesiącu.

– Słucham – starałem się brzmieć zachęcająco.

Wzięła głęboki oddech i zaczęliśmy omawiać długą listę rzeczy dozwolonych w ciąży.

Można pić herbatę, ale niekoniecznie zieloną.

Można trzymać dietę wegetariańską, a nawet wegańską, o ile jest dobrze zbilansowana i nie ma w niej deficytów białka, żelaza oraz innych minerałów.

Można uprawiać seks, a orgazm nie szkodzi dziecku, nie ma też ryzyka, że nasienie przedostanie się do worka owodniowego ani że płód je wchłonie.

Można klękać, można kucać, można unosić ręce.

Można jeździć na rowerze, pływać w basenie i biegać, byle unikać urazów, wywrotek i przyjmować pozycję swobodną, nieuciskającą rosnącego brzucha.

Można chodzić do kina.

Można korzystać z elektroniki.

Można używać suszarki do włosów i mikrofalówki.

Można, można, można.

Ile ona gadała!

Nie zadała standardowych pytań o ser pleśniowy czy owoce morza, no ale jako weganka nie potrzebowała tych informacji. Nie spytała też o depilację woskiem ani laserem. Ciężarne chętnie o to pytają, ale jej widocznie ten temat nie dotyczył.

Generalnie lubię kobiety. Różne. Rozhamowane starsze panie, nieciekawe kujonice, frywolne trzpiotki, wyuzdane prowokatorki, no ale ta... Nie polubiłbym jej, nawet gdyby się ogoliła i zamilkła.

Majka, 26 lat

Pierwsza miesiączka w wieku dziesięciu lat. Cykle regularne, od dwudziestu jeden do trzydziestu pięciu dni, krwawienia obfite, mhm, mhm, pośladki jak brzoskwinki, cycki nastoletniej jędrności, nieproporcjonalnie długie nogi i subtelna uroda. Dawno nie widziałem takiej laski. Rany boskie, boska! Moja koleżanka z medycyny, Beatka-wariatka, mi ją przysłała, że niby ma problem z natury tych dyskretnych.

Maja pracuje jako księgowka w pewnej rodzinnej firmie i nosi w brzuchu spoiwo łączące ją z tą wielką, prawą i tradycyjną rodziną z zasadami.

Rozwiązywanie problemów z polecenia znajomych to moja specjalność. Małe ryzyko nieporozumienia i komplikacji prokuratorskich, sto procent dyskrecji z obu stron. Kobieta przychodzi, ja serwuję jej leki, odsyłam do domu pod opieką męża, kochanka, matki albo przyjaciółki, a w razie problemów zgłasza się na izbę przyjęć z „poronieniem spontanicznym”. Dziewczyny rzadko potrzebują zabiegu, rzadko miewają powikłania, pewnie zdarza się, że mają psychiczną traumę, ale zazwyczaj nie większą niż ta, z którą przychodzą do mnie po pomoc.

Czasem wracają po jakimś czasie z ciążą planowaną, z prośbą o założenie spirali albo z kolejną wpadką do usunięcia. Rozmawiam, przedstawiam możliwości, nigdy nie oceniam ich ostatecznej decyzji. Wolę mieć na sumieniu przerwana ciążę niż przesrane życie malucha, którego mama z całego serca nie chciała urodzić.

Ta ekstremalnie atrakcyjna laska, Majka, przyszła z Olafem, mężem Beaty. Nie mogłem się nadziwić, jak udało mu się wyrwać tak zajebistą dupę. Na łysinę? Na tę jego krępą, brzuchatą sylwetkę? Na okulary retro? Ja pierdzielę, laska dziesięć na dziesięć, świat stanął na głowie! Czy ona jest ślepa? Mogłaby mieć każdego! Mogłaby mieć mnie...

Jest w ciąży. I to jest problem, o którym mówiła świętojebliwa Beatka. Pytanie tylko: czyj to problem? Beata wydawała się dużo bardziej przejęta, gdy anonsowała mi temat ciąży kochanki swojego męża, niż ta, która tę ciążę nosiła.

Olaf był milczący i w trakcie całej wizyty obecny zaledwie ciałem, a gdy tylko przyszło do badania, również ciało wyprowadził za drzwi gabinetu.

Beaty bym nie bzyknął. NEVER. Ale tę tutaj... Nawet ciąża nie działała na mnie odstraszająco. Świadomość, że coś w niej się rozwija, teoretycznie, z biologicznego punktu widzenia, powinno mi dać sygnał: ta macica jest już zajęta, rozglądaj się dalej! No ale mnie biologiczne punkty widzenia mało interesują. Jestem bezpłodny, na własne życzenie; wyeliminowałem rozmnażanie się z priorytetów w moim na wskroś hedonistycznym, słodko egoistycznym życiu.

Siedziała przede mną, a ja nie mogłem się oprzeć jej urokowi.

– Czy pani jest pewna? – zapytałem, a wtedy ona rozryczała się rzewnie.

Służę chusteczką, ramieniem, dobrym rżnięciem na pocieszenie ... Przytuliła się do mnie mocno i pierwszy raz w życiu poczułem, że silnym ramieniem podtrzymuję kogoś, kto pasuje do mnie doskonale.

– Ja nie chcę rozbijać ich małżeństwa, ale chyba nie chcę też pozbywać się tej ciąży – powiedziała po chwili, nieco uspokojona. – Czuję, że dam radę... Mama też wychowywała mnie samotnie... Nie wiem, nie wiem, co mam zrobić z tą ciążą... Beata uważa, że powinnam ją usunąć, dla dobra wszystkich. Ale tak naprawdę... Nie chcę być samotna, nie chcę być samotną matką, ale jeszcze bardziej nie chcę być samotną kobietą z taką decyzją na sumieniu...

– Samotne mamusie, jeśli są fajne, tak jak ty, nie muszą być samotne... – wybełkotałem. Naprawdę tak myślałem, nie tylko na potrzebę chwili i chęci wyrwania jej. Gdy już będzie tą matką, o ile się nie roztyje i nie zapaści, z pewnością seksapilu jej nie ubędzie. Taka rasowa „mother I would like to fuck” – MILF, z którejkolwiek strony patrzeć. – Mamusie też bywają hot – mówiłem z pełnym przekonaniem, mając w pamięci różne mamusie, które przewinęły się przez okładki gazet i przez moje łóżko. – Nie mają tego prokreacyjnego parcia, które odstręcza facetów od każdej ryczącej trzydziestki pragnącej tylko się rozmnożyć...

– Jasne, już widzę kolejki chętnych na randki ze mną i z moim rosnącym brzuchem.

– Proszę bardzo. Ustawiam się pierwszy i zapraszam cię na kawę, randkę, co tam chcesz. Możesz zabrać ze sobą swój rosnący brzuch, jeśli tak zdecydujesz.

Wiedziałem już, że doprowadzimy tę ciążę do końca. Niezależnie od tego, jak bardzo ucierpi na tym moja koleżanka Beata.

Spojrzała na mnie bardzo uważnie i przyjęła zaproszenie. Gdzieś tam na korytarzu siedział Olaf i ocierał pot z łysego czoła. Pewnie, jak to zwykle bywa z takimi palantami, sytuacja go przerosła.

– Uprzedzam jednak, że brzuch zostaje – zastrzegła Majka. – Choćby nie wiem jak perspektywiczna wydawała mi się nasza znajomość...

Przełknąłem ślinę. Na moje czoło wystąpił pot. Cóż. Postaram się sprostać sytuacji.

Greta i Szymon

Zgodnie z ulotką w razie wątpliwego wyniku testu należy zrobić drugi.

– Dzień dobry, poproszę drugi test – powiedziała Greta, stając przy okienku apteki całodobowej pięć minut po dwudziestej drugiej. – Ciężowy – dodała dla jasności.

– Drugi? – spytał farmaceuta. – To znaczy, że mam dać dwa, tak?

Nie chcąc wyjść na idiotkę, Greta potwierdziła, że oczywiście o dwa, a nie o drugi jej chodzi, choć chodziło o jeden – drugi. Taki dla potwierdzenia sytuacji niepewnej wynikającej z pierwszego.

– A chce pani taki za cztery czy za osiemnaście?

– Chcę pewny, wiarygodny.

I pozytywny!

– Za cztery czy za osiemnaście?

– A czym one właściwie się różnią?

– Fullwypasik z zakraplaczem i pojemniczkiem na mocz, za osiemnaście złotych, ma też miejsce na obudowie na wpisanie pamiętnej daty markerem, ma wysoką czułość, wykrywa ciążę około terminu przewidywanej miesiączki, a ten za cztery to dokładnie to samo, bez plastikowej obudowy, sam pasek z testem immunochromatograficznym, bez dodatkowych gadżetów, czułość nieco lepsza, podobno wykrywa ciążę już siódmego dnia po implantacji. Ale uwaga. – Farmaceuta wziął pierwszy wdech w trakcie tej przydługiej wypowiedzi. – Przy użyciu tego strumieniowego można sobie przypadkiem obsuszać paluszki, bo zbiorniczka też nie dają.

Mądrze brzmiał. Wyluzowany, trochę pokręcony, ale przyjazny gość. Fenotyp – zdecydowanie przyciągał Gretę. Prawdę mówiąc, trochę przypominał jej ukochanego. Miała słabość do tego typu urody. Twarz się uśmiechała, nawet gdy była poważna, ciepłe spojrzenie, a przy tym taka ośmielająca lekkość bytu. Wzbudzał zaufanie. Aż się chciało skonsultować z nim swoje wątpliwości.

Bo wynik porannego testu budził wątpliwość Grety. Zrobiła test zaledwie osiem dni po domniemanym zapłodnieniu. Trochę za wcześnie. No to teraz ma. Nosi ten test w torebce cały dzień i weryfikuje jego wątpliwość w różnym świetle. W jarzeniowym widziała jakiś mieniący się ślad w polu testowym, w świetle dziennym nic, potem pod słońce znów coś widziała, a kiedy patrzy pod kątem, to cień kreski jak po byku jest!

– Bo wie pan... – Westchnęła, zmęczona tym całodziennym patrzeniem na okienko testowe.

– Do brzegu koleżanko, do brzegu! – Farmaceuta skrócił dystans, ale też trochę poganiał. – Teraz jest tu spokojnie, ale lada chwila nadciągnie rzesza stałych nocnych klientów po igłę, strzykawkę, kondomy, środki wczesnoporonne albo działkę spod lady. – Mrugnął do niej.

Greta sięgnęła do torebki, rozejrzawszy się wcześniej. Gdy upewniła się, że są sami, pokazała mężczyźnie swój budzący wątpliwości test.

– W sumie nie wiem, jak to interpretować... – Powiedziała, opierając się łokciami o kontuar.

Niezliczone bransoletki przemieściły się z jej nadgarstka w kierunku łokcia, ukazując blizny. Długa

historia, która na pierwszy rzut oka zapowiadała się dość jednoznacznie – jakby ktoś kiedyś ratował jej życie, cerując poszarpane żyłką żyły. Ale to nie było tak.

Aptekarz na pewno zauważył nadgarstki, ale taktownie nie gapił się na nie zbyt nachalnie. Pogładził swoją kocią bródkę, zdjął z nosa okulary kujaniki, zmrużył oczy i wziął do ręki test nasiąknięty porannym moczem Greta. Mimo że sama uprawiała zawód wybitnie bliski fizjologii, wiele rzeczy ją brzydziło. Niechętnie kontaktowała się z wydzielinami bez bariery lateksu, rękawiczki lub kondomu. Wyjątki robiła dla siebie, bo swoich płynów na co dzień trudno unikać, i dla Szymka, który w końcu jedną z takich wydzielin próbuje ją zapłodnić.

– Pewnie minęło już trochę czasu ... – westchnął farmaceuta.

– Cztery lata – wyrwało się Grecie, bo tyle właśnie starali się o dziecko.

– ... odkąd zrobiłaś test.

– A, to pół doby.

– Co nie zmienia faktu, że nie jest to wynik wątpliwy – dodał i odłożył test na ladę.

– Nie? Naprawdę nie jest?! – W głosie Greta zabrzmiała euforia.

– To jest wynik ujemny. – Zupełnie nie podobała jej się taka interpretacja. – Drugą kreskę zobaczyłaś oczami wyobraźni. Szkoda kasy na kolejne testy. Może podać tampony? Przydadzą się lada dzień... – Greta westchnęła ze smutkiem. Może rzeczywiście tampony? – Staramy się o dzidziusia i nie wychodzi? – spytał bardziej złośliwie niż empatycznie.

Dupek, pomyślała.

– Nie pana sprawa. – Wróciła do tonu oficjalnego, zgarniając test z lady.

– Tak tylko pytam. Składa mi się to w taką historię, że jesteś po trzydziestce, po burzach z piorunami wreszcie pojawiła się w twoim życiu stabilizacja i teraz szukasz nowych wrażeń, więc pomysł – dziecko! Zegar tyka, a ciąży nie ma...

– Niech pan sobie daruje – przerwała mu, choć trafił w dziesiątkę...

Aptekarz jeden! Odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi. Chciała nim trzasnąć, ale były to drzwi obrotowe, więc nie dość, że nie dała upustu swojej złości, to jeszcze przetrzymały ją dłuższą chwilę, bo akurat się zacięły.

– Hej... A test? – zawołał za nią pigularz. – Może jednak podać ten drugi?

Greta opuściła aptekę nadąsana z zamiarem zrobienia zakupów u konkurencji. Przecież w tej okolicy nie brakuje aptek. Po chwili, trwającej tyle, co spacer na drugi skraj tasiemcowatego budynku, wiedziała już, że nocą pozostałe okoliczne apteki są zamknięte, a dyżur pełni tylko ta z bezczelnym aptekarzem.

– Było zamknięte – burknęła. – Poproszę ten test.

– Jednak? – Farmaceuta uniósł brwi z triumfem.

– Jednak.

Tuż za nią weszła krępa dziewczyna z burzą ogniście rudych loków. Bez farby, bez trwałej – czysta natura. Przed wejściem zostawiła psa, ogromnego bernardyna. Zanim ustawiła się w kolejce, Greta wyartykułowała niepewnie:

– Hmm... Be-at-ka?

Chyba Beatka. Greta nie była pewna jej imienia, była na studiach mało popularną osobą, ale tak – to musiała być matka-wariatka-Beatka.

Studiowała razem z nią na Uniwersytecie Medycznym. Beata przyszła na studia kilka lat później niż rówieśnicy, bo była zajęta wychowaniem synka, którego urodziła jako nastolatka. Wszyscy myśleli, że to była wpadka, ale ona utrzymywała, że chciała mieć pierwsze dziecko przed dwudziestką, tuż po maturze, zaraz po ślubie, zanim na dobre zaczęła dorosłe życie. Potem musiała wziąć urlop dziekański i zrobić

sobie przerwę na urodzenie i podchowanie kolejnego potomka. Gdy w końcu wróciła do nauki, trafiła do rozrywkowej grupy Grety, w której wszyscy oddawali się z różnym zaangażowaniem zabawie i nauce. Beatę pochłaniało życie rodzinne. Nie znajdowała wspólnych tematów z rówieśnikami.

– Miło cię widzieć... Hmm... – zawahała się. – Przypomnij mi... Ty miałaś takie dziwne imię...? Gerta?

– Greta. – powiedziała właścicielka dziwnego imienia, która widocznie w mniemaniu Beaty również nie była zbyt popularna.

– No właśnie, właśnie... Greta! Jasne! Pierwsza do skalpela! Miło cię widzieć. Zmieniłaś się, ale... dobrze wyglądasz.

Szybko odświeżyły sobie pamięć i nawet wydawały się ucieszone z tego niespodziewanego spotkania.

– Coś podać? – spytał aptekarz, podczas gdy stare znajome przy ladzie streszczały minioną dekadę. Beata o rodzinie.

Ma męża – tego samego od matury, nie-medyka (i to jego podstawowa zaleta), trójkę dzieci. Pracuje w przychodni, ma wiernych, przywiązanych pacjentów, którzy znoszą jej do gabinetu domowe wypięki i inne smaczne dowody wdzięczności. Dobrze jej się wiedzie, dzieci są śliczne i mądre, małżeństwo doskonałe, Bóg czuwa nad ich rodzinnym szczęściem. Pozazdrościć, podziwiać... powątpiewać. To nierealne, żeby wszystko w życiu wychodziło tak, jak sobie wymarzymy – cukierkowo i kwieciście.

W tym związku, w tym szczęściu musi się kryć jakieś zgniłe jajo, pomyślała Greta, która z kolei realizowała się zawodowo i naukowo, ale jej losy potoczyły się zupełnie inaczej, niż sobie zaplanowała.

– Czy dobrze pamiętam, że chciałaś robić specjalizację z chirurgii? – spytała Beata. – I co? Udało ci się zostać mistrzem skalpela?

Marzenia o chirurgii szlag trafił. Greta u progu kariery musiała zweryfikować swoje założenia. Wcale nie z powodu powiększającej się rodziny czy innych sympatycznych dystraktorów. Wcale nie z powodu przeszkód formalnych – ze swoimi wynikami lekarskiego egzaminu państwowego mogła otworzyć każdą specjalizację, jaką tylko chciała. Przyczyna była inna. Greta za namową Balbiny Fiołek – supertrendy trenerki fitness, idolki każdej fit-Polki, kobiety z żywego mięsa, kupiła sobie stepper. Postawiła w salonie, a potem zaczęła używać do modelowania ud, pupy i duszy. Tak, do modelowania duszy. To dzięki ćwiczeniom Greta miała doskonałe ciało, ale też mnóstwo energii na podejmowanie kolejnych wyzwań na polu sportowym, zawodowym i życiowym. Tak to właśnie działa – stajesz się aktywna, zmienia się ciało, a zaraz potem zmieniasz się ty i całe twoje życie. Tym razem trenerka zachęcała: „Pokaż się w akcji – prześlij nam swoje zdjęcie podczas codziennego treningu, a weźmiesz udział w losowaniu superkoszulek z motywującym nadrukiem”. No i Greta w trakcie ćwiczeń, z opaską na czole, z potem ściekającym po dekolcie, z dziubkiem na twarzy, wyciągnęła rękę zakończoną komórką i strzeliła sobie selfie. To wtedy straciła równowagę i spadła z wysokości ćwierć metra. Strasznie żałosne, myślała, podnosząc się z podłogi, ale zdjęcie wyszło. Po krótkiej obróbce graficznej za pomocą filtrów w komórce, żeby całość wydawała się bardziej energetyzująca i dynamiczna, wrzuciła fotkę na stronę konkursu. Zaraz potem poczuła przeszywający ból nadgarstka. Obserwowała, jak robi się sinoczerwony, tęczy, obrzęknięty. Auuuuu! Zdeformowany... Komórka wypadła jej z dłoni.

Złamanie czy zwykłe stłuczenie?

*Łódka płynie, księżyc świeci, trójgraniasty groszek leci,
na trapezie, trapeziku, wisi główka na haczyku,
czworoboczna większa z mniejszą się zmówiły,
główkowatą na haczyku powiesiły.*

Czekając na wynik zdjęcia rentgenowskiego, Greta recytowała w kółko anatomiczny wierszyk o kosteczkach nadgarstka i zastanawiała się, które pękły w jej prywatnym nadgarstku. Wierszyk nie łagodził bólu, ale i tak go powtarzała – jak modlitwę o sprawność swojej ręki, o karierę chirurga. O swoją przyszłość.

Kość łódkowata i główkowata – pęknięte, kości przedramienia też, w dodatku nieco przemieszczone, brzydki widok, złożone złamanie. Z taką diagnozą pozostawała jedynie operacyjna stabilizacja kości, tak zdecydowali ortopedzi. Wsadzili jej rękę w gips. Była nieoperującym chirurgiem; z każdym dniem jej frustracja narastała. Po zdjęciu gipsowej longety sprawność prawego nadgarstka dalej pozostawiała wiele do życzenia.

Czekała ją rehabilitacja, a kariera zabiegowca stanęła pod wielkim znakiem zapytania.

Zdjęcie na stepperze, z dziubkiem, wygrało w konkursie Balbiny Fiołek. Greta dostała od trenerki koszulkę z motywującym nadrukiem „Aktywność zmienia życie”.

Oj, zmienia. I to jak!

Zmieniło się wszystko.

Greta musiała zweryfikować wybór życiowej ścieżki. Wybrała specjalizację niezabiegową. Blizny chowała pod bransoletkami. Ilekroć na nie patrzyła, przypominała sobie o niespełnionym marzeniu, zaprzepaszczonej karierze i tym durnym selfie na stepperze.

– Biedulko! Zawsze byłaś jedną z tych osób, które tak jednoznacznie wiedziały, co chcą w życiu robić. Ale skoro nie chirurgia, to co? – spytała Beata z empatią, wsłuchując się w historię Greta. Oczywiście prawdy nikt nie mógł poznać! Oficjalna wersja: złamała nadgarstek tuż przed ukończeniem triathlonu, niosąc pomoc koledze, z którym zderzyła się w trakcie wyścigu. Koledze pękła śledziona, ledwo uszedł z życiem, a ona pokruszyła zaledwie nadgarstek i na szczęście żyje. Brzmiało o niebo lepiej, mniej żałośnie, bohatercko nawet.

Wybierając specjalizację niezabiegową, Greta skorzystała z wolnego miejsca w klinice dermatologii. Taka okazja trafia się ponoć raz na milion lat, jest rzadsza niż kwiat paproci, niż zaćmienie słońca.

– Zatrudnił mnie profesor Kaszak...

– Znam Kaszaka! – ożywiła się Beata. – Dobrze go pamiętam!

Oblał ją i przez cały egzamin przekonywał, że na lekarza to Beatka raczej się nie nadaje.

Greta słyszała historię pamiętnego egzaminu z dermatologii z różnych źródeł. Swego czasu wszyscy o tym mówili. Beata na egzaminie z dermatologii i wenerologii zdradziła się z dość kontrowersyjnym poglądem. Uważała, że choroby weneryczne i AIDS to kary boskie – za rozwiązłość i seksualną rozpustę. Jej zdaniem wcale nie należy ich leczyć, tylko pozwolić ludziom dotkniętym chorobą cierpieć za swoje grzechy. Świadcowie tego egzaminu nie mogli uwierzyć w słowa koleżanki. Beatka-wariatka – tak o niej mówili. Beata kończyła studia z łatką nawiedzanej świruski.

Greta nie miała żadnych złych wspomnień związanych z Kaszakiem, co więcej – na egzaminie u niego dostała uczciwe cztery i pół. Po latach przyszła do niego, z ręką jeszcze w opatrunkach po kolejnej operacji poprawiającej funkcję jej nadgarstka, i oznajmiła, że chce pracować w jego klinice. Akurat nie miał żadnego syna, szwagra ani siostrzenicy do obsadzenia na wolne miejsce, poza tym kilka lekarek hurtem zaszło w ciążę i zapowiedziało, że nie wróci aż do ostatniego dnia urlopu macierzyńskiego, a nawet dłużej, po wychowawczym najpewniej. Greta miała szczęście, świetną cerę, coś, co sprawiło, że Kaszak przyjął ją od ręki. W dodatku dał jej cały etat, ot tak! Nikt nie mógł w to uwierzyć. Do dziś jest przez niektórych posądzana o to i owo. Prawda jest taka, że było miejsce, a ona o nie spytała. Koniec kropka. Żadnego seksu, żadnych łapówek, żadnych rodzinnych konotacji.

Kaszak polecił, żeby zainteresowała się wenerologią, bo w tej dziedzinie miał duże deficyty kadrowe. Grecie bardzo to odpowiadało. Szybko przejęła pacjentów poradni, trzy razy w tygodniu. Do tego

obowiązkowo praca naukowa i dydaktyczna. Zgodziła się na wszystko.

Studentów nietrudno zainteresować kiłą, rzeżączką, kalafiorami na narządach rodnych, rozwiązłością, grzechami i wyznaniem niewiernych w gabinecie lekarskim. Słuchali z zapartym tchem pogadank o ryzykownym seksie, który doprowadził pacjentów do wstydlivej choroby. Greta miała swoje ulubione anegdotki, których zbiór z biegiem lat się powiększał: o pływaku, który roznosił chłamydię po warszawskich basenach, o prostytutce z HIV i zaburzeniem osobowości, której fetyszem było narażanie klientów, o kiłowej zmianie pierwotnej wielkości złotówki na członku pewnego piłkarza z reprezentacji narodowej, o koleżance z roku, co to choroby weneryczne uznawała za bożą karę za rozwiązłość...

W zamian za ciekawe opowieści gorliwi studenci zostawali po godzinach i pomagali Grecie w pracy, czasem wyręczyli ją z papierkowej roboty, zbierali dane do jej doktoranckiej bazy, naprawiali komputer, tata jednej dziewczyny robił jej przegląd auta, mama jakiegoś chłopaka uszyła jej sukienkę na ślub koleżanki, powstało koło naukowe, koło wzajemnego wsparcia i adoracji, pisali ciekawe prace na kongresy, jeździli na wycieczki kajakowe. Prawdziwa symbioza. Oni dawali Grecie satysfakcję i motywację, a ona im inspirację i piątki.

Aptekarz odchrząknął niecierpliwie.

– Co podać? – powoził pytanie.

Beata poprosiła o sól morską do nosa i olejek eteryczny. Szybko zapłaciła zbliżeniowo.

– A pani w końcu chce ten test ciążyowy za cztery czy za osiemnaście? – Pigularz uśmiechnął się złośliwie. Niedyskretny duppek nad dupkami.

Beata zrobiła wielkie oczy, rozwarła usta i podskoczyła w miejscu, wprawiając w ruch ogniste sprężynki.

– Nie gadaj! Jesteś w ciąży? Gratulacje! Prawdę mówiąc, myślałam, że nie chcesz mieć dzieci, że będziesz się koncentrować na karierze i nauce.

Nic bardziej mylnego. Greta marzyła o dzieciach. Od kiedy pamięta. A po tym, jak okazało się, że nici z kariery chirurga, w ogóle nie chciała odwlekać realizacji tych marzeń. Niestety życie wymusza na człowieku pewną kolejność działań. Myśli prokreacyjne musiała odłożyć na jakiś czas.

– Dobrze, że się zdecydowałaś! Zawsze uważałam, że prawdziwie spełniona kobieta to taka, która zrealizuje swoją biologiczną funkcję i wyda na świat potomstwo. – Zabrzmiało to bardzo... weterynaryjnie. – Czeka, ile ty masz lat? To chyba ostatni gwizdek, co! Pamiętam, jak Szymon mówił, że po stażu podyplomowym i po studiach skoncentrujecie się na podróżach, potem na karierze, rozumiem, że już zwiedziliście, co chcieliście, i wystarczająco utytułowaliście się doktoratami i specjalizacjami? Ha, ha! – Beata zaśmiała się życzliwie.

– Rzeczywiście, Szymon skoncentrował się na podróżach. – Greta westchnęła. – Pojechał w te swoje wojaże, ale beze mnie. Krótko po stażu rozstaliśmy się.

Oznajmił Grecie, że ma jej coś ważnego do powiedzenia. Kolacja, restauracja, celebrowanie. Już żyła nadzieją, że niebawem dołączy do grona swoich koleżanek – żonek i matek, ale niestety. Zamiast oświadczyń usłyszała, że jej luby wyjeżdża, że przygoda go wzywa i nie chce jej trzymać w zawieszeniu na tyle czasu. Dlatego odchodzi.

Beata rozdziawiła usta w niedowierzaniu.

– Zbiera mi się na jakiś komentarz – powiedziała – ale nie przychodzi mi do głowy nic innego niż: uff, co za ulga! To był totalny kretyn! – Greta spojrzała na nią z zaskoczeniem, lecz zanim zdążyła stanąć w obronie Szymona, musiała wysłuchać słowotoku Beaty: – Egoista i ateista! Idiota! To nie był facet dla ciebie! Prawdę mówiąc, to nie był facet dla nikogo! A na pewno dla nikogo, komu dobrze życzę. Niepoważny, nieodpowiedzialny. Przeczuwałam, że wasz związek nie ma przed sobą przyszłości. Gdy byliście ze sobą, nie miałam w sobie tyle bezczelności, będąc osobą zupełnie postronną, żeby się

podzielić z tobą tym, co naprawdę o nim myślę...

– No to właśnie się podzieliłaś. – Greta się uśmiechnęła.

– Miałam co do niego złe przeczucia, a mnie intuicja rzadko zawodzi, i w pracy, i w życiu! – powiedziała triumfalnie Beata. – No ale jeśli rozstałaś się z Szymonem, to kto będzie ojcem? Znam go?

– Znasz – odpowiedziała Greta. – To właśnie Szymon. Choć tak naprawdę ta moja ciąża to nic pewnego. Jest bardziej niż wątpliwa.

– Czyli wy jednak... jesteście razem?

W trakcie dwóch lat wędrówki po świecie Szymon regularnie wysyłał Grecie pocztówki. Nie mejle, które dochodzą natychmiast, ale takie zwykłe tekturki z widoczkami z dalekich, egzotycznych krajów. Kartki szły długimi tygodniami. Pisał, bardzo romantycznie zresztą, że widział wschody i zachody słońca na pięciu różnych kontynentach, ale żaden nie podobał mu się tak jak ten, który widzieli nad polskim morzem. Może dlatego że byli wtedy razem? Pisał, że bardzo tęskni – za jej uśmiechem, ciałem, za rozmowami. Że lekarze potrzebni są wszędzie, a medycyna, którą poznał na studiach, w niczym nie przypomina tej, którą widzi w krajach Trzeciego Świata, ale to nie znaczy, że on w tym Trzecim Świecie chce zostać na zawsze...

Greto, nawet podróże nie smakują, gdy Ciebie przy mnie nie ma. Czy moglibyśmy się spotkać, gdy znów będę w Polsce? – pytał na odwrocie ostatniej pocztówki z Indonezji. Greta ma je wszystkie, ułożone chronologicznie.

Spotkali się i dali miłości drugą szansę. Weszli ponownie do tej samej rzeki.

– No i znów jesteśmy razem.

Twarz Beaty przybrała kolor buraczka.

– Aha. No wiesz, może trochę zbyt surowo go oceniłam – próbowała ratować sytuację. – To był idiota, ale z potencjałem, tak naprawdę wszyscy mężczyźni mogą się zmienić, miłość i w ogóle... Nieznane są wyroki boskie! Cóż mogę powiedzieć? Życzę wam tego dziecka i szczęścia.... I... mówisz, że masz doktorat? Dermatologia? Wenerologia? No proszę... Jednak nie chirurgia...

– Poproszę ten tańszy, za cztery – Greta zwróciła się do aptekarza, ignorując słowotok koleżanki, która zresztą stwierdziła, że musi już spadać. Do dzieci, do psa, do ukochanego męża, pa, pa.

Wymieniły się numerami telefonów i umówiły na bliżej nieokreślone kiedyś tam.

Aptekarz z drwiącym uśmiechem podał Grecie test za cztery złote. A potem kazał uważać na paluszki, bo przecież łatwo je obsikać.

*

Bieganie, zwane joggingiem – niby prosta czynność, a jednak w wydaniu hipsterskim wymaga sporych nakładów inwestycyjnych i specjalistycznego sprzętu.

Greta, wyposażona w gadżety do słuchania muzyki, do monitorowania parametrów życiowych, do śledzenia intensywności treningu, w kolorowych airmaxach, fuksjowych spodenkach, kompresyjnych skarpetach, frotowej opasce i koszulce z maratonu, który przyblokował dwa miesiące temu warszawskie ulice, przemierzała się dziarskim tempem po Saskiej Kępie, po Skaryszaku, wokół Stadionu Narodowego – gdzie nogi niosły.

Bieganie to trening umysłu, a przy okazji ciała. Nic jej tak nie porządkowało w głowie, jak godziny spędzone z samą sobą i swoimi myślami. Tak jakby ruch ciała napędzał jakąś turbinę w głowie, która intensyfikowała procesy myślowe.

W jej głowie rozlał się instynkt macierzyński, który nie opuszczał jej nawet w trakcie uprawiania sportu. Przebierała nogami i marzyła o dziecku. Że będzie ciekawskim i mądralińskim chłopcem albo

rozbrykaną i zadziorną dziewczynką. Że będzie nosić ogrodniczki i trampki, niezależnie od płci. Że będzie spać między nią a Szymkiem w każdą burzową noc i w pogodną też. Że razem przeczytają wszystkie baśnie Andersena. Że urodzi je bez znieczulenia. Że będzie zbierać mleczaki, zachowa pukiel włosków i co rok będzie odciskać rączkę i nóżkę w gipsowej masie. Że będzie miało nos Szymona i jej oczy, to by dopiero było śliczne dziecko! Że pójdzie na medycynę, tak jak mama i tata. Że pokaże mu całą Warszawę z perspektywy specjalnego wózka, z którym można biegać, a potem będą truchtać razem, mobilizować się nawzajem, rozciągać mięśnie, przemierzać kilometry, aż któregoś dnia wystartują w maratonie ramię w ramię, będą zdobywać medale...

O ile w ogóle będzie miała to cholerne dziecko.

Przystanęła na Moście Świętokrzyskim i zapatrzyła się na Wisłę, na słońce, które powoli przybliżało się do miasta, a potem ginęło w jego zabudowaniach. Takie chwile jak ta wydawały się magiczne. Wypowiadała wtedy swoje najskrytsze marzenia. Miała wrażenie, że ma jakieś niezakłócone połączenie z niebem. Za każdym razem prosiła o to samo.

Chyba jednak czas przestać wierzyć w moc sprawczą modlitw i siłę marzeń.

Po każdym maratonie wydawało jej się, że może wszystko, trzeba tylko bardzo chcieć, pracować, starać się. Tak przecież było z bieganiem. Zaczynała od nieśmiałych ćwiczeń przed telewizorem, potem odważyła się wyjść i dziarsko przetruchtać kilometr, z zadyszką i kluciem w klatce piersiowej, a tu proszę – bez większego wysiłku biegnie w maratonach. Bieganie pozwalało jej wierzyć, że wszystko jest w zasięgu jej możliwości. Że wszystko się da...

Dupa! To tak nie działa.

Chirurgię – szlag trafił. Dziecko – pod górkę. Mogła sobie marzyć, a los i tak robił z jej życiem, co chciał.

Wróciła do domu spacerem, bo i tak przebiegła więcej, niż chciała, i dużo więcej niż powinna, jako starająca się o dziecko kobieta, która musi dbać, by nie zakłócać swoich cykli miesięczkowych, nie blokować owulacji.

Greta kochała swoją pracę całym sercem i skórą.

Skóra to największy narząd ludzkiego organizmu. Wielofunkcyjny, o niesamowitych zdolnościach regeneracyjnych, różnorodny, a w dodatku ma więcej wspólnego z wszelkim czuciem niż serce. Kochać całą skórą – to powinien być frazes do określenia prawdziwie wielkiej miłości.

Szymona Greta kochała całą skórą.

Po powrocie do kraju jej ukochany zabrał się za robienie specjalizacji z chorób zakaźnych. Zajął się chorobami tropikalnymi i szybko stał się w tej dziedzinie ekspertem. Miał na ten temat nie tylko wiedzę teoretyczną, ale i praktyczną. Sypał jak z rękawa opowieściami z dalekich podróży, o których inni tylko czytali, marzyli albo się ich lękali. A on tego wszystkiego dotykał, przeżywał, widział.

Z perspektywy czasu Greta uważała, że powinna była podzielać jego entuzjazm podróżniczy i zamiast nakręcana tykaniem zegara biologicznego, sugerować w co drugim zdaniu chęć realizacji swoich planów małżeńskich i prokreacyjnych, powinna była spakować plecak i podróżować po świecie z Szymonem. Zrobić sobie przerwę, złapać dystans, oddech, zachwycić się... Ale ona miała inne plany. Skoro nie wyszło z chirurgią, to małżeństwo! Koniec kropka!

Szymon był dla niej fizycznie idealny, charakterologicznie dopasowany, mentalnie nadawali na tych samych falach, ale teraz, ilekroć się kłócili, a działo się to coraz częściej, zastanawiała się, na jak długo wspólne życie będzie dla niego wystarczająco atrakcyjne. Czy nie zastanie po powrocie do domu kartki na lodówce: „Wyjechałem na koniec świata, potrzebuję przestrzeni, przygoda wzywa”. Tego się bała. Na jakiś czas uspokoila się, jak mu się paszport przeterminował, a on jakoś się nie spieszył

z wyrabianiem nowego. Trochę utwierdził ją w swojej stałości uczuć, gdy spontanicznie zaproponował szybki ślub w urzędzie, który wzięli w towarzystwie rodziców i świadków. Jeszcze większą stabilność poczuła, gdy wzięli wspólny kredyt i zamieszkali razem, urządzając sobie na Saskiej Kępie gniazdko marzeń, w ślicznym M3, z widokiem na Park Skaryszewski.

Jego ziemskie kochanki: Afryka, Azja, Ameryki – przegrały. Wybrał Gretę. Zapewniał, że ją kocha i że jest szczęśliwy. W Grecie pozostał jednak lęk, że znów zwieje, że gdzieś ucieknie. Z całą pewnością, gdyby była w ciąży, gdyby mieli dzieci, uspokoiłaby się.

Ale i tak kochała go całą skórą.

Tego dnia Greta rozdała studentom ankiety oceniające poziom dydaktyki w Klinice Dermatologii i Wenerologii i była pewna, że jak zawsze, dostanie najlepsze noty. Wygoniła ich wcześniej z zajęć, bo była piękna wiosenna pogoda.

Zostało jej niewiele pracy. Trochę papierologii, opis obrazów z dermatoskopii, a teraz przyjmowała ostatniego pacjenta w poradni.

Wszedł do gabinetu w ciemnych okularach na nosie. W pomieszczeniu było dość jasno, na pewno światło nie raziło. Widocznie chciał pozostać anonimowy albo wstydził się, że w ogóle potrzebował wizyty w poradni wenerologicznej. Skończyła uzupełniać dokumentację poprzedniego pacjenta, a potem przyjrzała mu się uważniej.

– Co pana do mnie sprowadza? – zapytała, kręcąc nadgarstkiem kółeczka. To nawyk, który pozostał jej jeszcze z czasów rehabilitacji. Nadgarstek chrupał niemiłosiernie, ale tak już chyba pozostanie.

Facet zdjął okulary, usiadł naprzeciwko i na jednym tchu powiedział:

– Moja przygodna partnerka napisała mi w esemesie wysłanym hurtem do dziesiątek facetów, że ma chlamydię, rzęsistka, wirusa HCV, kłykciny i że powinienem się przebadać. Prawdę mówiąc, łączył nas zaledwie jeden seks, co nie zmienia faktu, że ryzyko było.

Greta patrzyła i myślała. W końcu go poznała! Aptekarz! Za tę niedyskrecję, którą ją ostatnio potraktował w aptece przy Beatce-matce-wariatce, miała ochotę się zemścić. Na przykład wykrzyzczyć na cały korytarz, że oto ma przed sobą potencjalnego nosiciela chorób wenerycznych. W przeciwieństwie do niego zachowała jednak klasę. Umiarkowaną. Popytała o to i owo, wymuszając na nim niezwykle intymne zwierzenia, a potem powiedziała:

– Pozwoli pan, że obejrzę i zbadam pana członka.

Żałowała, że w gabinecie nie było studentów (a akurat ostatnio trafiła jej się żeńska grupa). Mogłaby mu wtedy zafundować badanie, które zapamięta do końca życia. Wianuszek kobiet pochylonych nad członkiem pigularza – z pewnością zapadłoby mu to w pamięć.

Rozpiął spodnie. Brzuch miał w kratkę, piękna rzeźba, doskonała skóra, obcisłe bokserki. Profesjonalizm nakazywał Grecie nie oceniać – ani postępowania, ani ciała, ale ciało było doskonałe, co ciężko ignorować z perspektywy heteroseksualnej kobiety w wieku prokreacyjnym, z rozbuchaną potrzebą rozmnożenia się. Profesjonalizm. Zawsze na pierwszym miejscu profesjonalizm.

Greta nałożyła rękawiczki.

– No i jak? – spytał.

– Cierpliwości – powiedziała. – Dopiero zabieram się za badanie.

– Nie o to pytam. Nie znajdziesz tam nic patologicznego. Siusiak jak siusiak. Oglądam go regularnie z każdej strony. No, może z takiej perspektywy jeszcze go nie widziałem, ale... Jesteś w tej ciąży czy nie jesteś? To miałem na myśli.

Greta w skupieniu oglądała członka, a na pytanie aptekarza zareagowała zdawkowo, oznajmiając, że to nie jego sprawa i żeby pozwolił jej się skupić na badanych właśnie genitaliach.

Po chwili wycofała się fotelem na kółkach z powrotem za biurko, po drodze pozbywając się rękawiczek. Ten manewr miała dopracowany do perfekcji i zawsze robił wrażenie na pacjentach. Fruuu i zza parawanu nagle znajdowała się za biurkiem. Zaczęła wypisywać skierowania na badania.

– Nie udało się – aptekarz sam sobie udzielił odpowiedzi na pytanie. Wiktor Pogodny, zamieszkały przy ulicy Fieldorfa, PESEL 8112..., Greta pisała w milczeniu, a on dalej bawił się w zgadywanie: – Może w następnym cyklu? Jeśli to rzeczywiście długo trwa, polecam zweryfikować jakość nasienia kandydata na ojca. Podobno to teraz częsty problem – mądrzył się.

W jego bezczelności było coś sympatycznego, ale Greta nie miała ochoty wdawać się z nim w dyskusję, ani tym bardziej się zwierzać.

Jakość nasienia Szymona.

Gdy tylko zamieszkali razem, Szymon zadeklarował, że w sumie, ewentualnie, właściwie, w ostateczności, mogą mieć teraz dzieci, a że Greta o niczym innym nie marzyła, bardzo szybko zabrali się do pracy.

Korzystali z uroków wspólnego życia, beztrasko się kochali, mając na uwadze przyjemność, a gdzieś tam w tle nadzieję na to, że niebawem będzie ich więcej. Nic jednak się nie wydarzyło. Niepokojąco długo nic się nie wydarzało.

Zdrowa młoda para ma dwadzieścia pięć procent szans na poczęcie na każdy cykl – tak mówiły statystyki. Minęło pół roku i nic. Może nie są dość młodzi? Może nie są dość zdrowi? Czekali dalej.

Potem pojawiło się celowanie w owulację, którą Greta tropiła z gorliwością obserwatora przyrodniczego – z termometrem, analizą śluzu, obserwacją szyjki macicy. W końcu poprosiła kolegę Ireneusza Skrobaka, ginekologa, żeby pomógł jej podejrzeć powiększający się pęcherzyk Graffa w obrazach USG i wycelować z seksem w moment jego pęknięcia. Na takim podglądaniu owulacji okazało się, że jeden pęcherzyk miał niepokojący wymiar. Był torbielą, w dodatku wyglądał „podejrzanie”. Kolega wysłał ją na zabieg laparoskopowy. Zrobiła go, odwołując plany prokreacyjne do czasu, aż wszystko się wyjaśni i wygoi.

Operator naciął nieszczęsną torbiel, uwidoczniał ogniska endometriozy, zdiagnozował niedrożny prawy jajowód, zostawił na jej umięśnionym brzuchu dwie dyskretne ranki, które szybko się zabiły. Rozliczył procedurę z NFZ i potraktował ją bardzo instrumentalnie, zupełnie mechanicznie podszedł do delikatnej sfery prokreacji – po prostu zalecił intensyfikację starań o potomstwo.

– In-ten-sy-fi-ka-cję?! – dopytywał Szymon. – Przecież my się prawie codziennie staramy, o ile nie mamy dyżurów albo ty nie przesiadujesz wieczorami z tymi swoimi studenciakami z koła naukowego!

– Nie miał na myśli seksu. Miał na myśli zmaksymalizowanie szans na każdy cykl – tłumaczyła Greta, powtarzając słowo w słowo to, co przekazał jej ginekolog. – Przy niedrożnym jednym jajowodzie to może trwać i trwać. Sugerował inseminację, a wcześniej... zbadanie twojej spermy.

Szymon skrzywił się. Cała ta prokreacja przestała mu się dobrze kojarzyć już jakiś czas temu, odkąd Greta mówiła, kiedy można, kiedy trzeba, kiedy ma zbierać siły, a kiedy mogą zupełnie odpuścić. A teraz jeszcze to!

Niechętnie, ale zbadał swoją spermę. W czerwonym pokoiku, z pornoem w tle, z Merlyn Monroe na ścianie, przypomniał sobie, jak to było nie mieć w łóżku stałej partnerki. Kilka ruchów dłonią, kilka wizualizacji, Greta, Aneta, Greta, Greta i napełnił zbiorniczek kleistym nasieniem. Pierwszy raz w życiu zastanawiał się nad jego ilością i jakością. Może jest za mało? Może spróbować jeszcze coś dorzucić? Nachodziły go różne myśli, ale w końcu poprzestał na jednej porcji. Śmiesznie się czuł, gdy wychodził z pomieszczenia, w którym wiadomo, co robił, a w kolejce za nim czekali już następni, którzy wiadomo, co będą robić. No ale dobrze – miłość do Grety i chęć zaspokojenia jej pędu do rozmnażania się były

silniejsze niż poczucie skrępowania sytuacją. To i tak niewiele w porównaniu z tym, co w ostatnim czasie przeszła. Laparoscopia, porzucenie, uszkodzenie ręki i jeszcze teraz te leki i wieczne miesięczkowe depresje, że znów nie wyszło.

Okazało się, że ilość nasienia nie budzi żadnych zastrzeżeń, za to plemniki Szymona słabo się ruszają, są wykręcone, dziwaczne i jest ich mniej, niż być powinno. Wszystkie parametry poniżej normy.

Rozpoznanie – teratoastenozoospermia.

– I co teraz? – dopytywał Szymon w trakcie wspólnej wizyty w klinice, w której odebrali jego wynik i mieli zaplanować dalsze postępowanie.

Specjalista od wspomagania rozrodu, ginekolog z kliniki leczenia niepłodności, do której trafili z tym obciążonym wywiadem wieloletnich starań, zaproponował im in vitro, poprzedzając propozycję naprawdę krótkim wstępem:

– Za dużo różnych czynników tej niepłodności i praktycznie każde z państwa ma coś, co potencjalnie przeszkadza w poczęciu – mówił spokojnie, ciepło, nienachalnie. – In vitro nie wyleczy, ale pomoże ominąć te problemy. – Lekarz zasugerował Grecie ograniczenie forsowania ciała intensywnymi treningami, Szymonowi polecił zmienić dietę, a obojgu – myśleć pozytywnie. Optymalizacja warunków do naturalnego poczęcia to podstawa. Trzeba uprawiać seks, czekać, liczyć na szczęście, ale najlepiej zdecydować się na zabieg in vitro i... dalej liczyć na szczęście. – W państwa przypadku z prokreacją jest jak z totolotkiem. Można próbować na chybił trafił i nie doczekać się wygranej albo zainwestować w jakiś sprawdzony system, który zwiększa szanse – polecam sztuczne pozaustrojowe zapłodnienie – oznajmił lekarz, kończąc swój przydługi monolog. Potem dał im przestrzeń, czas na przemyślenia i pytania.

Przed oczami mieli debaty polityczne, które do tej pory interesowały ich wcale albo tylko teoretycznie.

Zastanowią się – tyle powiedzieli, wychodząc z gabinetu.

Nim zdążyli opuścić klinikę, podjęli decyzję.

Każde z nich – inną.

– Jak to nie?! – Greta nie dowierzała, gdy usłyszała od Szymona, że ten wcale nie zamierza się rozmnażać na siłę. – Życie pozostawia nam wiele różnych alternatyw. Rodzina z dziećmi jest tylko jedną z nich. Możemy tyle przeżyć, zrobić, tylko we dwoje...

Z całą pewnością przyszedł mu do głowy pomysł, żeby pojechać w kolejną podróż, uciec od problemu – tak pomyślała Greta.

– Jak to? – zapytała.

– Jak to? Tak to! To może być sygnał od natury, że coś jest nie tak, i dlatego właśnie mamy ograniczone możliwości prokreacyjne – odparł spokojnie, niewzruszony diagnozą i perspektywami zmedykalizowanego rozmnażania się. – Greto, cuda się zdarzają, róbmy, co robiliśmy, może kiedyś.... Przecież lekarz nie powiedział, że nie mamy szans na naturalne poczęcie! Może kiedyś zaskoczy nas ciąża w trakcie jakiejś dalekiej podróży albo...

– Albo nas nie zaskoczy. Za to ty zaskakujesz mnie bardzo!

Greta, z oczami pełnymi łez, wykrzyczała Szymonowi, że nie ma już czasu na czekanie na cud.

– I nie próbuj mi się nawet odgrażać, że znów mi uciekniesz na koniec świata! Proste pytanie: czy ty w ogóle chcesz mieć ze mną dziecko? – spytała rozpaczliwie, ze śmiertelną powagą, z desperacją.

Chciał, nie chciał, na in vitro w końcu się zgodził.

Pochłonęło to wszystkie oszczędności, które mieli przeznaczyć na wspólną podróż po norweskich fiordach. Fiordy nie znikną z powierzchni ziemi, a ich płodność przeminie – takiego argumentu użyła Gerta, a on dał się przekonać.

Mieli za sobą dwie procedury, z czego udało się zapłodnić w sumie dwanaście komórek jajowych

i transferować łącznie dziewięć zygot do macicy Greta. To ponoć dobra statystyka dla poszczególnych etapów in vitro. Ale ciąża się nie wydarzyła, a to była jedyna statystyka, jaka ich tak naprawdę interesowała.

Po ostatnim transferze Grecie wydawało się, że coś widzi na teście ciążowym. Cień drugiej kreski, który jednak okazał się tylko cieniem. W tamtym cyklu tampony się przydały.

A teraz ten aptekarz Wiktor się mądrzył, sugerował, żeby zbadać spermę. Niech sam się zbada! Na wszystkie te weneryczne parszystwa, które mu realnie grożą!

– Na moje oko członek wygląda dobrze, nie widzę żadnych wykwitów. Proszę zrobić badania, wizyta z wynikami za dwa tygodnie, do widzenia. – Greta wręczyła mu plik podbitych skierowań.

Wyszedł, już bez żadnego uszczypliwego komentarza. Aptekarz jeden.

Po powrocie do domu Greta o dziwo zobaczyła swojego męża, którego nie spodziewała się zastać tego dnia. Oglądał telewizję, chrupał chipsy, pił piwo i drapał się po jawkach, uwięzionych w ciasnych slipkach. Spojrzała na niego z niesmakiem, karcąco – taka dieta i bielizna nie służyły jego nasieniu.

– Ty tutaj? – spytała. – Jeśli jesteś głodny, w lodówce jest chłodnik botwinkowy. Nie musisz jeść tych syfów!

– Nie lubię chłodnika botwinkowego.

– Chipsy nie poprawią kondycji twoich plemników.

– Twoje jęczenie też nie.

Wzięła głęboki wdech.

– Dlaczego nosisz ciasne slipki? Mówiłam ci, żebyś nie przegrzewał jąder!

– Wszystkie bokserki mam w praniu.

– To trzeba było nic nie zakładać. W domu możesz siedzieć bez bokserek! – powiedziała nieco głośniej, wściekła, jak zawsze w trakcie miesiączki. – Myślałam, że masz dziś dyżur.

– Miałem mieć, ale zamieniłem się z Frankiem. On wziął mój dzisiejszy, a ja wezmę za niego za dwa tygodnie.

– Czemu to zrobiłeś?

– Bo Franek ma jakiś teatrzyk w przedszkolu dziecka czy coś takiego, no i musi być.

– A ja, mój drogi mężu, akurat dziś mam okres! A za dwa tygodnie dni płodne! I nie ukrywam, że wolałabym mieć cię w domu właśnie wtedy, a nie teraz! – Szymon milczał. – Nie przekonuje cię ten argument?!

– Kochanie, próbowaliśmy już wszystkiego. Przestańmy się oszukiwać, że ta ciąża się wydarzy. Jesteśmy bezpłodni. Cieszymy się życiem. Kupmy sobie pieska! Albo lepiej nie. Piesek nas uziemi, nie można go wszędzie zabrać ...

Greta zauważyła, że dziecko też uziemia, ale przynajmniej pozwala mężczyznom twardo stąpać po ziemi, a nie tylko bujać w obłokach i fantazjować o kolejnych podróżach. Pouczyła go też, że zgodnie z definicją nie są bezpłodni.

– Jesteśmy niepłodni, co nie jest sytuacją beznadziejną, a już na pewno nie pomaga nam dyżurowanie w owulację i jedzenie takich syfów – zauważyła, trącając miskę ze słonym syfem. Na szczęście Szymon w porę ją przytrzymał, gdy wahała się na krawędzi stolika.

– Uspokój się – powiedział. – Bzyknę cię za dwa tygodnie, zanim wyjdę na ten dyżur, i zaraz po powrocie też cię bzyknę. Na rozkaz, na baczność, proszę bardzo, przyzwyczailem się! – zadeklarował, ale nadąsanej Greta nie udobruchał.

Pozbierał resztki pokruszonych chipsów odkurzaczem, a wcześniej zdjął ciasne majtki, prezentując dyndające klejnoty. Trochę się wygłupiał, próbując rozweselić Gretę, ale nic z tego. Ta zamknęła się

w łazience, napuściła letnią wodę do wanny i w aromatycznej kąpieli opłakiwała kolejną miesiączkę.

– Myślisz, że nie chciałbym, żeby to wyglądało inaczej? – wołał Szymon przez zamknięte drzwi. – Chciałbym zrobić ci to dziecko dla świętego spokoju!

Greta nie odpowiedziała. W jednej ręce trzymała smartfon, a drugą masowała podbrzusze, które w trakcie okresu bolało ją niemiłosiernie. Nic jej nie pocieszało. Nawet informacja, że jej kolejna publikacja ukazała się w periodyku dermatologicznym. Ani zaproszenie od studentów na bal połowinkowy. Ani tym bardziej zdjęcie rosnącego brzucha koleżanki, które pojawiło się właśnie na tablicy jej Facebooka. A na dobie: SMS od Beaty, która dopytuje, czy jest w tej ciąży, czy nie, bo nie wie, czy gratulować, czy nie. Przeprasza za ten wyskok w aptecę, za nadmiar szczerości o Szymonie – trochę ją poniosło. Nalega na wspólną kawę. Greta napiłaby się tej kawy, nawet teraz, choć niekoniecznie z Beatą...

– Zrobić ci kawę? – spytał Szymon, gdy tylko wynurzyła się z łazienki.

– Nie chcę kawy! – odparła wściekle. – Chcę być w ciąży!

Ze strony rodziny Grety presja była ogromna. Greta była jedyną, wychuchaną córeczką, a rodzice mieli już grubo po sześćdziesiątce i ich zdaniem był to najwyższy czas, żeby zostać dziadkami.

Mama Grety podsuwała córce wiesiołki, siemię lniane i talizmany, ale jej czary-mary nie działały. Każdą rozmowę zaczynała od pytania „Jak się sprawy mają?” i choć Greta wiedziała, o co mama pyta, mówiła, że sprawy mają się dobrze, a potem opowiadała anegdotki z pracy i chwaliła się osiągnięciami na polu nauki. Bo te sprawy naprawdę miały się dobrze.

Mama Grety zaczęła prokreację dość późno, jak na tamte czasy – na porodówce zawitała dopiero po trzydziestce i była postrzegana jako późna pierworódka. Nigdy jednak nie zaznała bólu bezdzietności, nie wiedziała, czym jest niemoc prokreacyjna, bo dziecko pojawiło się w pierwszym momencie, gdy tylko pomyślała, że pora je mieć.

Tata szybko przestał pytać Gretę o wnuki.

Często robiło się niezręcznie, ilekroć przy różnych okazjach świątecznych, imieninowych, stypach czy innych rodzinnych spotkaniach ktoś zahaczał o temat wciąż nieistniejącego potomstwa Grety i Szymona. A zawsze znalazł się taki, który zadał to pytanie. Początkowo tata Grety zaczął wyręczać córkę w odpowiedziach, nalewał wódki do kieliszków, mówił, żeby się odczepili od młodych, bo jeszcze mają czas, wyszaleją się, dorobią, pojeżdżą po świecie, a jak Bóg da, to da!

Sratata. Jakoś uparcie nie daje.

Któregoś razu Greta nie wytrzymała i na pytanie życzliwego wujaszka, kiedy w końcu zabiorą się do roboty, odparła spokojnie, że takie pytania zadają im ból, bo chorują na niepłodność. Zapadła cisza. Wszyscy pochylili się nad swoimi talerzami i już żadna rozmowa się nie kleiła. Zaczęli bezpiecznie komentować wybornego karpia, bezśnieżną zimę i gustowną choinkę. Wujaszek był zmieszany jak nigdy. Po Wigilii powiedział, że ma oszczędności, i spytał, czy nie dorzucić im trochę do in vitro. Słyszał, że to całe in vitro działa. Że o tym in vitrze dużo mówią w telewizji i on by się złożył na takiego ich dzieciaka z próbówki. Będzie mu wujaszkował jak normalnemu dziecku.

Greta wstała i wyszła. W nosie miała jego wujaszkowanie, jego komentarze i jego pieniądze.

Potem już chyba nikt o nic nie dopytywał, przynajmniej nie w rodzinnym gronie. Skończyły się stesy przy stole. Teraz wszyscy pytają o sukcesy w pracy, których oboje z Szymonem mieli przecież sporo.

Rodzina Szymona nie zdręczała ich pytaniami. Ojciec nie żył, a mama od lat mieszkała w prywatnym ośrodku opiekuńczym, miała lepsze i gorsze dni, ale nawet w momentach doskonałego samopoczucia nie nadawała się do żadnych abstrakcyjnych rozmów o niepłodności. Miała przedziwną starczą formę autyzmu, demencję. Raz jeden zdarzyło jej się dialogować z Szymonem na temat potomstwa, logicznie

i konkretnie, rozmowa była totalnie bezemocjonalna, choć wcale nie bezsensowna.

– A dzieci nie macie jakiegoś?

– Nie mamy.

– Aha. To sobie zróbcie. Wypada.

– To nie takie proste.

– Musicie przestać się zabezpieczać.

– Nie zabezpieczamy się.

– To dziwne, że jeszcze nie wpadliście.

– My chcemy wpaść.

– To przestańcie chcieć. To wpadniecie.

No właśnie. Może miała rację. Może powinni przestać chcieć?

Rodzeństwa Szymon nie miał, bo jego mama wpadła tylko raz, a potem ojciec eksmitował się na tamten świat spektakularnym skokiem z mostu i nie pojawił się już nikt inny, z kim mogłaby zaliczyć wpadkę.

Dalsi krewni byli przekonani, że Szymon jest gdzieś tam, daleko, na drugim krańcu świata, i nie mieli żadnych aktualnych informacji na temat jego obecności w kraju, ślubu z Gretą czy tym bardziej jego bezdzietności.

Greta dłuższą chwilę mieszała łyżeczką herbatę, do której wsypała łyżkę stewii, zdrowej, niekolidującej w żaden sposób z płodnością. Czytała na ten temat różne badania. Co szkodzi, a co nie szkodzi na płodność. Stewia akurat nie szkodzi.

Czuła mięśnie łydek po wczorajszym treningu, w trakcie którego przebiegła półmaraton w żwawym tempie. Wiedziała, że zmęczenie ciała nie sprzyja ciąży, ale jakoś wczoraj się zagapiła, zamyśliła i przebiegła więcej, niż zamierzała. Nie po raz pierwszy zresztą. Suszy głowę Szymkowi o byle chipsa, a sama nie robi wszystkiego doskonale. O rety! Ćpunki, grubaski, anorektyczki, cukrzyczki z niewyrównanym cukrem, biorcy przeszczepów, kobiety po chemii – wszystkie zachodzą w ciążę. Cały świat zachodzi, tylko nie ona!

Jednym uchem słuchała rozmowy, a drugim ćwierkających ptaków za oknem.

Szymon opowiadał jej rodzicom o ich planach wyjazdu na skandynawskie fiordy.

– Zdecydowaliśmy się na lipiec, bilety już zaklepane, a teraz kompletujemy odpowiedni sprzęt wycieczkowy, buty, ciepłe kurtki, bo pogoda tam może być różna... Część trasy chcemy pokonać na rowerach. Takie mamy plany.

– To wspaniale! – zachwyciła się mama.

– Byłem tam w młodości, za pracą. Piękne miejsce, bajeczne... Pozazdrościć planów! – ekscytował się tata.

Tylko Greta się nie cieszyła.

Szymon autorytarnie postanowił, że tym razem górkę finansową wydadzą na podróż, a nie na kolejne in vitro. Lepiej im to zrobi niż kolejne pasmo rozczarowań, tak twierdził. Dla Grety właśnie ta jego decyzja była rozczarowaniem, ale nie protestowała. Nie miała argumentów, bo przecież już zostawili w klinice majątek, a ciąży jak nie było, tak nie ma.

Różne myśli przychodziły jej do głowy. Może w trakcie tej wspólnej wyprawy będzie okazja, żeby się podzielić z Szymonem tymi przemyśleniami?

Dawca nasienia? Adopcja? Każda z tych dróg to jakaś opcja, której jeszcze nie rozważali. A to już chyba ten moment. Chyba już czas...

– Chyba już na nas czas, prawda kochanie? – spytał Szymon.

Do domu wrócili w milczeniu. Żadne z nich nie miało ochoty na rozmowę. Ani o podróżach, ani

o dziecku, ani o niczym innym.

Beata-matka, nie doczekawszy się odpowiedzi na SMS z pytaniem o ciążę, w końcu zadzwoniła. Nie chciała, by minęło kolejne dziesięć lat, zanim znów się spotkają – tak mówiła, ale czuć było, że po prostu zżera ją ciekawość. Na pytanie o ciążę Greta rozryczała się gorzko, choć wcale nie zamierzała. To było bezwarunkowe. Nie potrafiła stłumić bólu.

– Czy ty płaczesz? – spytała zaskoczona Beata.

Greta sama była zaskoczona swoją reakcją, ale nie zakończyła rozmowy, mimo że przez pierwsze minuty jedyne, co była w stanie z siebie wydusić, to szloch. Łatwiej czasem wylać smutki obcym ludziom niż najbliższym przyjaciołom, niż rodzinie, niż partnerowi.

Beata cierpliwie słuchała, a na koniec przypomniła, że zawsze uprzedzała wszystkie koleżanki, że czas na prokreację to trzecia, a nie czwarta dekada życia.

– Cóż, może przegapiliście szczyt swojej płodności, ale pamiętaj, że Bóg ma dla was plan. Musisz mu zawierzyć... – Greta przestała szlochać, a Beata zaczęła rozwijać się na temat różnych możliwości. Mówiła o naprotechnologii, którą zgłębia od pewnego czasu i która ma skuteczność nie mniejszą niż in vitro. – A w dodatku w żaden sposób nie narusza waszej godności, nie naraża na niepotrzebną śmierć żadnych ludzkich zarodków, a co najważniejsze – pary stosujące się do tych zaleceń nie próbują wyręczać Stwórcy! – mówiła, zupełnie jakby spełniała jakąś misję, siała ziarno myśli chrześcijańskiej, była wyraźnie zaangażowana.

Greta zrobiła jeszcze większe oczy, wcale nie dlatego, że nie wiedziała, o czym mówi Beata. O naprotechnologii słyszała i czytała. Oczywiście, że czasem działa, bo dlaczego robienie tego wszystkiego, co jest codziennością par intensywnie starających się o dziecko, miałyby nie okazać się skuteczne? Obserwują ciało, dbają o nie, wspomagają farmakologicznie albo operacyjnie, ale przede wszystkim – uprawiają seks, czekają i się modlą. Te zasady były dla Szymona i Greta codziennością, no, może z małymi odstępstwami. No i poza modlitwą. Tego elementu brakowało, przynajmniej w przypadku Szymona. A może to właśnie modlitwa działa najmocniej w tej całej naprotechnologii i w ogóle w prokreacji?

Na zgrabnym rowerze trekkingowym z profesjonalnym osprzętem Greta przemierzała ścieżkę wzdłuż Wisły i rozmyślała. Co chwilę popijała wodę z bidonu, gdzieś na wysokości BUW-u potrzebowała doładować kalorie i zjadła energetyczny baton. Trzymała prędkość – dwadzieścia sześć kilometrów na godzinę. Podmuch powietrza wydawał jej się niezwykle przyjemny. Zrobiła prawie pięćdziesiąt kilometrów, a potem obowiązkowy przystanek: Temat Rzeka, chłodna lemoniada i rozmyślania na leżaku.

Szymek miał pracować całą noc, więc nie spieszyła się do domu.

Wisła płynęła leniwie, czas też płynął, aplikacja na iPhonie przypomniła jej, że zaczynają się dni płodne. Szymon nie zdążył bzyknąć jej przed pracą, bo się spieszył, a ona się spóźniła. Przed nią grupa młodych ludzi przeżyła zgrabne ciała, grając w siatkówkę. Pewnie byli z dekadę młodszy od niej, pewnie cieszyli się życiem i niczym się nie martwili, a już na pewno nie swoją płodnością.

– Może z nami zagrasz? – spytali, gdy odrzuciła im piłkę, którą wybili poza boisko. – Brakuje nam jednej osoby.

Odmówiła. Sport – tak, w każdych ilościach, ale nie siatkówka. Jej nadgarstek zdecydowanie nie lubił przeciążeń, nie chciała go forsować.

Obok rodzina, na oko trzydziestokilkulatków, ze stadem małolatów. Bliźnięta i jedno „niesparowane” dziecko. Śliczne dziewczynki i sprytny chłopiec kopali z tatą dziury w piachu i budowali zamek, a na to wszystko patrzyła szczęśliwa kobieta, w zaawansowanej ciąży. Cholera. Piękny i niezwykle drażniący

widok. Greta nie potrafiła patrzeć na ich szczęście.

Podniosła się z miejsca, wskoczyła na rower i wróciła do pustego domu, przesypiając samotnie pierwszy dzień dni płodnych.

Przyszedł aptekarz do lekarza. Wyniki negatywne, czyli pozytywne – ujemne w każdym razie. Wiktor był czysty. Nie miał żadnej choroby wenerycznej. Kwitnący, chodzący okaz zdrowia. Przyjął tę informację z nieskrywaną ulgą. A potem zadeklarował, że takie ryzykowne zachowania już nigdy się nie powtórzą.

– Żadnego przygodnego seksu! – obiecał. – A w ramach wdzięczności za to, że jestem czysty, oddam krew! Prosto stąd pojedę do stacji krwiodawstwa! Chyba że...

Spytał, co Greta robi po pracy.

W planach miała fryzjera, basen i seks z mężem, taki ważny, acz pewnie bardzo mechaniczny seks, celowany w dni płodne, jakkolwiek śmiesznie brzmią „dni płodne” w kontekście ich przedłużającej się małżeńskiej niepłodności.

Telefon. Dzwonił Szymon.

– Przepraszam, muszę odebrać – powiedziała do aptekarza, z którym była już na tyle spoufalona, że nawet pozwoliłaby sobie na wspólną kawę. Ale nie dzisiaj.

Szymon oznajmił, że musiał wziąć kolejny dyżur za kolegę, który złamał nogę. Bo nie było komu. Każdy miał coś ważnego – imieniny teściowej, auto w naprawie, koncert. Tylko Szymon nie miał żadnych ważnych spraw. Jej owulacja nie była ważną sprawą.

– Przepraszam, mam pacjentów. Muszę kończyć – powiedziała oschle, czując, jak do oczu napływają jej łzy.

Wsparła brodę na złożonych rękach i westchnęła ze smutkiem.

– Jestem ostatni w kolejce pacjentów, prawda? – spytał Wiktor. – No daj się wyciągnąć na tę kawę. Opowiesz mi prawdę o swoim nadgarstku, bo coś czuję, że te blizny kryją jakąś głębszą historię, niekoniecznie wypadek w trakcie triathlonu, o którym wspominałaś koleżance w aptece.

– To prawda. – Uśmiechnęła się zagadkowo. – Historia jest bardzo głęboka...

– Jesteś po próbie S? Cięłaś się? Nie rób tego nigdy! Żaden facet, żaden los, nie jest wart tego, żeby robić sobie krzywdę. Jesteś za ładna i za mądra na takie desperackie kroki – zgadywał.

– Nic z tych rzeczy – powiedziała Greta, przygryzając końcówkę długopisu. – Robiłam selfie na stepperze i spadłam z niego, jak idiotka. A blizny to efekt dwuetapowego składania ręki do kupy – powiedziała prawdę, pierwszy raz w życiu. Wiktor, pomimo usilnych starań, nie zdołał opanować śmiechu. Greta też się śmiała, śmiali się razem. A potem nagle ich uśmiechy spotkały się ze sobą w krótkim pocałunku. – Planuję pokryć te blizny jakimś tatuażem, ale wciąż nie mam pomysłu. Poza tym nie wiem, czy to koniec leczenia operacyjnego, więc wstrzymuję się z decyzją...

– Pomyślisz o tym kiedy indziej. – Zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem, który dla każdego z nich miał wyjątkowy, niepowtarzalny smak.

Greta jednym pstryczkiem zaświeciła lampkę „Nie wchodzić, trwa badanie”, którą zapalała zawsze, ilekroć chciała powstrzymać kolejnych pacjentów przed wejściem do gabinetu. Po co właściwie ją włączyła, skoro Wiktor był ostatni? Może żeby sprzątaczką nie weszła uprzątnąć gabinetu po całym dniu?

Wiktor miał czyste badania, nie miał żadnej choroby wenerycznej – po prostu okaz zdrowia, niebieskie oczy, ciemny blondyn, żadnej nachalnie dominującej cechy fenotypowej, dobre geny, fajny facet, nieczyste myśli, chwila zapomnienia. A może jednak działanie z premedytacją? On złamał deklarację sprzed chwili, że będzie unikał przygodnego seksu, a ona pozwoliła sobie na podróż życia. Krótką, ale bardzo daleką.

– No pięknie! Trzeba było tę taksówkę wcześniej zamówić! – wściekała się Greta. – Przecież wiesz, jakie teraz są korki w mieście! Zaraz się spóźnimy na samolot i będziesz miał swoją wycieczkę na fiordy!

– Nie spóźnimy się. Zobaczysz. Nie raz już wsiadałem do samolotu po zamknięciu odprawy, dosłownie w ostatniej chwili – uspokajał ją Szymon. – Naprawdę się spóźnia? Ile już?

Greta zerknęła na zegarek.

– Dwadzieścia minut. Miała być punkt jedenasta!

– Nie o tym mówię... – Szymon wydawał się zupełnie nieprzejęty perspektywą spóźnienia się na samolot. – Pytam o ten twój okres...

– Tydzień. Ponad tydzień.

– To może zrobisz test?

– Zrobię. Jutro.

Nie musiała go robić. Wiedziała. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że im się udało. Że jej się udało. Zresztą co to za różnica?

Piersi jej nabrzmiały, czuła stan podgorączkowy, a wysoka temperatura lutealna utrzymywała się już wystarczająco długo, żeby mogła mieć pewność bez pozytywnego sikańca. Jak wróć z fiordów, pójdzie do lekarza. Kwasmem foliowym wysycała się od czterech lat, więc na tym etapie nic więcej nie musiała robić. Tylko się cieszyć i mieć nadzieję. Że nigdy się nie wyda.

Szymon pocałował ją w policzek. W usta. Nie dowierzał. Nie mógł się nadziwić.

– Zrób teraz! Chcę wiedzieć... A może nie powinniśmy lecieć? W tej sytuacji... Czy to bezpieczne? Na pewno nie pozwolę ci wsiąść na rower, jeśli okaże się, że jesteś w ciąży! Koniec ze sportem!

– Spokojnie, człowieku! Cięża to nie choroba. W przeciwieństwie do bezpłodności...

– Niepłodności, kochanie – poprawił ją. – Nie jesteśmy bezpłodni, tylko niepłodni, a właściwie... A właściwie to nie wiem, jak nazywa się teraz nasza choroba. Zobacz, podobno czasem tak jest, że jak się odpuści, to nagle się wydarza. No, zrób ten test, bo nie wytrzymam! Najwyżej się spóźnimy na ten samolot – trajkotał, coraz bardziej podniecony. – Jeśli ty naprawdę jesteś w ciąży? Byłoby cudownie... O, rety...

Agata i Gucio

– Nie żebym oceniała czy coś, no ale cóż, wygląda na to, że moja córka i synowa będą zupełnie różnymi matkami – podsumowała Grażyna, matka Agaty i teściowa Zosi.

Przyłożyła do ust filiżankę. Ten gest doskonale pasował do wypowiedzianych słów, więc wykonała go, choć na dnie filiżanki zostały już tylko fusy sypanej kawy.

Przy stole zastawionym sałatkami, wędlinami, galareta, pieczenią i domowym ciastem siedzieli krewni, zaprzyjaźnieni sąsiedzi i starzy dobrzy znajomi – a to wszystko z okazji imienin Grażyny, corocznie uroczyste obchodzonych w tym samym gronie.

Solenizantka pozwoliła sobie skonstrastować córkę i synową, wtrącając do dyskusji komentarz na temat kiełkującego macierzyństwa obu dziewczyn. Komentarze to jej specjalność! Sześćdziesiąt lat na karku, dwójka dzieci i trzydzieści lat w zawodzie nauczycielki sprawiały, że czuła się mędrcom i zachowywała się zupełnie tak, jakby każdy tylko czekał na jej radę i opinię. Każdą podobną uwagę rozpoczynała od słów: „Nie żebym oceniała”, „Nie żebym się wtrącała”, „Nie żeby to była moja sprawa” – potem padało kluczowe „ale”, po którym następowała życiowa mądrość.

Zosia i Agata były w ciąży. Obie miały rodzić na wiosnę, najpewniej w maju. Stan wczesny, ledwo co zrobiły testy ciążowe, ale już miały plany i marzenia.

Grażyna, nie pytając o zdanie przyszłych rodziców, podzieliła się ze zgromadzonymi nowiną, że niebawem ich rodzina się powiększy:

– Korzystając z okazji, że jesteśmy tu wszyscy razem, chciałam obwieścić, że spodziewam się wnucząt! – oznajmiła uroczście. – Tak. Przyszedł czas na mnie. Zostanę babcią. I to od razu podwójną! – Aplauz zgromadzonych tylko nakręcił jej słowotok. – Już się przyzwyczaiłam do tego, że w naszej rodzinie dzieci pojawiają się na świecie w duecie.

Prawie trzydzieści lat temu Grażyna urodziła bliźnięta dwujajowe – Jurka i Agatkę. Zawsze powtarzała, że ciąża mnoga to anomalia, że zniszczyła jej figurę, rozciągnęła skórę, a macierzyństwo na kilka lat wyłączyło ją z życia zawodowego i towarzyskiego. Tym razem też o tym wspomniała. Przetrwiała, dała radę i sprawiała wrażenie, jakby oczekiwała orderu za ten nieziemski wyczyn.

– Jedno dziecko, cóż to za wyzwanie? Ja to dopiero miałam krzyż pański przez pierwsze lata! Jedno płacze, bo głodne, drugie się posrało po pachy, jedno chce się bawić, drugie spać... I zaznaczę: to były inne czasy, nie takie wygodne jak teraz! Bez samochodu, bez pampersów, bez tych wszystkich plastikowych zabawiaczy. Oj, nikt nie wie, co przeżyłam, nikt... Mężczyźni wtedy prawie w ogóle się nie angażowali w dzieci, tak, tak! Wasz parszywy tatuś również! Wszystko było na mojej głowie, a on sobie znikał w robocie, komuch stary, dwa tysiące przynosił, pomniejszone przez te jego ukochane używki, które kupował nagminnie... A wiecie, że mnie nikt nie uprzedził, że to będą bliźnięta. Chodziłam w ciąży z takim wyjątkowo wielkim brzuchem przed sobą, ale cały czas była mowa o jednym człowieku. A tu proszę! Dowiedziałam się dopiero na porodówce. Urodziłam, a tu do mnie położna, że to nie koniec! Och, co ja się wtedy najadłam stresu! – Wszyscy słyszeli macierzyńskie historie Grażyny przynajmniej

kilka razy, więc nie wykazywali większego entuzjazmu. Solenizantka, zauważywszy słabnące zainteresowanie swoją opowieścią, westchnęła ciężko: – Ach, no cóż... Dzisiaj nie ja i nie moje bohaterskie przeżycia są przecież najważniejsze. Kolejne pokolenie będzie doświadczać trudów rodzicielstwa, wprawdzie pojedynczego, ale zawsze! No chyba że którąś z was los pokarze bliźniętami, ale to wam raczej nie grozi, prawda? Czy lekarz coś sugerował? Widać już coś na tym U-ES-GIE?

– U nas raczej nie ma ryzyka – powiedzieli zgodnie Agata i Gucio.

– U nas chyba też nie. – Zosia i Jurek wymienili porozumiewawcze spojrzenia. – Choć prawdę mówiąc, ucieszyłyby nas to niezmiernie!

Na przyszłych rodziców spadła lawina pytań, z którą trzeba było się zmierzyć.

Początkowo wszyscy byli ciekawi, czy to przypadek sprawił, że obu paniom równolegle będą rosły brzuchy, czy może celowo zaplanowały macierzyństwo w tym samym czasie.

– Przypadek – powiedziały zgodnie ciężarne. Na tym jednak ich zgodność się skończyła.

Z przyjaźni, która łączyła je przez lata szkolne, pozostały tylko pozory sympatii i nabyte w międzyczasie konotacje rodzinne. Zosia wyszła za brata Agaty i z jej dawnej przyjaciółki stała się bratową.

Niegdyś wspólnie siedziały w szkolnej ławce, zakuwały do klasówek, a często nawet nocowały u siebie nawzajem. Organizowały sobie wtedy salon kosmetyczny – wyciskały zaskórniki, wycinały skórki przy paznokciach i spędzały popołudnia wysmarowane maseczkami z szafki mamy (40+), przemyconymi ukradkiem z łazienki do pokoju. Więcej było z tych zabiegów szkody niż pożytku, ale młoda skóra dzielnie wszystko znosiła. Dziewczyny czytały na głos „Bravo Girl”, plotły bransoletki z muliny i godzinami wzdychały do plakatów z idolami.

Po maturze Zosia poszła na rusycystykę, choć nigdy nie zdradzała wybitnych talentów lingwistycznych, do tego miała dysleksję i wadę wymowy, która sprawiała, że język polski brzmiał w jej ustach jak rosyjski, a rosyjski był do niczego niepodobny. Z kolei Agata zaczęła chemię, bo tam ją przyjęli. Tak naprawdę marzyła, żeby zostać lekarzem albo farmaceutą, ale nie wyszło za pierwszym, drugim i trzecim razem, aż w końcu odpuściła i została przy chemii, pomimo że w trakcie trzech lat studiów żadnej chemii do chemii nie poczuła.

Gdy dziewczyny rozpoczynały studia, bardzo przeżywały, że nie będą już dzielić szkolnej ławki i wspólnych problemów, że nie będą tyle czasu spędzać razem. Jurek (który sam zdecydował się na Szkołę Główną Handlową i planował osiągnąć w życiu sukces przede wszystkim finansowy) śmiał się, że drogi „psiapsiółek” jeszcze kiedyś się zejda. „Obie za jakiś czas wylądujecie w szkole jako przynudzające, sfrustrowane nauczycielki i będziecie zniechęcać do ruskiego i chemii kolejne pokolenia młodzieży. Daję sobie łeb uciąć, że tak właśnie będzie!”, przekonywał.

Na czas studiów przyjacielskie więzy Zosi i Agaty stopniowo się rozluźniały, aż w końcu nic z nich nie zostało. Ich kontakty ograniczyły się do zdawkowych SMS-ów i okazjonalnych życzeń noworocznych czy urodzinowych, a i o nich przestały w końcu pamiętać.

Pewnego razu w drzwiach Agaty stanęła Zosia. Agata nie kryła zdziwienia. Usłyszała, że miło ją widzieć, że ładny odcień blondu, świetna figura, ale Zosia tak właściwie to przyszła... do Jerzego.

– Nie gadaj! Do Jurasa? Ale... po co?

Zosia i Jurek spotkali się na fejsie. Nie poznał dziewczyny, którą przedstawiało małe zdjęcie profilowe. Zaczepiła go słowami: „Hej, Jurasku!”. Jurasek – tak zwykła mówić do brata Agata, a Zośce się udzieliło. Kiedy już zgłębił zawartość jej profilu i wszystkie udostępnione zdjęcia, nie mógł się nadziwić, że tak się zmieniła, że tak schudła, wysubtelniała. Ona też rzuciła mu jakieś miłe słowo, a potem przyznała, że jako nastolatka zawsze po cichu się w nim podkochiwała. Tak sobie wymieniali wirtualne spostrzeżenia, potem spotkali się gdzieś i zadziała się między nimi jakaś magia, której Agata nie potrafiła zrozumieć ani tym bardziej zaakceptować.

– No błagam was! Ty i Juras? Ty i Zośka? Ludzie, wy kompletnie do siebie nie pasujecie! – oponowała, ale wkrótce okazało się, że i Juras, i Zośka najwyraźniej mają inne zdanie na ten temat.

Big love i ślub.

Od tego czasu Zośka serwowała Agacie same zaskoczenia.

Młodzi, w oczekiwaniu na własne M2 w nieruchomości, która była na ostatnim etapie realizacji (jeszcze jedna transza i mają klucze), zajmowali ciasny pokój Juras. Kiedyś dziewczyny kochały nocować u siebie nawzajem, ale teraz obecność Zosi w mieszkaniu wcale nie cieszyła Agaty. Co chwilę odkrywała, jak bardzo Zosia zmieniła się od czasów szkolnych. I bardzo ją ta przemiana irytowała.

Zosia przecierała twarz wodą z octem jabłkowym, smarowała ciało masłem shea, myła włosy jakimś ekologicznym śmierzącym specyfikiem z rzepy, a ubrania prała w kasztanach indyjskich. Do tego zarzuciła depilację, co Juras, o dziwo, wcale nie odstręczało, mimo że kłaki miała wszędzie, nawet pod pachami. Coś dziwnego z tą Zośką się stało. Niegdyś żarły burgery w przerwie między zajęciami, a teraz zrobiła się z niej nawiedzona eko-weganka. Z urodzinowego stołu mamy Zosia zjadła tylko kopiec kaszy gryczanej, którą Grażyna ugotowała specjalnie dla niej. Taką BIO, bez GMO.

Na co dzień Zosia nie jada też mięsa, jajek, nabiału, glutenu, cukrów prostych, produktów przetworzonych. Ma takie różne zasady, które wcielała do swojego życia z każdą nową lekturą, trendem i zdrowotną przesłanką, niekoniecznie naukowo uzasadnioną. Próbowwała zaszczepić te zasady wśród swoich bliskich. Agata, z natury trochę złośliwa i cyniczna, kpiła z niej na każdym kroku.

Gdyby ta krówka żywiła się ludźmi, a nie trawką, toby nie miała skrupułów, żeby cię przeżuć między zębami!

Ojej! Właśnie zbiłam jajeczko. Czy może raczej... zabiłam jajeczko?

Zamówimy pizzę? Dla ciebie, Zosiu, bez ciasta, bez sera, bez szynki, tak? Poproszę, żeby przywieźli ci pomidora.

Grażyna szanowała i podziwiała jej konsekwencję w żywieniu, ale sama była oporna na nauki – dalej gotowała po staropolsku – tłusto, syto i mimo zachęty Zosi, etykietek nie czytała, bo miała słaby wzrok. Z kolei Juras dał się zarazić nawykami żony. Zmienił się przy niej. Porzucił coca-colę na rzecz mineralnej. Odstawił mięso, na początek ssacze, a przymierza się do porzucenia również innych kręgowców, ptaków i ryb. Przestał wieczorami łupać w gry komputerowe i zaczął biegać na dystansach maratońskich. Ponadto przestał plądrować strony porno w poszukiwaniu atrakcyjnych wirtualnych towarzyszek do masturbacji, za to co wieczór Agata nasłuchiwała przez ścianę, jak nawzajem się plądrują.

Juras i Zośka.

To ich małżeństwo mocno Agacie działało na nerwy. Jeszcze bardziej niż oni nie mogła się doczekać, aż wreszcie dostaną klucze do tego swojego mieszkania na drugim końcu stolicy. Gdy w końcu się wynieśli, Agata poczuła ulgę, a kilka miesięcy później – o dziwo – pustkę. Wypełniła ją błyskawicznie i bardzo spektakularnie – wyszła sobie za mąż, ot tak, za Gucia.

Gucio – introwertyczny typ naukowca, który kiedyś zaproponował Agacie małżeństwo w bardzo nieszczególnych okolicznościach.

Chodzili razem do grupy dziekańskiej. Asteniczny, pająkowaty i niezwykle inteligentny, nie powalał na kolana płci pięknej, Agaty również. Ale to dzięki Gutkowi zaliczyła matematykę, chemię fizyczną i inne chemie, więc trzymała go blisko na wypadek deficytu intelektualnego, który na okoliczność kolokwium łątała jego mózgiem i życzliwą pomocą. Przy okazji przyjaźń rozkwitała. Jadali razem obiady w barze mlecznym, spacerowali godzinami po Polach Mokotowskich i dużo rozmawiali. O wszystkim, o niczym, a często o seksie. Były to rozmowy dwóch niepraktykujących teoretyków ze szczątkowym

doświadczeniem, przy czym byli ze sobą zupełnie szczerzy. On poznał tajemnicę jej eksponowanego pięknego dekoltu wypełnionego implantami, które jego zdaniem wcale nie były konieczne dla ogólnej wysokiej atrakcyjności fizycznej Agaty, a ona wiedziała o jego skrzęcie ukrywanej szewskiej klatce piersiowej, która jej zdaniem niewiele zmieniała w całokształcie osoby Gucia.

– Nie martw się. Jeśli kiedykolwiek ktoś na ciebie poleci, z pewnością będzie to zasługa twojego mózgu, a nie ciała! – przekonywała.

– Za to w twoim przypadku z pewnością będzie to właśnie ciało! – odgryzał się.

Kto się czubi, ten się lubi.

Nie bali się żadnych tematów – bez pruderii, bez tabu.

Pewnego razu, gdy znaleźli się razem na jakiejś imprezie, Gutek spił się troszeczkę i stał się nad normę wyluzowany. Ośmielił się, niby przypadkiem, pomacać Agatkę pod pretekstem sprawdzenia, czy dobry chemik jest w stanie ocenić skład implantu przez skórę. A że ona też troszkę się spiła, po długich miesiącach teoretyzowania przeszli do praktyki i wylądowali w łóżku. W jego łóżku, w pokoju studenckim. Łóżko skrzypiało, ale nawet ta melodia nie przeszkodziła im w niezemskiej przyjemności. Od słów przeszli do czynów, a konsekwencją tego upojnego seksu, jak to czasem bywa, była pierwsza ciąża.

Gutek planował wiele rzeczy – karierę naukową, studia doktoranckie, może jakiś zagraniczne stypendium. Sytuacja jednak się zmieniła. Obiecał, że zaopiekuje się Agatą i dzieckiem. Że pójdzie pracować do jakiejś korporacji, zdejmie trampki, wbije się w błękitną koszulę i krawat, że będzie dobrym ojcem, a najchętniej weźmie z nią ślub, jeśli tylko się zgodzi. Nie tylko z powinności, ale z prawdziwej miłości.

Agata przyjęła pierścionek zaręczynowy z jakiegoś nieszlachetnego stopu z miedzią i zgodziła się zostać jego żoną.

Trwały zajęcia praktyczne z osadów, gdy nagle ciąża pociekła Agacie po nogach, tworząc krwistą plamę na parkiecie pracowni chemii nieorganicznej. Wszyscy przestali się krzątać między stanowiskami i wlepili ciekawskie gały w Agatę.

– Co się tak gagicie? – rzucił Gutek, rozganiając studentów. – No co się, do cholery, gagicie?! Nigdy nie widzieliście strąconego tiocyjanianu żelaza? Rozlał nam się... – wymyślił na poczekaniu.

Agata wybiegła z zajęć. Gutek sprzątnął podłogę, a potem pobiegł za narzeczoną do damskiej toalety. Próbowwała opanować sytuację ręcznikami papierowymi, ale krew sączyła się coraz obficie. Pojechali do pobliskiego szpitala położniczego, gdzie okazało się, że jest już po wszystkim.

Pierwszą ciążę Agata poroniła bez najmniejszej traumy, a nawet z uczuciem ulgi. To był falstart, nieplanowany, więc taki finał był wybawieniem. Przełom siódmego i ósmego tygodnia, nie zdążyła nawet powiedzieć o ciąży i o raptownym ślubie nikomu z rodziny.

Po tym incydencie oznajmiła Gutkowi, że akcja z hajtaniem odwołana. Że muszą przyjrzeć się swojej znajomości, niech już lepiej zostaną przyjaciółmi, bo seks i miłość wszystko komplikuje, a ona nie chce mieć na sumieniu jego kariery naukowej i wikłać go w jakieś dzieci czy inne rodzinne zobowiązania. Wylewała z siebie te przemyślenia, wcale nieprzekonana, co tak naprawdę o tym wszystkim myśli. Przyjął jej słowa ze smutkiem.

– Gdybyś zmieniła zdanie, pamiętaj, że cię kocham. Moja propozycja jest zawsze aktualna – powiedział.

Na następny semestr Gutek wyjechał na stypendium naukowe do Niemiec. Pewnie zostałby tam na dobre, gdyby nie wiadomość od Agaty, że zmieniła zdanie i jednak zdecydowała się wziąć z nim ślub.

Tak naprawdę to Grażyna pomogła jej podjąć tę decyzję swoimi uporczywymi komentarzami.

Nie żebym cię wyganiała, córko, czy coś, ale masz już swoje lata i chyba czas, żebyś pomyślała o samodzielności, tak jak twój brat...

Ja w twoim wieku miałam już męża i nosiłam w brzuchu dzieci.

Nie żeby to była moja sprawa, ale ty nie będziesz całe życie takim kwiatuszkiem jak teraz i radzę ci znaleźć męża zawczasu...

Gutek wrócił. Na bazie przyjaźni, zanieczyszczonej wątkiem miłosnym, zbudowali naprawdę udany, zdrowy związek.

Agata i Gutek, małżeństwo z rocznym stażem, robią doktoraty na wydziale chemii. On – z prawdziwym zapałem. Aspiruje do Nobla. Poza chemią organiczną i Agatą nie widzi świata. Ona – z braku pomysłu na dalszą karierę zawodową, byleby nie wypełnić proroctwa brata, który wróżył jej przyszłość sfrustrowanej nauczycielki. Doktoryzowała się bez pasji, ale z dydaktycznym zacięciem, którego ewidentnie zabrakło jej mężowi. Większość czasu szwendała się po wydziale, ziewała, destylowała, nastawiała jakieś reakcje, ale jej głównym zajęciem stało się siedzenie na fejsie. Lajkowała, szerowała, hejtowała, tropiła każdy ruch znajomych. Tak naprawdę z żadnym z nich już od dawna nie miała najmniejszych relacji „w realu”, ale za to na Facebooku lubili się bardzo. Lajk za lajkiem.

Impreza urodzinowa Grażyny trwała.

Zosia zapowiedziała, że planuje rodzić w domu i zaprosi na to wydarzenie wszystkich bliskich i przyjaciół. Zgromadzeni przy stole poczuli się zaproszeni. Będą świece, kadzidełka, romantyczna muzyka, catering, basen rozłożony na kaflach w kuchni, położna – żadnej medycyny, tylko ekstatyczne witanie na świecie nowego człowieka rodziny. Tak to sobie wymarzyła.

Agata nie miała planów na dzień porodu. Najbardziej atraumatycznie i zachęcająco brzmiało dla niej cięcie cesarskie – najlepiej jeszcze zanim rozpocznie się akcja porodowa, jak tylko ciąża osiągnie status donoszonej. Bała się bólu, bała się powikłań, bała się, że jej cipka rozciągnie się na zawsze; wolała nie ryzykować i nie wystawiać swojego ciała na taką próbę. Tym bardziej, że już raz przechodziła namiastkę porodu – indukowane poronienie, którym zakończyła swoją drugą ciążę.

Ciąża druga – planowana, bo czas leci, a na Facebooku dużo dzieci. Agata też poczuła coś w rodzaju instynktu macierzyńskiego, pragnienie, żeby przekazać swoje geny do następnego pokolenia, żeby tulić w ramionach różowego bobasa. Ciężowy brzuszek zdążył się już zaznaczyć na jej doskonałej figurze. Coś zaczynało się wiercić pod sercem i przybrało kształt naprawdę człowieka, ale przerwali to, decydując się na późną aborcję. Przekonał ich zdiagnozowany prenatalnie totalny chaos narządów wewnętrznych, którego żaden lekarz nie byłby w stanie ogarnąć ani operacyjnie, ani farmakologicznie.

– Pani dziecko będzie żyło krótko i nieszczęśliwie albo nie dożyje do porodu. Decyzja należy do pani – powiedział ginekolog, listując wady, które widział w obrazie USG. Potem odesłał Agatę do domu, żeby sobie popłakała i podjęła decyzję. – Tu ma pani telefon do hospicjum prenatalnego, pomogą pani przetrwać trudny okres do porodu, oraz po nim, aż do naturalnej śmierci dziecka. A tu jest skierowanie. Na aborcję. Cokolwiek pani postanowi... – mówił coś jeszcze, coś o badaniach genetycznych, o przyszłości, ale Agata już go nie słuchała.

To było surrealistyczne. Czowała, jakby wszystko działo się poza nią, podczas gdy tak naprawdę działo się dokładnie w centrum jej ciała. Nie płakała zbyt długo. Zaledwie jedną noc. Z Gutkiem rozważali wszelkie opcje, każda była zła. Rano ze skierowaniem Agata stawiała się w szpitalu, gdzie w indukowanych skurczach, w towarzystwie męża, ronila swoje dziecko. Na koniec cierpienia nie było happy endu, płaczącego bobasa, gratulacji, kwiatów, które pozwalają kobiecie błyskawicznie zapomnieć

o fizycznym bólu. Była tylko czarna dziura, zupełnie odrealnienie. I był Guccio. Cały czas przy niej był.

Agata wciąż miała w pamięci okrutne bóle, skurcze rozdzierające na pół jej ciało i duszę. Po tych doświadczeniach uznała, że cesarka była jedyną opcją dla niej. Nie przekonywały jej ani znieczulenie, ani ekstatyczne opowieści o cudach narodzin, ani tym bardziej spirytualne i naturalistyczne plany Zosi. Wiedziała, że to boli, tego bólu panicznie się bała. Żeby wymusić na lekarzach cięcie, zrobi z siebie niedowidzącą wariatkę ze ścieśnioną miednicą i chorym sercem – ale nie urodzi pochwowo! Lewe zaświadczenie od okulisty, psychiatry, ortopedy i kardiologa – wszystko sobie załatwi, tylko niech jej dadzą święty spokój i wydobędą z niej dziecko operacyjnie, jak Juliusza Cezara!

Gdy Zosia mówiła o tym, jak to będzie karmić swoje maleństwo piersią, na żądanie, tak długo, jak tylko będzie chciało. Agata spojrzała na nią z niedowierzaniem i niesmakiem.

– A jak sobie zażyczy cyckać do matury? – zadrwiła pod nosem, na co Zosia postanowiła podzielić się jeszcze jednym planem: będzie odciągać swoje mleko i pielęgnować nim skórę swojego niemowlęcia i własną. Obrzydzenie Agaty znalazło natychmiastowe odbicie na jej twarzy.

Ona nie będzie karmić piersią. Po aborcji już raz doświadczyła mlekotoku i było to dla niej nie tylko frustrujące, bo przecież niczemu ten wyciek nie służył, ale też nabawiła się wstrętu do tej wydzieliny. Zresztą nie była pewna, jak zachowa się jej plastyczne i kształtne dzieło sztuki pod wpływem laktacji. Dlatego, na wszelki wypadek, planowała farmakologicznie wysuszyć cycki, zanim cokolwiek zdąży z nich wypłynąć. Za dużo bólu i pieniędzy kosztowało ją wyrzeźbienie doskonałych atrybutów kobiecości, żeby teraz używać ich zgodnie z biologicznym przeznaczeniem, ryzykując deformację.

Z płaskiego A zrobiła pełne C – tuż po maturze. Grażyna zafundowała córce tę metamorfozę. Sama, będąc młodą kobietą, miała obsesję na punkcie swojej chłopięcej klatki. Z kompleksów nie wyleczyło jej ani małżeństwo, ani macierzyństwo. Brak pełnego dekoltu próbowała nadrabiać gadatliwością, czerwoną szminką i minispódniczką. Brak awansu na stanowisko dyrektorki szkoły, niezdane egzaminy na prawo jazdy, wszelkie mandaty, których nie udało jej się uniknąć, gdy została zatrzymana na jakimś wykroczeniu drogowym – za to wszystko obwiniała brak biustu.

– Gdybym miała cycki, toby mnie puścili! A tak? Dwieście złotych i osiem punktów... – rozpacziała.

Ostatecznie Grażyna zrobiła sobie cycki tuż po rozwodzie. Odtąd jej życie stało się lepsze, a ona była szczęśliwsza, choć tak naprawdę nie wiadomo, czy była to zasługa rozmiaru piersi czy wyprowadzki męża.

Grażyna obiecała córce, uprzedzając jej ewentualne kompleksy, że gdy tylko skończy osiemnastkę, też fundnie jej takie silikon, żeby jej się w życiu lepiej wiodło. Pełnoletnia Agata upomniała się o biust jeszcze przed studiami. Mimo że się nie przelewało, Grażyna wiedziała, że jest to priorytetowy wydatek. Wzięła kredyt.

Te piersi, ach – ślicznie je zrobili! Blizn prawie nie widać, a efekt wizualny i palpacyjny jest niesamowity. Czasem, dla poprawy nastroju, Agata chodziła po domu bez bluzki – gdy mijiała lustro, od razu czuła się lepiej. A Gutek to po prostu nie mógł uwierzyć, że trafił mu się taki pornograficzny biust na wyłączność.

No i teraz karmić takimi piersiami...?

Zosia lata do szkoły i planuje być aktywna aż do porodu, nawet jeśli będzie dźwigać przed sobą arbuza. Kocha swoją pracę – jest nauczycielką, tak jak wywróżył jej Jurek, ale daleko jej do nudziarstwa i frustracji. Z pasją naucza ruskiego w technikum. Czuje się wyśmienicie i chce, mimo ciąży, przygotować swoich maturzystów do egzaminu. I matury, i poród w maju, więc nie ma innej opcji – pracuje do ostatniego dnia i prosto ze szkoły jedzie na porodówkę.

– Nie zostawię ich teraz! – deklarowała. – Poza tym ciąża to nie choroba!

A Agata zachorowała na ciążę od pierwszych chwil. Miała mdłości i narkolepsję, a do tego tak zwany obciążony wywiad położniczy. Praca wśród chemikaliów to też ryzyko. Bez najmniejszego żalu porzuciła swoje wątpliwe doktoranckie aspiracje i wzięła zwolnienie. Teraz przeglądała fejsa nie w laboratorium, ale w domu.

– No a docelowo, chcemy mieć z Jerzym czwórkę! – mówiła rozanielona Zośka.

– Dżizas! Najpierw ogarnij się z jednym! – Agata nie mogła już słuchać swojej szwagierki. – Mam mdłości, i to chyba nie z powodu ciąży...

Zapadła cisza. Nowy mąż Grażyny, którego złowiła na swoje podrasowane cycki – zacny profesor nauk przyrodniczych, Grzegorz Ozima, radny Wawra od czterech kadencji – chcąc ratować sytuację, zaśmiał się głośno, zupełnie jakby właśnie usłyszeli jakiś kawał. Wzniósł kieliszek – za zdrowie matek, ojców i ich dzieci w stadium embrionalnym! Potem zadeklarował, że obu maluszkom zasponsoruje najlepsze wózki na rynku.

– Super! – podłapała Agata. – Poproszę taki wózeczek dla dzidziusia i mamusi... Może być Opel Vectra GTS!

– Ha, ha! I zapas pieluch na rok! – kontynuował swoje deklaracje przyszywany dziadek.

Zosia powiedziała, że wózka nie potrzebuje, za to chętnie wskaże, gdzie można kupić przepiękne, ręcznie tkane chusty z wielbłądziej wełny i wielorazowe pieluszki z bambusowym wkładem.

– Ekologicznie i ekonomicznie. – Uśmiechnęła się szeroko.

Działała Agacie na nerwy jak mało kto.

To właśnie wtedy Grażyna poczyniła to porównanie. Nie żeby oceniała czy coś, no ale cóż – wygląda na to, że jej córka i synowa będą zupełnie różnymi matkami.

Agata miała ochotę wyskoczyć na papierosa, ale przecież była w ciąży i jej nie można, nie wypada. Co nie znaczy, że tego nie robi. Po prostu nie w towarzystwie. Troszeczkę się zaciągnie, jak tylko wróci do domu. Wyśle Gucia po jakieś lody, śledzie czy inne niby-zachcianki i gdy on będzie ich poszukiwał po wszelkich sklepach całodobowych, puści sobie dymka na balkonie. W razie czego przekona Gucia, że papierochami ciągnie z dworu, od sąsiadów. Łyknie na pewno.

– Czy może zrobić jeszcze komuś herbaty? – zaproponowała Grażyna, wykorzystując przedłużającą się chwilę ciszy. Dała bliskim do zrozumienia, że czas się rozejść. Koniec imieninowej posiadówki. Koniec imprezy.

Zosia zaoferowała pomoc przy sprzątnięciu, a Agata wyrwała do domu, zdawkowo zegnając się ze wszystkimi. Wprost nie mogła się doczekać, aż znajdzie się na balkonie, z porcyjką nikotyny przy ustach. Dla smaczku. Dla ukojenia nerwów.

– Zapomniałam szalika! – zawołała Agata, gdy zjechali windą na parter.

– No to wróćmy. – Gucio wcisnął przycisk z numerem piątym, który podświetlił się na żółto.

Winda nie zdążyła ruszyć, gdy po drugiej stronie drzwi pojawił się sąsiad na wózku inwalidzkim. Gucio wyskoczył w pośpiechu i ustąpił mu miejsca. W starej windzie nie było dość przestrzeni na ich trójkę. Inwalida podziękował, wprawnie przemieścił się wózkiem do środka, zatrzymał się koło Agaty, a potem zaczęli walczyć z drzwiami, które otwierały się i zamykały w zupełnie niekontrolowany sposób. Wreszcie się udało.

– Poczekam na ciebie przed klatką – rzucił Gutek, łapiąc w locie wysłanego w powietrze buziaka od

żony.

Inwalida miał bezwładne nogi, za to cała góra była muskularna – z łatwością wprawiał w ruch kółka zwrotnego wózka. Wciśnięcie przycisku piętra sprawiało mu jednak trudność.

– Może panu pomogę? – zaproponowała Agata. – Które piętro?

– Panu? – Mężczyzna uśmiechnął się. – Agatko, to ja. Tomek. Sąsiad spod dziewiątki.

Tomek – ekscentryczny ateista, baletmistrz i gej. Teraz, jak widać, życie doświadczyło go jeszcze inwalidztwem.

– Co ty...? Jak to się stało? – spytała, wciąż mając w pamięci, jak demonstrował swoją sprawność, paradując półnago na paradach równości czy skacząc w obcisłych trykotach na scenach Teatru Wielkiego.

– Zupełnie cię nie poznałam. Wyglądasz... – Tomek zdjął z głowy bejzbolówkę.

– No, teraz wyglądasz... jak ty! Co ci się stało?

– Długo by gadać...

– A tak w skrócie? Chętnie bym wyskoczyła na jakieś piwo, ale po pierwsze – ktoś na mnie czeka na dole, a po drugie... nie mogę pić.

– Mam SM. – W skrócie, tak jak prosiła.

– SM?

– Stwardnienie rozsiane. Po ostatnim rzucie choroby jeszcze się nie podniosłem do pionu – powiedział bez żalu w głosie.

– To znaczy, że to przejściowe?

– Mówią, że marne szanse na to, żebym jeszcze chodził. No ale ja nie tracę nadziei. Ćwiczę mięśnie, które napędzają wózek, na wypadek gdyby się okazało, że będę przemieszczał się na nim dożywotnio. O, moje piętro. Powodzenia, Agatko. I pozdrów Jurka!

– Życzę ci szczęścia! I żebyś jakoś... stanął na nogi! Może jeszcze zatańczysz. Kiedyś...

– Dzięki! – Tomek zmierzył ją wzrokiem, zanim wyjechał z windy. – Ach, Agatko, Agatko. Niezła laska z ciebie, jak na moje homo oko. Farciarz z tego twojego chłopaka.

– Farciarz z tego mojego męża.

– No, proszę! Życzę wam szczęścia! Czego tylko chcecie! Może nawet... jakichś dzieci? – Posłał jej ostatni uśmiech, zanim drzwi windy zamknęły się.

Agata weszła do domu bez pukania, to przecież jej dom rodzinny. Drzwi były otwarte i nikt jej nie zauważył. No pięknie! Można by okraść mamę bezszelestnie, pomyślała, widząc na komodzie w przedpokoju cały podręczny majątek gospodyni w otwartej torebce.

Kątem oka dostrzegła, że Zosia i Grażyna myją naczynia. Rzadki widok w dobie wszechobecnych zmywarek, ale Grażyna, mimo że w jej kuchni znajdowały się wszelkie sprzęty gospodarstwa domowego, zawsze wolała zmywać ręcznie, bo „tamtó ustrojstwo nie dość, że nie domywa, to jeszcze prąd ciągnie i huczy przez pół nocy”.

Grażyna z synową kołysały się przy zlewie na boki. Jedna płukała, druga wycierała, w tle grało radio – sielanka jak z filmu. Agata, zanim zdążyła się odezwać, mimochodem usłyszała swoje imię, które wybrzmiało w trakcie ich rozmowy.

– Wybacz te jej uszczypliwości. Agata miała naprawę bolesne przejścia z tą poprzednią ciążą i stąd zrobiła się taka kwaśna ...

– Kwaśna? Powiedziałabym, że gorzka! Nie ona pierwsza i nie ostatnia straciła dziecko przed urodzeniem. Poronienie to dramat, wierzę, że to dla niej trudne, ale to jej nie usprawiedliwia. Jest przecież w ciąży! Powinna przestać saczyć jad, tylko cieszyć się tym stanem! Może jej przejdzie, jak w końcu urodzi zdrowe dziecko...

Agata zatrzymała się w pół kroku. Nie dała poznać, że stoi w przedpokoju, choć tak naprawdę chciała warczeć i kąsać!

– No wiesz... Straciła je nie do końca spontanicznie. Mówiąc między nami, to dziecko nie obumarło samo, tak jak wam wszystkim powiedziała...

– Jak to?

– Usunęła tę ciążę. – Głos Grażyny zapowiadał sensację, gdy podawała synowej paterę do wytarcia. Zosia rozdziawiła usta i znieruchomiała. – Od tego czasu trochę się posypała psychicznie... Ona przecież nie była taka! Radosna, beztraska Agatka, a teraz... – kontynuowała Grażyna. – Nie żebym oceniała tę decyzję, no ale ewidentnie to doświadczenie miało na nią fatalny wpływ.

– Aborcja? – Zosia zrobiła zbolałą minę. – Ależ to straszne!

– Z tego dziecka i tak nic by nie było. Miało ciężkie wielowadzie...

– Nie wiem, czy słusznie postąpiła. Moja koleżanka też miała ogromny brzuch, zdiagnozowali jej to wielowadzie, robili jej nawet upusty tego płynu, igłą przez brzuch, okropieństwo, ale dziecko urodziło się zupełnie zdrowe!

W końcu Agata nie wytrzymała.

– WielowAdzie, idiotko, nie wielowOdzie! – krzyknęła. – A tobie, mamó, jeszcze raz życzę wszystkiego najlepszego! To naprawdę budujące wiedzieć, że można ci ufać! Dlaczego nie podzieliłaś się moją historią przy gościach? Byłoby sensacyjnie, nie sądzisz? Nie przeszkadzajcie sobie. Miłego zmywania, miłego wieczoru, dobranoc, Zosiu!

Nie czekając na ich reakcję, wyszła z domu, który niegdyś nazywała rodzinnym, a w którym dziś poczuła się tak obco. Po kilku sekundach znów pojawiła się w przedpokoju.

– Szalik. Jeszcze szalik.

Grażyna i Zosia wciąż stały w osłupieniu.

Wysłała Gutka po lody. Truskawkowe. Uwielbiał ją rozpieszczać, a w ciąży, tej i poprzedniej, czynił to z wyjątkową pieczołowitością. Masaże stóp, pleców, filmy zgodne z nastrojem, smakowe zachcianki – był gotów zaspokajać wszystkie jej potrzeby. Mimo późnej pory zniknął więc w poszukiwaniu lodów.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Agata wyszła na balkon. W dłoniach miała paczkę papierosów, z której ubyły trzy sztuki, od kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży. Bawiła się pudełeczkiem, przerzucając je w palcach. Patrzyła na podwórko starego osiedla. Pusty plac zabaw, boisko, piaskownica, wysokie drzewa, a wszystko to w blasku żółtych lamp i neonów. *Ra sto y, B lizna, Po ciel, Tani ci szek, Mon polowy*, niektóre wypalił już czas, ale strzępy napisów dalej szpeciły okolicę. Za kilka lat na tym podwórku będzie się bawiło ich dziecko, jeździło na rowerku po alejkach, kopało piłkę na zielonej trawce. Może już teraz powinna napisać wniosek do spółdzielni o przerzedzenie tych gałęzi, bo chciałyby mieć lepszy widok na bawiącego się z Gutkiem brzdąca.

Zapalić, nie zapalić? Oto jest pytanie.

A co jeśli tym razem ciąża znów okaże się trefna? Nie może tak się stać. Limit pecha wyczerpany! Teraz będzie inaczej. Zrobiła przecież detoks od pracy i tych wszystkich chemikaliów. Ale te papierochy, no właśnie, je też powinna ograniczyć, wyeliminować...

Musi być dobrze. Musi być! Musi.

Dlaczego tak długo nie wraca z tymi lodami? Zośka niech się tapla w tym swoim ekoparentingu, niech się mota tymi swoimi chustami, niech karmi mlekiem i wpieprza soczewicę. Agata życzy jej szczęścia! Oby tylko tego szczęścia nie zabrakło jej i Gutkowi. Tym razem...

– Panie Boże, jeżeli mnie słyszysz i już się na mnie nie gniewasz za to, co zrobiłam, proszę, spraw, żebym miała dzieciątko, Ojczy nasz. I żeby było zdrowe, zdrowaś Mario. I żeby mi zrobili cesarkę i nie

kazali rodzić w bólach, bardzo proszę, Aniele Boży... – mamrotała pod nosem modlitwę, gdy nagle na karku poczuła ciepły oddech, a pod nos ktoś podsunął jej łyżeczkę ze śmietankowo-truskawkowymi lodami.

Schowała dyskretnie papierosy do kieszeni z gorącym postanowieniem, że aż do porodu nawet ich nie powącha, zresztą potem też nie wróci do nałogu.

Lody truskawkowe.

Zjadła całą rynienkę, wtulona w Gucia. A on, widząc, jak łapczywie się na nie rzuciła, nie ośmielił się spytać, czy się podzieli.

Ginekolog Agaty wyglądał jak szaman. Miał siwe półdługie włosy, a zamiast fartucha zarzucał na grzbiet flanelową koszulę w kratę. Na wieszaku obok sfatygowanej parki wisiał lniany worek, w którym trzymał różne skarby, na przykład telefon komórkowy z epoki kamienia łupanego. Ilekroć wibrował, cała zawartość worka brzęczała donośnie. Używał wielorazowych chustek higienicznych i pachniał ziołami. Dziwak straszny.

Trafiła do niego przypadkiem, w drugiej ciąży. Przyjmował w jednej z państwowych przychodni. Nie wiedzieć czemu, Agata była do niego przywiązana i ufała mu bardziej niż wszelkim magikom w eleganckich ciuszkach z sektora prywatnego służby zdrowia. Najwidoczniej wiele osób mu ufało, bo co chwilę ten jego worek brzęczał. Odbierał telefon i udzielał błyskawicznej porady.

Te globulki dopochwowo, nie doustnie, proszę pani.

Oczywiście, że termin porodu to nie deadline dla dziecka, tylko orientacyjny moment rozwiązania. Dziecko czasem sobie z tego terminu nic nie robi i ciąża trwa... A pani by już chciała urodzić? Nie ma sprawy. Gwarantuję pani, że każda ciąża kiedyś się kończy.

Ale ja nie dam pani na piśmie deklaracji, że na pewno nie zajdzie pani w ciążę przy tej metodzie antykoncepcji.

Orgazm? A może pani o tym porozmawiać ze swoim partnerem, a nie ze mną?

Podobnych telefonów odbierał bardzo wiele.

– Dzwonią z pierdołami takimi... – westchnął któregoś razu przy Agacie i szybko się zreflektował: – Pani też niech się nie krępuje dzwonić. Nawet z pierdołami!

To on przy poprzedniej ciąży Agaty wykrył na USG wielowadzie, to on wypisał jej skierowanie na aborcję i ostatecznie przeprowadził ją przez ten proces. Był taktowny, konkretny, ludzki, nieoceniający, szarmancki, delikatny, a że troszkę zalatywał jakimś zielskiem i miał najróżniejsze dziwactwa – mniejsza o to.

W tej ciąży zgłosiła się do niego z głęboką nadzieją, że tym razem się uda, że wszystko będzie w porządku, że wiosną oboje będą mieli satysfakcję z pomyślnego rozwiązania.

– Czy po ostatniej ciąży zrobili państwo badania, które sugerowałem? – zapytał.

– Nie. Nie pamiętam. To znaczy nie pamiętam, że pan coś sugerował.

– Badania genetyczne – powiedział spokojnie. – Miała pani dwa niepowodzenia: poronienie i wadliwą ciążę. Za takim wywiadem może stać nie tylko przypadek. Prosiłem, żeby zrobili państwo kariotypy. A czy tamten płód oprócz tego, że był zbadany przez patomorfologów, miał pobraną genetykę?

– Mnie pan o to pyta? Skąd mam wiedzieć, co oni z tym zrobili? Naprawdę nie miałam wtedy głowy, żeby się tym interesować.

– Rozumiem. – Doktor skrobał się po siwej nieujarzmionej czuprynie.

– Wie pan... Oboje z mężem pracujemy przy chemii i myślałam, że może to właśnie jest przyczyna, jakieś odczynniki, opary. Tak to sobie tłumaczę. Teraz od pierwszych chwil nie pracuję. Unikam wszelkich toksyn. No, przyznam, że trochę popalam, to znaczy popalałam, w tamtej ciąży i teraz też, ale już nie, bardzo ograniczyłam, prawie nic, tylko jak się mocno zdenerwuję, ale to już postanowione –

koniec nawet z takim popalaniem z nerwów. Myśli pan, że to przez papierosy i chemię? – Na twarzy Agaty malowała się skrucha.

– Palenie szkodzi pani dziecku, to pewne. Proszę natychmiast rzucić – odparł lekarz stanowczo. – Chemikalia w pracy również nie pomagają. Jest pani na zwolnieniu, więc nie ma pani z nimi aktualnie kontaktu. Myślę, że... Rozsądnie byłoby dowiedzieć się, czy jakaś trwała przyczyna nie stała za tamtymi zdarzeniami, zanim zdecydowała się pani na kolejną ciążę. Warto byłoby znać wasze kariotypy. Dlatego sugerowałem konsultację genetyczną. Ale widać nie zaznaczyłem tego dość wyraźnie.

– Nie zrobiłam tego. Ale chyba nie wyglądam jakoś... genetycznie, prawda? – Agata uśmiechnęła się, prezentując naprawdę przyjemną dla oka urodę. – Ani ja, ani mój mąż... Chociaż Gutek ma szewską klatkę i jest taki strasznie wysoki... Ale to chyba o niczym nie świadczy? – szukała potwierdzenia dla swoich domysłów. – A może zrobimy dziś USG i zobaczymy, czy wszystko jest OK? Możemy, prawda?

– Tak. Oczywiście, oczywiście. Zapraszam na badanie. Zobaczymy, jak to wygląda.

To.

Nie dzidzius, nie kruszynka, nie chłopczyk, nie dziewczynka.

Jak jest dobrze, to jest człowiek, jak może być źle, to jest „to”.

Droga do domu z przychodni wydłużyła się zamierzenie. Agata specjalnie poszła parkiem, zygzakiem, zamiast prosto, wzdłuż głównej ulicy.

I przez cały czas trzymała telefon przy uchu.

Zadzwoniła Zosia. Z przeprosinami za tę niezręczność po imieninach Grażyny.

– Niezręczność? – upewniła się Agata.

– Chodzi mi o tę całą dyskusję w kuchni. To było niepotrzebne. Wyobrażam sobie, jakie to dla ciebie trudne. Właśnie jestem po USG pierwszego trymestru i muszę ci powiedzieć, że gdybym dowiedziała się, że coś jest nie tak, załamałoby mnie to. To był taki stres czekać na słowa lekarza... Ach! Aż strach myśleć, co by było gdyby! A ty musiałaś to przeżyć, stawić temu czoło. Rozumiem twoją decyzję, Agatko. Nie oceniam cię i jeszcze raz przepraszam.

– Przeprosiny przyjęte. To wszystko?

– W sumie... tak. Pamiętaj, że zawsze będziesz miała we mnie przyjaciółkę.

– Ach, co za ulga – ironizowała Agata. Ale ironii Zosia nie chwyciła.

– Uff. Ulżyło mi, że już mamy tę rozmowę za sobą! Wiesz, nie mogę się doczekać naszych wspólnych spacerów z maluszkami. Zobaczysz, jak nam słodko zleci ten czas z bobaskami! Zobaczysz, jakie to będzie cudne! A tak w ogóle to jak często chodzisz do swojego ginekologa? Bo wiesz, ten mój, ma piękny gabinet przy ul. Chmielnej, gwiazdy tam chodzą z ciążami i z problemami, ale... Nie jestem przekonana co do jego kompetencji. Powiedział, że ciąża fizjologiczna prowadzi się sama i kazał mi przyjść dopiero za miesiąc. Liczyłam na więcej...

– Na więcej? Na przykład na ciążę nefizjologiczną?

– No nie... Absolutnie! Myślałam po prostu, że ze mną porozmawia, przeanalizujemy moje różne symptomy i przeczucia... Bo jak na przykład w ciąży nie jem mięsa, nabiału, tego i owego, to myślałam, że przedyskutujemy moją dietę i ewentualną suplementację jakichś składników, ale jak widać, nawet w prywatnych gabinetach ginekolodzy bywają niezbyt rozmowni. Przynajmniej niektórzy. Powiedział, żebym poszła do dietetyka...

– Ach... – Chwila milczenia po obu stronach. – To wszystko? – powtórzyła Agata.

– W sumie chciałam jeszcze spytać, kiedy zrobisz pierwsze USG... Wolałabyś chłopczyka czy dziewczynkę?

– Wolałabym zdrowe dziecko – mruknęła. – To wszystko?

– Właściwie... Ojej. Ty chyba jesteś mocno zajęta! Masz studentów? Myślałam, że już nie pracujesz...

Nie chcę przeszkadzać...

– No to cześć.

Później zadzwoniła Grażyna. Z przeprosinami za to, że ma taki długi język.

– Długi język... – westchnęła Agata.

– No jakoś tak mi się zaplątał i wypaplał więcej, niż powinien... Ja wiem, córciu, że ta, no wiesz, a-bor-cja... – mówiła jak w konspiracji. – Nie żebym ja cokolwiek oceniała, bo to właściwie... to tylko twoja sprawa. Znaczą twoja i Gutka. Wiesz, ja chciałam dobrze, chciałam Zosi jakoś wytłumaczyć te twoje kaśliwości przy stole.

– Kaśliwości przy stole?

– No właśnie. I pomyślałam, że jak będzie wiedzieć o wszystkim, to spojrzy na to ze zrozumieniem i pojmie, dlaczego zachowujesz się tak, jak się zachowujesz. I tak właśnie było. Zosia wszystko rozumiała. Uwierz mi. A my się już chyba na siebie nie gniewamy, prawda? Zosia to przecież rodzina i będzie dyskretna.

– Oby nie była tak dyskretna, jak ty. Poza tym, biologicznie rzecz biorąc, szwagierka i synowa to nie rodzina. Ale nazywaj ją sobie, jak chcesz.

– Oj, już nie bądź taka...

– Jaka?

– Kaśliwa. Najważniejsze, że znów jesteś w ciąży i teraz będzie wszystko w porządku, zobaczysz! U Jurka będzie chłopiec, wiesz? Zosia była dziś na U-ES-GIE, takim specjalnym, z oceną nosa, karku i przy okazji ocenili też płęć, że niby siusiak! Chłopczyk... Na pięćdziesiąt procent.

– Pięćdziesiąt procent. No, proszę... Ciekawa informacja...

– Gdyby u ciebie był chłopczyk, mogliby się bawić razem. Wiesz już, co będzie?

– Na pięćdziesiąt procent dziewczynka.

– Ach, tak... Właściwie pamiętam, że ty i Jureczek też się bawiliście razem, więc mogłoby być u ciebie cokolwiek... Byłe zdrowe! Miałam nikomu nie mówić, że u nich chłopczyk, ale w końcu i tak pewnie się dowiesz... Ach, ten mój długi język!

Agata usiadła. Nie mogła iść dalej. Schowała głowę w dłoniach i bez łez, bez szlochu, bez żadnych fizycznych symptomów, płakała. Płakała wewnątrz.

Zadzwonił Gucio.

– I jak? – spytał. – Albo nie odbierasz, albo masz zajęte, a ja tu umieram z niepewności!

Nie mógł towarzyszyć Agacie na badaniu, bo miał spotkanie w sprawie grantu. Nie dało się go przełożyć na inny termin – czas gonił i nie było miejsca na żadne osobiste wymówki.

– Nijak – powiedziała Agata, wpatrując się w krzywe płyty chodnikowe, choć wokół było dużo zjawiskowych obiektów do podziwiania. Błękit nieba, migoczące w słońcu pożółkłe liście, kaczkę zbierającą się przy brzegu w nadziei na okruchy od przechodniów. – Zupełnie nijak.

– To znaczy? Mów jaśniej.

– Nie spodobał mu się ten nasz dzieciak. Wskaźnik NT trochę powyżej normy. NT, pamiętasz, to przezierność karkowa. Jak jest za duża, to większe szanse, że coś jest źle. Powiedział, żebyśmy sobie nie robili zbyt wielu nadziei, bo sytuacja może się powtórzyć. Nie miał dobrej miny – mówiła spokojnie, nawet nie płakała. – Narządy wymagają jeszcze dokładnej oceny, na razie jest na to zbyt wcześnie. Proponował amniopunkcję, za trzy tygodnie, a tymczasem powinniśmy oznaczyć sobie kariotypy i musimy

się umówić do genetyka. Mówił, że jeden raz to może być przypadek, dwa – zbieg okoliczności, no ale trzy... – zrobiła przerwę na wdech i wydech, niespokojne, szarpane.

– Gdzie jesteś?

– Park Szcześliwicki. Siedzę na ławce, na której wypaliłeś kwasem moje imię. Ten napis jeszcze się trzyma, wiesz?

– Nie ruszaj się. Poproszę studentów, żeby uprzątnęli lab i będę tam za chwilę.

Obiektywnie chwila trwała siedemnaście minut, ale w odczuciu Agaty – całą wieczność. Nie zdążyła strawić diagnozy ginekologa, próbowała przypomnieć sobie wszystkie jego zalecenia, ale chwilowo to nie było ważne. Zawsze przecież mogła zadzwonić do swojego lekarza i o wszystko dopytać. Pacjentki dzwonią do niego z pierdołami, może zadzwonić i ona ze swoją pierdołą.

W jej głowie kłębiły się różne scenariusze. Co zrobi? Tym razem...

Znowu usunie. Raz to przeżyła, przeżyje i kolejny. Poprosi, żeby bardziej ją otumanili lekami, a potem przez jakiś będzie łykała antydepresanty, aż odnajdzie równowagę. Czym sobie zasłużyła na taki los? Dlaczego nie może, jak wszyscy na tym pieprzonym fejsie, urodzić sobie zdrowego bobasa i puścić w świat foty – oto nasz kruszynek, waga 3700, zdrowy, różowy, 10 punktów Apgar!

Nie. Nie usunie. Nie zniesie tego po raz kolejny. Urodzi i zmierzy się z każdym defektem tego człowieka, da mu tyle ciepła i miłości, ile tylko będzie potrzebował. Podejmie heroiczną walkę o jego egzystencję. Poświęci siebie. I swój doktorat, pożał się, Boże... I całe swoje życie poświęci...

Co zrobi?

Dopiero w ramionach Gucia odnalazła spokój i przystanek dla gonitwy myśli.

– Cokolwiek postanowimy, zrobimy to razem – zapewnił. – Na razie nie panikuj. Zrobimy te wszystkie badania, kariotypy, amniopunkcję, zobaczymy, jak się ta ciąża rozwija. A teraz może pójdziemy coś zjeść? Masz ochotę na leniwe z baru mlecznego? Bo ja tak. Chodź. I nie myśl za dużo. Kocham cię. Razem wszystko przetrwamy!

Diagnostyka ruszyła galopem, a każdy dzień oczekiwania na wyniki dłużył się w nieskończoność.

Zanim zrobili amniopunkcję, postanowili zgłębić, co siedzi w ich genach.

U niej na pewno: mały biust, drobne kości, skłonność do trądziku, z którym walczyła jako nastolatka, niekoniecznie we właściwy sposób (pamiętki w postaci blizenek wciąż były obecne na jej skórze). Miała ładnie wykrojone usta i wyjątkowo gęste brwi, które schodziły się w połowie twarzy. Do tego mysi blond, który od lat rozjaśniała słoneczną farbą. Dzięki utleniaczom, kosmetykom do makijażu, pincecie i tej drobnej operacji plastycznej sprzed dziecięciu lat, była z niej naprawdę atrakcyjna kobieta, żeby nie powiedzieć – niezły lachon, jak czasem nazywał ją Gucio, zgrywając szowinistycznego macho.

W jego genach: ta nieszczęsna szewska klatka piersiowa, wzrost wyróżniający, chudość niemalże anorektyczna i intelekt. Nieprzeciętny. Do tego dobre oczy i bardzo kiepski nos – z garbem i spiczastym końcem.

Różne rzeczy mamy w genach.

On umie zwinąć język w rurkę, ona nie. On jest leworęczny, a ona niezręczna. On ma tiki, a ona skłonność do uzależnień.

Geny to też temperament, otwartość na doświadczenia, ekstrawertyzm, orientacja seksualna. Cały garnitur naszego genetycznego wyposażenia podlega obróbce środowiska, które nas modeluje, kształtuje, zmienia i dzięki tym wpływom stajemy się unikatami, stajemy się sobą.

Każde nasze doświadczenie kształtuje nas na nowo – na bazie tego, kim już jesteśmy. Dieta, kariera, porażka, choroba, miłość – to wszystko zostawia ślad.

Geny czy środowisko? I jedno, i drugie. A jak!

Zośka nie urodziła się weganką.

Tomek nie urodził się inwalidą.

Jurek nie urodził się bogaty.

Grażyna nie urodziła się cycata.

Cholera, myślała Agata, niech z tych jej i Gutka genów powstanie jakaś zdrowa baza dla dziecka, dla tego małego człowieka, którego tak bardzo pragnęli.

Dzierząc wynik kariotypów w dłoniach, Agata i Gutek już na pierwszy rzut oka wiedzieli, że choć problem z prokreacją dotyczy ich obojga, tak naprawdę przyczyna niepowodzeń leży po jednej stronie. Tyle byli w stanie wywnioskować z wyników, które osobiście odebrali w zaklejonej kopercie. Mina laborantki zdradzała, że coś jest nie tak. Opis również nie budził wątpliwości.

Gustaw Rzeka – 46 XY, kariotyp prawidłowy, męski.

Agata Mróz-Rzeka – kariotyp 46, XX, t(5,21), kariotyp żeński, translokacja zrównoważona wzajemna fragmentów chromosomów 5 i 21.

– Ma pani translokację zrównoważoną – oznajmił genetyk, Ireneusz Gwizdalski.

Był to siwy mężczyzna, z pomarszczoną twarzą, szpakowaty, ale przystojny, bardzo poważny na okoliczność wygłaszanej diagnozy.

Na wizytę zgodził się z dnia na dzień. Doskonale rozumiał, że niektóre rozmowy nie mogą czekać. Ginekolog Agaty go polecił i osobiście zaanonsował mu jej problem. Ginekolog i genetyk, obaj potraktowali jej „pierdołę” bardzo poważnie. Studiowali razem i chyba się kolegowali. W każdym razie wyglądali, jakby w godzinach wolnych od pracy palili jeden towar, bo od genetyka pachniało tym samym ziołem.

Gwizdalski – na co dzień nudziarz, gbur, lekko autystyczny geniusz, który miał licznych doktorantów, żadnych przyjaciół i jednego małoletniego potomka ze studentką, w gabinecie wcielał się w przystępnego profesjonalistę, emanującego wyuczoną empatią.

Dla Agaty i Gucia najważniejsze było, że gość zna się na rzeczy i wie, co mówi. Kiedyś na studiach byli chyba na jego wykładzie; zupełnie nie słuchali, za to poruszali jakieś gorące egzystencjonalne tematy. Z wykładu nic nie pamiętali. Tak naprawdę, mimo że z genetyką miewali nieco do czynienia w trakcie studiów, nie byli pewni, czy rozumieją, o czym teraz mówił.

– Kawalek jednego z chromosomów dwadzieścia jeden jest na jednym z pani chromosomów pięć, a kawałek chromosomu pięć jest na jednym z chromosomów dwadzieścia jeden. Tak jakby wymieniły się miejscami. – tłumaczył, rysując na kartce prążkowane nitki spaghetti. – Ilość materiału genetycznego się zgadza, ma pani komplet genów, tyle ile trzeba, ze wszystkich chromosomów.

– To chyba dobrze, prawda? – dopytywał Gucio.

– Ma pani komplet genów, ale są one nieprawidłowo rozlokowane. Dlatego też pani gamety różnią się i nie wszystkie są...

– Dobre? – Gucio wtrącił się ponownie. Przyspieszał, poganiał. Zawsze tak miał, gdy się denerwował.

To samo robił, gdy studenci na kolokwiach odpowiadali opieszale na pytania. Przejmował wtedy stery i mówił za nich, robiąc im wykład. Albo wchodził im w słowo i kończył ich myśl, zanim jeszcze zdążyli ją wyartykułować. A potem puszczał wszystkich z zaliczeniem. Agata zawsze cierpliwie słuchała, pozwoliła każdemu w pełni zaprezentować swoją wiedzę albo niewiedzę, a potem, gdy się upewniła, że to koniec studenckiego wyводу, ustosunkowywała się do niego adekwatną oceną.

– Te gamety, powiedzmy, że... nie wszystkie mają prawidłowy skład chromosomowy. Jedna czwarta – owszem, jest prawidłowa, jedna czwarta ma niewystarczającą ilość chromosomu pięć i nadmiar

chromosomu dwadzieścia jeden – i z nich prawdopodobnie powstają płody z zespołem Downa, jedna czwarta ma niewystarczającą ilość chromosomu dwadzieścia jeden i nadmiar chromosomu pięć, a jedna czwarta ma układ zrównoważony – taki jak u pani. Ilość materiału genetycznego jest prawidłowa, ale gameta przekazuje translokację do następnego pokolenia – kontynuował wykład. Agata podparła policzek na dłoni. Jej oczy zaszyły łzami. Do tej pory trzymała się dzielnie, ale teraz coś w niej pękło. Gutek pogładził ją po plecach, a Ireneusz wręczył jej chusteczkę z kartonowego pudełka w kwiaty. – Wiem, że to dla pani trudne, biorąc pod uwagę wszystko, co już pani przeszła... – genetyk wzniósł się na wyżyny swoich empatycznych możliwości, rzucając w kierunku Agaty wystudiowany tekst, a potem spytał, czy może mówić dalej.

– Tak, oczywiście. – Agata wytarła oczy.

– W kontekście planów prokreacyjnych: ma pani szansę urodzić zdrowe dziecko. Szansa ta wynosi pięćdziesiąt procent, przy czym połowa z tych zdrowych dzieci będzie miała zupełnie prawidłowy materiał genetyczny, a połowa będzie miała taki sam układ chromosomów, jak pani, to znaczy, że będzie cieszyła się zdrowiem, ale będzie miała podobne prokreacyjne problemy i dylematy... A wszystkie te zarodki, które będą miały translokację niezrównoważoną – za mało jednego i za dużo drugiego chromosomu, albo się poronia, mogą mieć wady, upośledzenie, objawowy zespół Downa, ciężko przewidzieć, co dokładnie...

Agata starała się nadążyć, ale jej wykształcenie chemiczne i inteligencja – powiedzmy przeciętna – nie pomagały chwycić w locie słów genetyka.

– Rozumiem, że mamy szansę pół na pół na zdrowe dziecko, tak? – dopytywał Gutek, który przytomnie słuchał i najwyraźniej nadążał.

– Tak.

– To dlaczego już trzeci raz się nie udało? Chyba nawala ta statystyka... – włączyła się Agata, uderzając dłonią w schematy, które genetyk rysował przez ostatnie kilkanaście minut.

– Taki pech – powiedział Ireneusz z niewzruszoną miną. – To, co było, każde przeszłe niepowodzenie, nie zwiększa szans na sukces w kolejnych ciążach. Każda ciąża to nowe rozdział. Nie ma na nią wpływu to, ile razy się nie udało... Zresztą – pewnie to państwo rozumieją, jesteście wykształconymi ludźmi.

Zapadła cisza.

Dłonie Agaty i Gucia spotkały się na jej brzuchu, w którym rosło – statystycznie rzecz biorąc – z równym prawdopodobieństwem zdrowe dziecko albo niezdrowe „to”. Biorąc pod uwagę ostatnie obrazy USG, szanse na zdrowie pewnie maleją. Amniopunkcja – kolejny przystanek w całej tej zaawansowanej diagnostyce – rozwieje wątpliwości.

– Mam jeszcze jedno pytanie – spytała przytomnie Agata. – Moja szwagierka jest w ciąży. Czy to możliwe, że mój brat... też ma tę translokację?

– Powinien się zbadać – odparł genetyk. – Może być tak, że pani genotyp to kwestia przypadku, sporadyczne zdarzenie, incydent, błąd w trakcie mejozy, w trakcie tworzenia się gamet, ale... może nie. Może oboje dostaliście taki genotyp w spadku po którymś z rodziców? Powtórzę: brat powinien się zbadać, powinni wiedzieć.

Spotkanie rodzinne przy stole u Grażyny. Bez rarytasów, tylko herbata i kawa, bo Agata zwołała to rodzinne zebranie tak nagle i Grażyna nie zdążyła się przygotować. Przetrzepała spiżarkę i lodówkę w poszukiwaniu czegoś słodkiego, ale nic nie znalazła.

– Tak mi głupio, że nie mam was czym poczęstować. No ale wybaczcie, byłam na grobach zapalić znicze i tak jakoś wyszło, że naprawdę nic nie mam. Tak się ostatnio zatracam w swoich pasjach i zapominam nawet o zakupach...

– W swoich pasjach? – Jurek był wyraźnie zaintrygowany.

– Ach... No mam takie zajęcie, ale nie chcę teraz o tym mówić... Od mamy zawsze powinno się wychodzić sytym! Tym bardziej od babci, przyszej babci, jak by nie patrzeć...

– Nie przejmuj się, mamu. Herbatka pyszna – zapewniła Zosia, która nawet gdyby cokolwiek leżało na stole, z dużym prawdopodobieństwem by tego nie zjadła, bo zawierałoby jakiś zakazany składnik.

– Ale nie martwcie się, moje wnuki będą rozpieszcząć pysznościami! Oj, tak! Będą miały u mnie rajsko! Babcia zawsze będzie miała dla nich łakocie...

– Ze słodczy planuję podawać mojemu synowi wyłącznie bakalie – oświadczyła stanowczo Zosia.

– No to będę miała suszone śliwki – zadeklarowała Grażyna. – W czekoladzie...

– Oj, nie, nie. Bez czekolady! – Zosia zaczęła machać rękami na znak protestu. – Może daktyle albo migdały?

– Ale co to będzie za rozpieszczanie? Daktylami i migdałami to można karmić studenta w trakcie sesji, a nie takie przedszkolne berbecie... Przecież one potrzebują energii! Kinderczekolada i nutella! Spalą to szybciej, niż zdążysz pomyśleć, że im zaszkodzi.

– A próchnica? Nawyki żywieniowe? Przecież to same tłuszcze i cukry proste. Żadnych wartości odżywczych. Nie zgadzam się. Oj nie, nie...

– Nie żebym się wtrącała, ale uwierz mi, słonko, nie uda ci się wychować dzieci na takiej restrykcyjnej diecie, jaką sama stosujesz. Kiedyś pójda do ludzi i poznają te wszystkie zakazane smaki. No ale z matką się nie polemizuje, wiem, wiem. Znam swoje miejsce w szeregu. – Zosia, usatysfakcjonowana jej deklaracją, uśmiechnęła się promiennie i wypięła swój brzusek, który ledwo się zaznaczał nad spojeniem łonowym, ale i tak eksponowała go w T-shircie z wymownym napisem: „Wychodzę w maju”, żeby nikt nie miał wątpliwości co do jej stanu. – Pamiętajcie, drogie dzieci – ciągnęła Grażyna – że jakby coś, to cóż... Zawsze będę pomagać w sytuacjach kryzysowych, ale niestety pełnoetatowej niańki ze mnie nie zrobicie. Oj, nie!

– Moje życie to jeden wielki kryzys – rzuciła Agata. – Czy w takim razie mogę liczyć na stałą pomoc? – Przez tę całą gadkę o słodczych i bakaliach na moment zapomniała o prawdziwym celu tego spotkania.

– Zaraz kryzys! – zachnęła się Grażyna. – Ty to jesteś taką pesymistką i czarnowidzką, jak mało kto! Myśl pozytywnie, a na pewno los się odwdzięczy. No, to skoro mamy już jasność, że nie będę niańczyć wnuków... Dobrze, powiem wam. Zdradzę, co jest moją nową pasją. Otóż ostatnio chodzę na kurs. Malarstwo abstrakcyjne. Tak, tym właśnie zajmuje się wasza matka – powiedziała z pełną powagą, którą dużo trudniej było zachować zgromadzonym przy stole. – Nie śmieście się! Moi nauczyciele mówią, że mam talent. Nie mogę go zaprzepaścić. Ale nie martwcie się. Okazjonalnie, w przerwie między przyływami weny, chętnie doglądnę maluchy.

– Ależ, mamu! Nikt nawet nie pomyślał, żeby cię angażować do stałej opieki. Wnuki są do kochania i rozpieszczania, a nie do wychowania – powiedziała Zosia, synowa idealna.

– Mów za siebie – wtrąciła Agata. – Ale faktycznie, ja też nie oczekuję od ciebie pomocy i nie przyszedłam tu pogadać o opiece nad wnukami, których jeszcze nawet nie masz, tylko...

– Wiem! Wiem, wiem, wiem! – Grażynę jakby olśniło. – Usmażę wam racuchy! Dajcie mi trzy minuty.

– Tylko nie z mąki pszennej, bo ja i Jerzy nie jadamy takiej. Kukurydziana albo ryżowa, jeśli masz...

– Nie wiem, nie wiem, kiedyś kupowałam, ale... Sprawdzę.

– Usiądź, mamu – poprosiła Agata. – Obędziemy się bez racuchów.

– Zdaje się, że i tak nie mam tej mąki. Tylko pszenna, ale grubo mielona. Typ tysiąc dwieście, może być?

– Razowa? – zapytała Zosia. – To nic nie zmienia, mamu. Gluten to gluten. Zło. Do białych śmierci: cukru i soli, należy dopisać jeszcze mąkę – pouczała.

– Taaa... I mleko... I jajko... – szydziła Agata. – Dziwne, że zabija cię to, co wszystkich innych odżywia.

– To może ugotuję wam kaszy? – Grażyna nie dawała za wygraną. – Chyba mam pęczak...

– Mamo! – krzyknęła Agata. – Przestań się zamartwiać naszymi żołądkami, bo nie przyszliśmy tu jeść. Dajcie mi coś powiedzieć. Zebrałam was tu po to...

Rozejrzała się po pokoju. Na twarzy Grażyny emeryckie troski: „Czym tu dzieci ugościć?”, u Zośki ciążowe rozanielenie, a na twarzy Jurasu duma i jakiś taki dziwny zarost, nieestetyczny. Pewnie Zośka chce go upodobnić do Rumcajsa. Szkoda mącić to ich poczucie spokoju, zasiewać nutkę niepewności. Ale przecież mieli prawo wiedzieć.

Przy merytorycznym wsparciu Gutka Agata powtórzyła własnymi słowami wykład profesora Gwizdalskiego. Nawet zrobiła rysunek. Starła się być dokładna i precyzyjna. Gutek co chwilę wzbogacał jej emocjonalną wypowiedź jakimś naukowym żargonem.

Zosia, Jurek i Grażyna wysłuchali ich cierpliwie, z umiarkowaną uważnością i z wyrazem maksymalnego współczucia na twarzach.

– Cokolwiek masz w tych genach złego, kochanie... – Grażyna złapała córkę za dłoń – z pewnością to po tej gnidzie, tym twoim parszywym ojcu, kurwiarzu.

– Biedaczko! – zawołała Zosia ze zboląłą miną. – To takie smutne. Powiedz mi, proszę, czy tę twoją transakcję jakoś się leczy?

– Translokację – poprawił ją Gutek.

– Nie leczy się – powiedziała Agata zgodnie z prawdą. – Zawsze będę nosicielką takiej translokacji zrównoważonej.

– To straszne. To naprawdę okropne. To znaczy, że każde twoje dziecko... Będzie chore? O, rety! To, które masz w łonie, też? – wzdychała Zosia.

Agata starała się być spokojna, opanowana, niekaśliwa.

– Nie, Zosiu. Mam szansę na zdrowe dziecko. To, które mam w sobie, też może być zdrowe. Nie wiadomo. Gdybyś uważnie słuchała, tobyś to zrozumiała i domyśliłabyś się, że nie dzielę się z wami tym wszystkim w poszukiwaniu współczucia i wsparcia. Mówię tylko, że Juras też może być nosicielem translokacji zrównoważonej, a wtedy problem dotyczy was w takim samym stopniu, jak mnie i Gucia.

Zosia spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Czy ty... Co ty chcesz nam powiedzieć?

– Że jeśli Juras odziedziczył taką samą translokację, też może płodzić chore dzieci.

Juras ożywił się, dopiero gdy usłyszał swoje imię.

– Czy ty...? Czy ty chcesz nam zrobić na złość? Chcesz... Czego ty właściwie chcesz? Przecież będziemy mieć z Zosią zdrowe dziecko! Chłopca! Tak powiedział ginekolog!

– Gratuluję. Cieszę się, że wam się udało. Być może to was w ogóle nie dotyczy. Może czekają was same sukcesy prokreacyjne i tuzin zdrowych dzieci w perspektywie następnych lat – Agata mówiła przez zaciśnięte zęby. – Po prostu czułam się w obowiązku, żeby wam o tym wszystkim powiedzieć. Zrobicie z tą wiedzą, co chcecie. Idziemy, Gutek!

– Translokacja zrównoważona? No, proszę! Może i jesteś zrównoważona genetycznie, ale na pewno nie psychicznie! – warczał Jurek.

– A... a racuchy? – Grażyna starała się ich zatrzymać. – Zdaje się, że mam mąkę migdałową. Raz dwa i usmażę! Zostańcie chociaż na racuchy...

Po kilku dniach zadzwonił Juras. Okazało się, że jest genetycznie nieskazitelny.

- Cieszę się bardzo i gratuluje – powiedziała Agata. – Niezależnie od tego, co sobie myślisz, naprawdę dobrze wam życzę.
- Dziękuję. Właśnie czekamy na spotkanie z położną, która ma z nami zaplanować szczegóły porodu domowego. Miło nam będzie, jeśli ty i Gutek będziecie nam przy nim towarzyszyć ...
- Nie wiem. Jeszcze kilka miesięcy, więc mamy czas do namysłu. Zastanowimy się. Prawdę mówiąc, podziwiam waszą odwagę.
- Dlaczego?
- Przecież tyle może się wydarzyć w trakcie takiego porodu... Sądziłam, że się rozmyślicie.
- A czemu mielibyśmy się rozmyślić? Agatko, nie każdy ma w sobie takie pokłady pesymizmu, jak ty. My wierzymy, że wszystko będzie dobrze. I z twoją ciążą też będzie dobrze, zobaczysz!
- Dziękuję za wiarę... Coś jeszcze?
- Nie, no... Tak tylko chciałem spytać, co u was? Masz jakieś dobre wieści?
- Cóż, przyciągamy wszelki pech i z pewnością optymizm nas przed nim nie chroni – westchnęła Agata.
- Nie mamy żadnych wieści. Ani dobrych, ani złych.
- Zosia tak się przejęła tą twoją diagnozą, że splądrowała cały internet, a nawet poszła dopytać pewnego genetyka, co i jak, na wypadek gdybym okazał się jakiś trefny...
- Trefny? Tak jak ja?
- To znaczy... Nie, nie... Nie żebyś ty była trefna, tak mi się tylko powiedziało. Jesteśmy z tobą! W każdym razie była u jakiegoś majstra od genetyki. No wiesz, zanim odebrałem wyniki, też mieliśmy odrobinę stresu. Powiedział jej, że można zrobić diagnostykę pre-im-plan-ta-jakąś-tam i wyeliminować te zygoty, które są nieprawidłowe. Robią to! Serio. Nie wiem, czy byśmy się na to zdecydowali, bo Zosia w ogóle lubi wszystko naturalnie, a to by się wiązało przecież z in vitro... Ale rozważaliśmy różne opcje... Dawstwo spermy, adopcję też. No ale na szczęście możemy się rozmnażać bez obaw.
- Na szczęście...
- A ty nie myślałaś o tej całej diagnostyce preimplanta-yy-cyjnej?
- Myślałam, myślałam. Może masz pożyczyć pieniądze na taką procedurę? Może umiesz się cofać w czasie i sprawić, żeby ciąża, w której jestem, była ze zdrowej zygoty? Potrafisz? – Agata nie potrafiła już ukryć irytacji.
- Ach, Agata... Ja przecież mówię o przyszłych ciążach...
- Ach, Juras.
- Chciałem dobrze.
- Zajmij się swoim szczęściem – warknęła i rozłączyła się.

Gucio dostał grant ministerstwa na swoje badania. Powinien skakać z radości i uczić to partyjką brydża z kumplami z labu, przy piwie i muzyce alternatywnej, jednak nie tym razem.

Myśli miał zaprzątnięte wynikiem kariotypu ich dziecka, który dzierżyli w dłoniach, na zmianę przekładając je sobie z rąk do rąk. Gutek, do tej pory skrycie zaniepokojony, teraz był cały zlany potem, blady i rozedrgany. Agata, dotychczas podminowana i warcząca, teraz wydawała się być zupełnie zobojętniała na wszelkie informacje, które mogły się znajdować w tej kopercie. Pozornie.

- Ty otwórz – powiedział Gutek.
- Nie ma mowy. Ty otwórz.
- To ty jesteś w ciąży – ty otwórz.
- Właśnie dlatego, że to ja jestem w ciąży, ty otworzysz.

Znali statystykę, wiedzieli, jakie mają szansę na zdrowe dziecko, ale ze wszystkich sił odpychali od siebie złe myśli. Nie byli przygotowani na najgorsze. Oboje mieli nadzieję.

Nie chcieli ponownie przeżywać piekła poprzedniej ciąży. Bali się.

„Optymizm to podstawa”, powtarzał im Jurek.

„Musi być dobrze!”, przekonywała Grażyna.

„Trzeba zaczarować los”, pieprzyła Zosia.

Pozytywne myślenie! Hip-hip-hura! Hakuna matata!

Los się uśmiechnie!

Przez chwilę naprawdę uwierzyli, że będzie dobrze.

Rozczarowali się bardzo.

Los się nie uśmiechnął. Wyśmiał ich.

*

Kolejne imieniny Grażyna obchodziła już jako babcia. Tym razem w nieco bardziej kameralnym, rodzinnym gronie, bo Zosia zapowiedziała, że jeśli będą dzikie tłumy, to na pewno nie przyjdzie z dzieckiem. Grażyna rozbiła imprezę na dwie tury. Dla dzieci i dla całej reszty.

Synek Juras, Teodor Eugeniusz Mróz, był tego dnia wyjątkowo marudny. Nie pasował mu jakiś składnik wprowadzony do diety. Zareagował wysypką i jęczał okropnie, więc umęczona Zosia nosiła go na rękach, na zmianę z Jurasem, który po doświadczeniach rodzicielskich radykalnie zredukował swoje plany rozrodcze: kiedyś chciał mieć czwórkę, ale aktualnie planował zakończyć prokreację na jednym dziecku. Tym, które już miał.

– Może przywiąż go do siebie tą swoją tkaną chustą od Grzegorza? – zaproponowała życzliwie Agata.

– Może to go jakoś ukoi...

– Ukoi? Ehe! – zachnęła się Zosia. – Ten czort protestuje przy próbie wiązania. Rozwścieczam go tym jeszcze bardziej. Nie wiem, co robię źle!

– Nie żebym coś sugerowała, ale stres często udziela się dziecku... – zaczęła w swoim stylu Grażyna.

– Ach tak? Mama to zawsze ma jakieś trafne spostrzeżenia! Masz, trzymaj go. – Zosia oddała Teodora ojcu. – Cała jestem w jego wymiocinach. Muszę do łazienki...

Malec ukraślił chinosa Jurka gastryczną treścią, a potem zostawił na jego koszuli zacieki ze śliny. Młody, cały w blad różowe cętki, ponoć uczuleniowe, cały czas wydawał dźwięki niezadowolenia.

– Jurek to się uspokojał przy cycku. – westchnęła Grażyna. – Od razu. Ssał mnie ponad rok, a ty, Agatko, cycusia nie lubiłaś za bardzo. Sama odstawiłaś się od piersi jak miałaś dwa i pół miesiąca... – Jurek gibał się rytmicznie, góra, dół, góra, dół. Mały najwyraźniej nie czuł tego rytmu, bo wciąż jęczał. – A właściwie dlaczego Teoś nie je piersi? – dopytywała Grażyna. – Nie żeby to była moja sprawa, ale czytałam, że mleko matki jest najlepszym pokarmem dla niemowlęcia, a Zosia przecież planowała...

– Planowała, planowała... – przerwał jej zrezygnowany Jurek. – Ale po tym cięciu cesarskim jakoś się rozstroiła, nie mogła utrzymać tej całej laktacji, a mały nie przybierał. W końcu dostał butlę i tak już zostało...

– Jak ona ma produkować mleko, skoro je tylko ziarna i zieleninę? – zastanawiała się Grażyna.

– Krowa w sumie je tylko zieleninę i produkuje mleko – zauważył Grzegorz. – Może to rzeczywiście stres?

Zosia wróciła z łazienki z przepraną koszulką, poprawioną fryzurą i skwaszoną miną. Nie wyglądała radośnie, optymistycznie i promiennie. Jej macierzyństwo w rozkwicie okazało się niezbyt pięknym kwiatem i zdecydowanie jej nie służyło.

– Co się tak na mnie gapiacie? – warknęła. – Coś jest nie tak?

– Nie... nic. Tak sobie rozmawiamy tylko... – Jurek natychmiast oddał jej syna. – Teraz twoja kolej.

– Rozmawiamy o karmieniu piersią – wypaliła Grażyna. – I jestem bardzo niepokieszona, nie żeby to była moja sprawa, ale pokarm matki jest najwłaściwszy dla malucha i myślę, że pierś byłaby dla niego lepsza niż te modyfikowane mleka. Ten biały proszek to sama chemia! Prawda, Agatko? Prawda, Guciu? Oni się znajdują na chemii, to ci powiedzą...

– Wszystko, co jemy, jest chemią. Każde mleko. Nawet mleko mamy. Tylko to mleko mamy to... taka chemia doskonała. – Gutek się uśmiechnął, a Agata milczała.

Właściwie nie miała zdania na ten temat. Prawdę mówiąc, pomyślała przez chwilę, króciutką, że chciałaby, ewentualnie, spróbować karmić synka piersią.

Teoś wciąż jęczał.

– Daj mi go – zaproponowała spokojnie. – Może ciocia trochę pobuja? – Uśmiechnęła się do Teosia, który, o dziwo, uspokajał się zawsze pod wpływem jej łagodnego dotyku.

– No, proszę, proszę... Jak się odnalazł w twoich ramionach. Mówię, wam: dzieci lubią spokój – zauważyła Grażyna. – A ty, Zosiu, przestań się wygłupiać z tą dietą i zacznij coś jeść! Laktacji już nie uratujesz, ale jak jeszcze zmarniejesz, to w ogóle sił do opieki nad Teosiem nie będziesz miała!

– Czy wy wszyscy macie zamiar się nade mną pastwić? Nie karmię piersią, wielkie mi rzeczy! Nie wyszło, po prostu! Poród mi nie wyszedł, karmienie mi nie wyszło... – Zosia coraz bardziej podnosiła głos. – Nie wszystko wychodzi tak, jak sobie planowaliśmy, do cholery!

– To prawda – rzuciła Agata. – Nie wszystko wychodzi tak, jak sobie planujemy.

Zapadła cisza. Nawet mały Teodor przestał kwilić i przysypiał właśnie w ramionach Agaty.

– Przepraszam, Agatko – powiedziała w końcu Zosia. – Ja po prostu... Ja wiem, że ty... Sama siebie ostatnio nie poznaję. Naprawdę, nie chciałam cię urazić.

– Nie uraziłaś. – Gdy Agata odłożyła podsypiającego malca do gondolki wózka, Gutek objął ją ramieniem. Już się wydawało, że sytuacja jest opanowana, gdy ciszę przerwała dźwięczna defekacja niemowlaka, na co wszyscy zareagowali żywym śmiechem.

– Kupa. Pewnie to go tak męczyło – zdiagnozowała Agata.

– Gdzie są pieluchy, Jureczku? – spytała Zosia.

– W torbie – odparł zobojeźniały Jurek.

– A gdzie jest torba?

– W aucie. Albo... chyba raczej zostały w domu.

– Nie wzięłaś torby? Świetnie! Po prostu świetnie! Czy ja naprawdę muszę o wszystkim pamiętać? Czy ty raz jedyny nie mógłbyś pomyśleć o czymś sam?

– Cicho! Błagam cię, kobieto, nie jęcz! – zirytował się Jurek, po czym wstał i wyszedł kupić pieluchy.

– I pomyśleć, że tyle chaosu do ich życia wprowadziło jedno dziecko. A ja miałam takich dwoje. A to były zupełnie inne czasy, nie takie wygodne, jak teraz. Zośka chudy szczypior, ale i tak trochę się rozlazła po tej ciąży, prawda? Talia jej się zgubiła... No i tak się broniła przed tą cesarką, mieliśmy imprezować w trakcie porodu, a wyszło, jak wyszło... – gderała Grażyna.

Cięcie cesarskie okazało się koniecznością, bo dzidziusiowi zrobiło się w brzuchu nie najlepiej, co sygnalizował na zapisach czynności serca, na które Zosia chodziła przez cały trzeci trymestr. Poza tym przestał rosnać ze względu na nadciśnienie, które towarzyszyło jej przez drugą połowę ciąży. Potem poród indukowany nie chciał przebiegać tak jak trzeba i zrobiło się nerwowo, więc zapadła decyzja o operacji. Zosia była bardzo rozczarowana takim przebiegiem zdarzeń. Nie pomogło nawet jej optymistyczne nastawienie. Nie ziściły się szczegółowe plany porodowo-macierzyńskie.

– Całe szczęście, że do tego porodu nie doszło w domu, bo nie wiadomo, co by z tego wszystkiego było – podsumował Grzegorz.

– Nie wszystko da się przewidzieć i zaplanować – powiedziała spokojnie Agata.

– To prawda. Nie wszystko. – Grażyna kiwała głową. – A tak w ogóle, drogie dzieci, mam coś dla was!

– Poderwała się z miejsca. – Chodźcie ze mną.

Gutek, Agata i Grażyna przemieścili się do sąsiedniego pokoju, który niegdyś był sypialnią Jurka, a teraz pełnił funkcję garderoby, spiżarni, pralni, a od pewnego czasu również pracowni artystycznej pani domu. Na środku stała drewniana sztaluga z blejtrami upakowanym farbą olejną. Bardzo nieregularne formy, na które nieszczególnie przyjemnie się patrzyło.

– Tadam! – zadudniła Grażyna. – I co myślicie?

Gutek i Agata wpatrywali się w obraz, przekrzywiając głowy, mrużąc oczy i siląc się na uśmiech.

– Oo... – westchnęła w końcu Agata.

– Wow... – sapnął Gutek.

– To jest... – Agata próbowała zwerbalizować myśli, które towarzyszyły jej podczas wpatrywania się w obraz. – To... Yyy...

– To jest dla was i o was! – zawołała Grażyna. – Wasze przeżycia i wasza historia zainspirowały mnie do stworzenia tego dzieła. Nazwałam ten obraz *Niegasnąca nadzieja*.

– No pewnie, że nadzieja! Teraz to widzę... – Gutek drapał się w czoło, udając zaintrygowanie twórczością teściowej.

– Bardzo się cieszę, że się nie poddaliście. Wyobrażam sobie, jakie to było dla was trudne. A ta czerwona plama pośrodku symbolizuje waszą miłość! Co myślicie?

– To... to naprawdę coś – powiedział Gutek, wpatrując się w „to coś”. – Powiesimy to... No właściwie, kochanie, gdzie to powiesimy?

– Nie wiem. – Agata też nie odrywała wzroku od barwnych bohomazów.

– Nie wiem jak wy, ale ja czuję spokój, kiedy na to patrzę – powiedziała Grażyna.

– Ja na razie czuję, że coś mi się kotłuje w brzuchu – rzuciła Agata. – I z pewnością nie są to jelita ani spokój...

Pogładziła się po brzuchu chroniącym jej czwartą, pięciomiesięczną ciążę. Tym razem, po wszystkich badaniach, wiedzieli, że to dziecko z dobrej gamety. Chłopczyk. Na sto procent. Tak mówił kariotyp.

– O rety! – zawołał Gutek. – Naprawdę?

On i Grażyna złapali Agatę za brzuch, cierpliwie wyczekując kolejnego kopniaka.

– Ojej! Czuję, czuję! Jak energicznie! Mówię wam, to będzie piłkarz! – fantazjowała Grażyna.

– Mało prawdopodobne – stwierdził Gutek z uśmiechem. – Spodziewamy się intelektualisty. Sądzę, że będzie chemikiem.

– Tak... Z pewnością będzie chemikiem – zgodziła się Agata.

– Chemikiem? No tak – westchnęła Grażyna. – Ma to przecież w genach.

Adriana i sperma

Adriana wiodła luksusowe życie czterdziestoletniej, dobrze zakonserwowanej singielki. Niegdyś pewnie byłaby nazwana starą panną, ale to już nie te czasy. Współczesne kobiety dość często świadomie decydują się na pozostanie solo na całe życie – ona była jedną z nich. Stare panny to kobiety, które nie tylko nie odnalazły drugiej połówki, ale też żadnego alternatywnego scenariusza na życie, poza „zostaniem czyjąś żoną”. Adriana odnalazła taki scenariusz i wcale nie nazywała go alternatywnym. Status nie-mężatki zupełnie jej nie przeszkadzał. Świetnie się czuła w swojej skórze, ze swoją pozycją zawodową i ze swoim brakiem zobowiązań wobec mężczyzny.

Swój majątek Adriana zdobyła własnymi rękami, a właściwie mózgiem, bo jej praca nigdy nie miała nic wspólnego z wysiłkiem fizycznym. No dobrze – w młodości miała krótki epizod wakacyjnego kelnerowania. Zrezygnowała po pierwszym dniu, gdy dostała hojny napiwek przekraczający wartość zamówienia, z sugestią obleśnych panów, że dadzą jej więcej, jeśli zaspokoi jeszcze inne ich potrzeby. A ponieważ tę propozycję złożyli w sposób zupełnie nieelegancki, wręcz wulgarny, wylała na nich zawartość kieliszków, które miała na tacy. Szef ją opieprzył, że jest konfliktowa i robi zamieszanie, a panowie wszystkiego się wyparli. Adriana zdjęła fartuch i wróciła do domu z gorącym postanowieniem, że nigdy więcej nie da się nikomu upokorzyć, że zawsze będzie sobie sterem i okrętem, nie pozwoli sobie na żadną zależność finansową od łaski męża czy szefa, że osiągnie astronomiczny sukces na miarę swoich możliwości, a czuła, że potencjał drzemie w niej ogromny. Pamiętny dzień w restauracji obudził w niej ten potencjał. Spakowała się do podręcznej torby i wyjechała z kraju, zostawiając w Polsce ojca, średnio zainteresowanego jej losem. Był bardziej zajęty swoją nową rodziną, którą założył bezzwłocznie po śmierci mamy.

Adriana miała willę w Wilanowie, otoczoną ogrodem w stylu angielskim, który od wczesnej wiosny do późnej jesieni był ukwiecony i pachnący. Spacerowała po kilkudziesięciu metrach ścieżek na tyle często, że nie przegapiła kwitnienia żadnej rosnącej w ogrodzie rośliny. Prowadziła wtedy służbowe rozmowy przez telefon – o wielkich biznesach i jeszcze większych pieniądzach. Rozmówcy myśleli pewnie, że siedzi w biurze, pochylona nad laptopem i w pełni skoncentrowana na meritum rozmowy, a ona właśnie wachała kwiaty.

Dom był urządony w stylu senatorskim: obrazy na ścianach, kolumnienki, rzeźby w przedpokoju, kamienne schody, salon wyłożony puszystą beżową wykładziną, czystą, mimo dwóch dogów, które swobodnie przemieszczały się po pokojach, kursowały między tarasem, a miskami z jedzeniem. Trzy sypialnie, trzy łazienki, garderoba, dwa salony, kuchnia z wystawną jadalnią – w każdym pomieszczeniu dało się wyczuć rękę zdolnego architekta, który tworzył te wnętrza bez żadnych ograniczeń budżetowych, rzeźbiąc w drogich materiałach. Najbardziej dumny był z doboru stiuków gipsowych, ozdabiających każdą ścianę, wykonanych na specjalne zamówienie, w kształtach imitujących bluszcz. Wnętrze miało w sobie klasę i smak, biła od niego ponadczasowość, nie starzało się wcale. Podobnie jak właścicielka, która nie wyglądała na swój wiek – ani z twarzy, ani z ciała, ani z duszy.

O dom i ogród dbała służba, zarządzana przez Romualda. Znał on każdy zakamarek posiadłości Adriany. Ją samą też zdążył już poznać na tyle, że niemalże czytał jej w myślach i podawał gotowe rozwiązania, zanim jeszcze Adriana zwerbalizowała problem. Szklarz pojawił się natychmiast, gdy zbiło się lustro w łazience, uprzedzając siedem lat potencjalnych nieszczęść. Wczoraj w basenie Adriana zauważyła zielony nalot glonów, a już dziś, gdy wychodziła z domu, mijała ją ekipa czyszcząca. Lodówka również zapełniała się sama. Ilekroć ją otwierała, zawsze znajdowała to, na co akurat miała ochotę. Wczoraj sięgnęła po sok z brzozy, a dziś naszła ją ochota na napój aloesowy – był tam, idealnie schłodzony. Domyślność Romualda była dla niej bezcenna. Płaciła za nią słono, ale luksus posiadania służby był zaledwie kroplą w morzu jej regularnych wydatków.

– Dużo od siebie wymagam i tyle samo oczekuję od innych – uprzedziła nowo zatrudnioną pomoc domową. – Do pani obowiązków będzie należało utrzymanie porządku. Nie wiem, jak rozumie pani definicję tego słowa, ale mam nadzieję, że nasze postrzeganie czystości będzie zbieżne – mówiła szybko i rzeczowo. – Pani poprzedniczka głównie tańczyła z mopem i masowała meble. Mam nadzieję, że pani będzie skuteczniejsza. Ma tu być nieskazitelnie. Oczywiście nie pracuje pani sama. W szczególności wprowadzi panią pan Romuald. – Wskazała na krępego poważnego pana w wieku okołoemerytalnym. – To z nim może pani rozmawiać o chemii gospodarczej, workach do odkurzacza i ściereczkach antystatycznych. Wysłucha, zrozumie i z pewnością podzieli pani entuzjazm. Mnie te rzeczy w ogóle nie interesują. I jeszcze jedno: cenię dyskrecję i przezroczystość swoich pracowników, o czym na pewno opowie pani bezpośredni zwierzchnik, w którego ręce panią oddaję. A teraz może pani zniknąć i brać się do pracy.

Młoda dziewczyna o niezbyt nachalnej urodzie, z wyraźnym problemem dermatologicznym na twarzy, stała przed Adrianą, oszołomiona jej ekspresją, onieśmielona nieskazitelną aparycją, zmrożona chłodnym tonem wypowiedzi.

Odeszła z Romualdem, a Adriana przemieściła się z kawą z kuchni do garderoby, w której zmieniła szpilki na płaskie mokasyny, a taliowany żakiet na luźny żółty blezer. Garderoba Adriany aż pachniała luksusem. Była pełna markowych sukienek w rozmiarze trzydziestym szóstym, „S” lub angielskiej szóstce; butów, do których nie miała żadnego sentymentu – gdy tylko pojawiały się na nich pierwsze ślady zużycia, lądowały w śmieciach albo w cudzych szafach; torebek, których łączna wartość przekraczała roczny budżet przeciętnej rodziny. Adriana lubiła oryginalnych projektantów, szczególnie tych znanych, których stroje są rozpoznawane i pożądane w pewnych kręgach. Czasem zdawała się na gust stylistki, która dbała, żeby w jej szafie pojawiały się modne, drogie i stylowe dodatki.

Przy toaletce oprószyła nosek pudrem i maznęła usta błyszczkiem. Cały czas snuły się za nią dwa psy, szukając chociaż odrobiny uwagi swojej ukochanej pani. Odprowadziły ją aż do ogrodu, gdzie czekał na nią Arnold, jej prawa ręka, chudy homoseksualista, w ekscentrycznym, kolorowym stroju: białe buty z jaskrawą skarpetką, eleganckie spodnie, wywinięte jak do brodenia w wodzie, do tego koszula i krawat, zestawione tak, żeby przyciągać uwagę.

– Masz minutę! – rzuciła do niego.

Adriana przyjmowała na siebie maksymalne obciążenia psychiczne i intelektualne. Pod farbowaną na kruczą czerń krótko ostrzyżoną czupryną kryła się głowa do interesów. Pod perfekcyjnym makijażem – twarz biznesowej pokerzystki, która potrafiła trwać w gipsowym grymasie podczas długich negocjacji, a to za sprawą mocnych nerwów i iniekcji z botoksu.

Arnold bez chwili zwłoki zaczął recytować: cała kategoria spada, co bezsprzecznie jest związane z kryzysem demograficznym, wydłużonym czasem urlopów rodzicielskich i kampanią społeczną na rzecz karmienia piersią, ale ich udziały w rynku rosną, co zapewne ma związek z ich agresywną polityką ostatniego kwartału; Adriana dostała zaproszenie na spotkanie dyrektorów sprzedaży w Barcelonie oraz

na bal dobroczynności; sieć Nails and Go prawdopodobnie rozrośnie się o kolejny salon, już szykują umowy wynajmu długoterminowego lokalu przy Świętokrzyskiej, bardzo korzystny; mają już trzydzieści tysięcy lajków na Facebooku, ale w tych czasach lajk już nic nie oznacza, dlatego wycofują się z aktywności w mediach społecznościowych i uderzają w relację bezpośrednią, tak brzmiała propozycja dyrektora sprzedaży, po konsultacjach; Kongres Kobiet pyta też, czy nie zechciałyby zabrać głosu na najbliższym posiedzeniu w kwestii roli kobiety w polskim biznesie.

– Powiedziałem im, że się zgadzasz. Przygotowałem ci prezentację. Wygłosisz ją w sobotę o jedenastej. Przesortowałem twoje mejle i te istotne wyróżniłem, na resztę odpowiedziałem. – Minuta minęła. Adriana kiwnęła głową na znak, że przyjęła do wiadomości jego słowa, i odwróciła się, by odejść. Arnold wciąż stał w miejscu. – Mam jeszcze jedną nowinę – zawołał za nią na wydechu. – Samuel i ja... – jego niemęski głos powędrował w kierunku jeszcze wyższych tonów – ...będziemy mieli dziecko. – W tych słowach nie słyhać było biznesowej obojętności, lecz prawdziwe wzruszenie.

Adriana, która myślami była już na spotkaniu z przyjaciółkami, odwróciła się, zdjęła okulary przeciwsłoneczne i uściskała Arnolda z wyraźnym dystansem.

– To cudownie. Tak się cieszę. Gratuluję wam – powiedziała, jak na przyzwoitego człowieka przystało. – Nie wiem, kochany, który z was będzie bardziej matką i jak zamierzacie podzielić się urlopem rodzicielskim, ale proszę, żebyś zadeklarował to przed rozwiązaniem waszej surogatki, żebyśmy zdążyła znaleźć kogoś, kto cię zastąpi – dodała, tym razem już jak szef szefów, odpowiedzialny dyrektor korporacji, z kapitałem liczonym w milionach. – Czy już wiadomo, czy to będzie dziewczynka?

– Ponoć chłopiec.

– Niedobrze. No ale trudno, może następnym razem. – Uśmiech przebił się przez lód jej wyrazu twarzy. – To dopiero początek drugiego trymestru, ale nasza surogatka ma za sobą już siedem ciąży, wszystkie dzieci zdrowe, więc jesteśmy dobrej myśli.

– A który z was, Arnoldzie, jest ojcem?

– Obaj będziemy ojcami!

– Mam na myśli... biologicznego ojca. Kto jest dawcą? Jeśli chcecie to zostawić dla siebie, nie muszę wiedzieć. Po prostu, czysta ciekawość.

– Sam. Tym razem Sam. To był właściwie jego pomysł, ja skłaniałem się ku adopcji, ale... Chciałem mieć jego dziecko, a że nie mam komórek jajowych, a z dwóch plemników nie da rady... Tak postanowiliśmy. Zresztą – to bez różnicy. Spełnia się nasze marzenie. Wreszcie będę czuł się spełniony jako mężczyzna! Całe życie pod górkę... Wiesz, jak w Polsce ciężko się żyje takim jak ja, homoseksualnym jednostkom?

– Pewnie nie lżej niż aseksualnym... – Uśmiechnęła się po raz drugi, przypominając mu o swojej kłopotliwej orientacji.

Adriana kilkakrotnie próbowała seksu, ale nie zrobił na niej wrażenia, które pozwoliłoby jej choć raz stracić głowę z pożądania. Nie miewała w życiu tego typu podniet i wcale się nie wstydziła swojej oziębłości. Bez względu na opinie, które docierały do niej mimochodem, pozostawała sobą – zimną suką, królową śniegu, Antarktydą.

– Może jesteś aseksualna, ale za to jaka seksowna! – zripostował Arnold, który znał jej preferencje, a właściwie ich brak, i od czasu do czasu bywał jej powiernikiem i tłumaczył jej podniety przesiąkniętego seksem świata. Nie wszystko jednak mu mówiła.

Choć nikt jej o to nie podejrzewał, Adriana też marzyła o dzieciach, a właściwie o jednym dziecku, ściślej mówiąc – o córce, która odziedziczyłaby po niej urodę, intelekt i biznesy. Chłopcy, szczególnie kilkuletni, wszystkowiedzące mazgaje, fani dinozaurów i śmieciarek, drażnili ją bardzo. Ilekroć zatrudniali do jakiegoś projektu reklamowego dziecko, zawsze skłaniała się ku scenariuszom z udziałem

dziewczynek. Dziewczynki wydawały się mądrzejsze i bardziej rozgarnięte od ich równolatków płci męskiej.

Gdy wyobrażała sobie swoje macierzyństwo, a takie wyobrażenia nawiedzały ją coraz częściej, widziała siebie jako matkę córki, najchętniej od razu takiej podrośniętej, kilkunastoletniej. Była coraz bliższa przekucia tych myśli w czyn, ale nie spotkała dotąd odpowiedniego kandydata na reproduktora. W klatce piersiowej Adriana skrywała chłodne serce, całkowicie zdominowane przez rozum. Dlatego też nigdy nie dała się ograbić żadnemu mężczyźnie. Nie miała na koncie eksmałżonków, stroniła od bezsensownych romansów. Miała nadzieję, że może nauka pójdzie do przodu i rozmnażanie będzie możliwe już nie tylko bez seksu, ale też bez mężczyzn. Słyszała o klonowaniu, dzieworódtwie, ale, niestety, na razie pozostawały one poza zasięgiem ludzkiej rasy. Chcąc mieć dziecko, była zmuszona pomieszać swoje doskonałe geny z jakąś spermą.

– Dobrze, mój drogi. Zwołaj zarząd na spotkanie w sprawie strategii na ostatni kwartał, bo chciałabym utrzymać te wyniki. Nie podoba mi się pomysł wycofania się z mediów społecznościowych. Absolutnie się nie zgadzam i powiedz dyrektorowi, żeby nie robił żadnych gwałtownych ruchów w tym obszarze. A jeśli chodzi o paznokcie, otwieramy nowy salon. To będzie złota lokalizacja, przeniesiemy tam najlepsze manikiurzystki i myślę, że postaramy się o jakąś gwiazdę w tym fachu. A jeśli taka się nie znajdzie – zorganizujemy konkurs, który nasza przyszła gwiazda wygra. Pomyślę o tym. – Adriana czuła dziwny dysonans między mieszaniem biznesu z życiem prywatnym, ale tylko z Romualdem było to możliwe bez strat dla interesów. – Uciekam, bo dziewczyny znów mi zarzucają, że jestem wiecznie zajęta i trzeba na mnie czekać. Jeszcze raz wam gratuluję. Wasze dzieci będą szczęściarzami, mając tak wspaniałych ojców.

Arnold odjechał służbowym BMW realizować swoje codzienne obowiązki asystenta.

Adriana miała przy domu ogromny garaż z luksusowymi autami, doskonale pasującymi do wszelkich typów dróg i specyfiki wyjazdów. Na co dzień auto zgrabne i „smartne”, na wypadki za miasto praktyczny SUV, na szybkie autostradowe przeprawy zaginacz czasoprzestrzeni. Wszyscy okoliczni chłopcy, mali i duzi, zawsze oglądali się za jej brykami, a ci całkiem dorośli z pewnością również dostrzegali urodę właścicielki. Może w skrytości marzyli o przejażdżce jej autem, a przy okazji o Adrianie w pakiecie, ale cóż – nie była zainteresowana.

Wsiadła do samochodu – dziś kompaktowego, miejskiego. Zanim uruchomiła silnik, wzięła dwa głębokie wdechy, dwie ziołowe kapsułki na uspokojenie, które popiła dwoma łykami luksusowej wody. Potem wykonała dwa telefony.

Pierwszy do dziewczyn: przeprosiła, że znów się spóźni, prawie pół godziny. Poprosiła, żeby czekały na nią cierpliwie, bo na pewno będzie. Później wybrała numer specjalisty od technik wspomaganego rozrodu.

– Zdecydowałam, że zrobimy to teraz. – oznajmiła. – Proszę mi powiedzieć, kiedy powinnam zacząć brać te zastrzyki, o których pan wspominał. Czy możemy się zobaczyć jeszcze w tym tygodniu? Najlepiej jutro o piętnastej czterdzieści pięć. Mam wtedy chwilę. Dobrze. Dziękuję, dobrze. Świetnie. Koszty nie grają roli.

Arnold był w stabilnym, wieloletnim związku. Chłopcy wiedli hedonistyczne życie, dogadzali sobie, jak mogli, na każdym polu – wycieczkowym, rozrywkowym, łóżkowym. Nikt nie podejrzewał, że są gotowi choćby odrobinę zrezygnować ze swoich przyzwyczajzeń i mieć dzieci. Z drugiej strony jej też nikt o to nie podejrzewał. A była gotowa.

Nie wiedzieć czemu, ilekroć słyszała o kolejnym dziecku w drodze, zawsze zapalała się w jej głowie lampka, że to już czas. Dziecko byłoby idealnym dopełnieniem historii jej życia. I oto właśnie ruszyła

maszynę zmierzającą do realizacji tego projektu.

Po chwili namysłu wykonała jeszcze jeden telefon.

– Pani Hanno, jeśli nie rozmyśliła się pani, to chciałabym się przymierzyć do realizacji naszej umowy. Proponuję spotkanie jutro w południe. Może pani? Świetnie!

Spotkania w restauracji Słodko-kwaśna stały się dla Adriany, Iwony, Emilii i Georginii priorytetowym wydarzeniem. Ubolewały, że tak rzadko udaje im się znaleźć czas na pogaduchy. Zgranie ich kalendarzy graniczyło z cudem. Adriana musiała wtedy odroczyć na chwilę wszystkie obowiązki bizneswomen; Iwona wcisnąć dzieci mężowi albo zawołać opiekunkę, która słono liczyła sobie za pilnowanie jej stadka; Emilia w dniu spotkania była tak podniecona, że potrzebowała dodatkowych leków na uspokojenie, i tylko Georgia po prostu wychodziła z domu. O ile nie miała żadnych zabiegów ulepszających w planach, jej kalendarz zwykle był pusty.

Łączył je rocznik – siedemdziesiąty piąty – wspomnienia szkolne i matura. Adriana zdała na same piątki: polski, matematykę i języki obce, Iwona zupełnie przeciętnie, ale biologię napisała na pięć z plusem, Emilia pakiet humanistyczny zdała śpiewając. Georgia wprawdzie matury nie zdała, ale jak życie pokazało, ten egzamin w niczym by jej nie pomógł, a jego brak w niczym nie przeszkodził. Po maturze każda z nich poszła w inną stronę.

Adriana uciekła za granicę, gdzie podjęła studia, pracę i nauczyła się zasad działania gospodarki wolnorynkowej. Błyskawicznie odnalazła się w roli lidera sprzedaży, absolutnego geniusza, wyżeracza międzynarodowej korporacji i choć emigracja była w jej życiu wyjątkowo udanym epizodem, kiedy tylko polska gospodarka odtworzyła się na świat i zaczęła dojrzewać do zmian, bez wahania wróciła do kraju wdrażać produkty zagraniczne na ojczystym rynku. W międzyczasie zakładała biznesy różnej maści – od fabryki elementów do staników, przez produkcję eko-żelków z naturalnych soków, smoczków i butelek dla dzieci, a także przetworów mlecznych. Ostatnio inwestowała w salony ekspresowego manicure i pedicure. Żyła złota! Swego czasu Adriana współfinansowała pierwszą płytę pewnej wokalistki, która zapowiadała się na gwiazdę dużego kalibru. Dostrzegła w Roksanie ogromny potencjał i choć dziewczynie nie udało się wygrać talent show, zrobiła z niej Roxy. Wokal zaangażowano we wpadające w ucho piosenki z przystępnym tekstem, udany projekt, udany... Ale jak to zwykle bywa – jedne biznesy wypalają bardziej, inne mniej. Jedne są krótkotrwałym sukcesem, inne trwają pokolenia. Ostatecznie Roxy pozostała celebrytką, jakich wiele, i nie przynosi już dochodów, więc Adriana wycofała z tej osoby swój kapitał. Jej jedyny biznes, który był wiecznie pod kreską, a mimo to wciąż go dotowała, to mecenasowanie wybitnej, niedocenianej (jeszcze) projektantce biżuterii, którą Adriana ubóstwiała i wierzyła, że kiedyś spieniędzy jej talent. Dzisiaj miała w uszach jej kolczyki.

Iwona wiodła spokojne, rodzinne życie. Zawodowo też spełniała się na płaszczyźnie rodzinnej – medycyny. Jako jedyna z całej ich czwórki doczekała się dzieci – całej czwórki, jedno zaraz po drugim. Rodzina stanowiła dla niej najwyższą wartość, co podkreślała na każdym kroku. Pracowała z myślą o najbliższych – po pracy rozwoziła dzieci na baseny, tańce, muzykę i języki, wieczorami odgrzewała kolację przygotowaną dzień wcześniej, w nocy zaspokajała męża, a potem, kiedy usnął, ogarniała dom i szykowała kolację na następny dzień. Dzieci to, dzieci tamto, mąż siamto, pacjenci sramto. Mało w tym wszystkim było Iwony, ale deklarowała, że odnalazła w takim życiu szczęście. I siebie.

Emilia po ukończeniu filologii polskiej została polonistką w państwowym gimnazjum. Z braku laku. Przez całe studia zapowiadała się na literatkę z polotem, przymierzała się do napisania powieści, publikowała felietony w gazecie studenckiej, ale niestety – na drodze stanęło życie i potrzeba regularnej pensji, żeby opłacać czynsz. Podjęła pracę, mając w głowie literackie i filmowe bohaterki nauczycielki – Anię Shirley z *Ani z Zielonego Wzgórza*, Louanne z *Młodych gniewnych*. I została Emilią z Publicznego

Gimnazjum nr 8. Z czasem kanon lektur jej zbrzydł, a nastolatki stały się przerażającymi bestiami. Bardzo ją frustrował ten zawód; monotonia życia zrobiła z niej zgorzkniałą babę. Bez proszków przeciwłękowych i wieczornej porcji wina nie wyobrażała już sobie dnia.

Z kolei Georgia, emerytowana modelka, związała się z bogaczem, który niegdyś zostawił dla niej żonę i trójkę dzieci. Teraz to ona robiła wszystko, żeby nie zostawił jej dla innej. Nie trudziła się pracą, a na co dzień koncentrowała się na tym, żeby być ozdobą dla swojego bogacza, co było dla niej zajęciem pełnoetatowym. Nie chciała mieć dzieci. Okresowo tolerowała przychówek swojego męża, ale bynajmniej nie zabiegała o ich przychyłność. „Jakby mnie zbyt lubiły, to często chciałyby przebywać w naszym domu, a tak przynajmniej mam spokój”, powtarzała.

Iwona zamówiła latte i sernik, Emilia alkoholowe mohito i korzenne ciasteczko, Georgia – wodę z cytryną i miętą.

Adriana weszła do Słodko-kwaśnej spóźniona, jak zapowiadała. Zdjęła z nosa luksusowe okulary Diora, zlokalizowała dziewczyny i od razu przeszła do wylewnego powitania. W jej ubiorze doskonale odbijał się status społeczny: granatowe markowe mokasy, białe spodnie, opinające pośladki, do tego żółty blezer i markowe dodatki – wszystko ometkowane, drogie, z najlepszych materiałów i najnowszych kolekcji. Do tego te kolczyki, o które każdy pytał, a ona z dumą opowiadała o swojej ukochanej artystce.

Wymieniła pocałunki z Iwoną (w zdefasonowanych jeansach i golfiku, który dodawał tęgości jej i tak już masywnym piersiom), uściski z Emilią (w spódnicy do ziemi, w jakimś dziwnym żakiecie – jak z wypożyczalni kostiumów teatralnych) i komplementy z Georgią – „doskonale wyglądasz”, „moja ty bogini”, „kwitniesz kochana” (ubraną w kusą sukienkę, podkreślającą jej nienaganną figurę i sterczący, krągły biuścik, wypełniony doskonale dobranymi implantami).

Temat dzisiejszej dyskusji zdominowały dzieci i prokreacja. Tak jakoś wyszło. Georgia absolutnie i nigdy, co nie było dla nikogo zaskoczeniem. Emilia właśnie rozpoczęła przekwitanie, co było zaskoczeniem dla wszystkich, bo to wcześniej jakoś. Iwona więcej nie planuje, ale też nie wyklucza. Ale największe poruszenie wzbudziło wyznanie Adriany dotyczące jej chęci rychłego rozmnożenia się.

– Rozważam spermę od wysokiego naukowca. Skłaniam się ku wynajęciu surogatki, bo ciąża w mojej sytuacji to nieszczęśliwy pomysł. – Naraziłaby się na utratę figury i zdrowia, a swoje biznesy na poważne problemy finansowe, gdyby, nie daj Boże, źle znosiła ten stan, choć ponoć fizjologiczny, i gdyby musiała ograniczyć aktywność zawodową. – Poza tym przyzwyczaiałam się zatrudniać ludzi. Ktoś za mnie dba o dom, ogród, samochody, dobiera mi ubrania, planuje za mnie wakacje, jadłospis, nawet zakupów sama nie robię, więc dlaczego miałabym nie wynająć macicy do noszenia mojej córki, prawda?

– Może więc wynajmij też kogoś, kto będzie za ciebie przychodził na spotkania z nami? – żartowała Iwona, mieszając mleczną piankę na szczycie swojej latte. – A co na to prawo?

– Na co? – zdziwiła się Adriana.

– Można tak po prostu wynająć kogoś do urodzenia dziecka?

– Surogatki nie istnieją dla prawa. I oby tak zostało. Prawo w tej kwestii na szczęście milczy.

Prawo milczy i one zamilkły.

Zbierały myśli. Przez moment. Adriana czekała na ich opinię, choć bez względu na wszystko decyzję już podjęła.

– Zastanów się jeszcze – podjęła Iwona. – Moje porodowe doświadczenia rzeczywiście są zniechęcające... Nawet teraz, jak powiecie coś śmiesznego, to zdarzy mi się popuścić mimo leków... – dodała szeptem. – Lekarze namawiają mnie na operację, ale znajdź tu czas dla siebie przy takim natłoku zajęć. Może zrobię to, jak dzieci będą miały wakacje albo wyprowadzą się z domu, za sto lat, przed śmiercią może zdążę... A ciąża? Wiesz, Ada, to etap macierzyństwa jak każdy inny. Już w trakcie tych

dziwięciu miesięcy kształtuje się więz z dzieckiem...

– Ale ja zamierzam aktywnie uczestniczyć w tych dziewięciu miesiącach! – zapewniła Adriana. – Będę na wszystkich wizytach lekarskich, będę głaskać brzuch, tylko... nie swój. Ojciec nie potrzebuje być w ciąży, żeby kochać dziecko, prawda? To ja będę takim ojcem i biologiczną matką w jednym. Taki mam plan.

– I bardzo dobrze. Bardzo dobrze, kochana! Szkoda twojej figury, na którą tak ciężko pracowałaś! – wsparła ją entuzjastycznie Georginia. – A co do samej decyzji o dziecku, zastanów się jeszcze. Mój mąż, jak wiecie, ma dzieci i wcale nie uważam, żeby czyniły go szczęśliwszym człowiekiem. Jedno jest na warunkowym zwolnieniu z więzienia, ma wyrok za narkotyki i domowy nadzór policyjny. Nosi taką opaskę na kostce, która nie pozwala mu się oddalić z domu na metr. Drugi synalek ma ciężką depresję i nie wychodzi z domu od miesięcy, dobrowolnie, bez żadnego przymusu policyjnego. Córka, niegdyś oczko w głowie tatusia, właśnie sobie uświadomiła, że całe życie była chłopcem i postanowiła łykać męskie hormony, a w przyszłości planuje doszyć sobie siusiaka ukręconego z tkanki własnego brzucha. Niby wszystko OK, ale ona beczelnie chce wytoczyć rodzicom proces! Zarzuca im, że od urodzenia narzucali jej tożsamość płciową, mimo że już jako dziecko zdradzała cechy typowo chłopięce. Wyobrażacie to sobie? Takie potomstwo bynajmniej nie zachęca!

Wszystkie zrobiły wielkie oczy, a Adriana największe. Nie o takim rodzicielstwie myślała. Chciała swojej wiernej kopii, która będzie dostarczać jej tylko dumy, splendoru i wzruszeń. Patologii nie brała pod uwagę.

– Poproszę crème brûlée – powiedziała do kelnerki, która stała przy ich stoliku i równie zdziwiona, przysłuchiwała się opowieści.

– Mogę polecić krem o smaku pistacjowym, bardzo chwalony.

– Żadnych pistacji. Lubię klasyczne smaki. I proszę sobie znaleźć jakichś innych gości do podsłuchiwania. – Ton Adriany był tak lodowaty, że kelnerka natychmiast odeszła, speszona.

– U mnie to nawet surogatka odpada – powiedziała Emilia, sącząc drinka. – Zerowe rezerwy jajnikowe, koniec płodności, kobiecość w zaniku. Pora umierać! Zresztą – nie byłoby mnie stać na takie luksusowe rozmnażanie, bo to pewnie kosztuje... Kupiłabym sobie kota, ale jestem uczulona – westchnęła ze smutkiem. – Zawołajcie tę kelnerkę. Chcę jeszcze jednego drinka. I jeszcze jedno ciastko korzenne...

– Nie martw się. – Georginia pogłaskała koleżankę po plecach. – Koty to też nie najlepszy pomysł. Kot mojego męża zostawił ostatnio w garderobie martwego wróbla. Sra nam w pościel i drapie moje ałasowe poduszki. Złośliwiec!

Adriana otworzyła bramę wjazdową i od razu zauważyła krzątającą się Nową. Trzepała dywaniki przed domem. Gdy tylko zobaczyła nadjeżdżający wóz przełożonej, schowała się do środka. Przed głównym wejściem Ada zauważyła rabaty świeżo posadzonych fioletowo-błękitnych bratków. Gdy nacisnęła klamkę, zadzwoniła jej komórka. Spodziewała się telefonu – Arnold.

Zawróciła i udała się do ogrodu, żeby spokojnie porozmawiać, rozkoszując się wiosną, słońcem i bratkami, które odkrywała w każdym kącie swojego ogrodu.

– Posiedzenia zarządu nie będę komentował, bo przecież na nim byłaś. Słyszałem, że odwiedziłaś swój salon na Żoliborzu... – mówił asystent.

– Tak. Nie wiem, w którym momencie manikiurzystka dowiedziała się, kogo obsługuje, ale przez całą wizytę zachowywała się profesjonalnie. Nie gadała za dużo, była życzliwa i kompetentna. Przeniesiemy ją do tego nowego lokum przy Świętokrzyskiej. Trzeba już organizować tam kadrę. Proszę, powiedz Sylwii, że dostanie pieniądze na promocję w czwartym kwartale.

Rozmawiała, zarządzała, odpoczywała.

Spojrzała na swój balkon. Nowa polerowała okna. Dziewczyna, widząc że jest obserwowana, już chciała przenieść się z pracą na południowe skrzydło, ale Adriana ją zatrzymała:

– Aż tak bardzo nie przeszkadza mi pani widok. Proszę skończyć to, co pani zaczęła.

– Po prostu staram się być niewidzialna – odparła Nowa.

Adriana uśmiechnęła się, ale ostatecznie pozwoliła jej zniknąć.

Odkrycia z dzisiejszego spaceru – rodzina jeży pod brzozą, kwitnący na różowo migdałowiec, no i te bratki, cudownie błękitne.

Kolejny telefon. Ojciec.

– Witaj, Adrianko! – rozpoczął entuzjastycznie.

– Słucham? – rzuciła oschle.

– To ja słucham, co tam u ciebie?

– Nic nowego. Dalej świetnie sobie radzę w życiu i nic od ciebie nie chcę. A ty? Czego tym razem chcesz ode mnie?

– Nie że od razu coś chcę! Z pytaniem tylko dzwonię, czy nie miałabyś może... pożyczyć trochę, na leki, proteza mi się zepsuła...

Wcale jej nie zaskoczył. I nie przekonał.

Adriana nie była zależna od żadnego mężczyzny, za to miała w swoim życiu mężczyznę, który był uzależniony od niej. I od wódki.

Jej ojciec chlał, gdy była dzieckiem, przestał chlać, gdy zmarła mama. Z jej chorobą nowotworową oboje oswajali się przez długie lata, podczas których walczyła. Przewlekła białaczka szpikowa – bywały kryzysy, bywały okresy względnej normalności, w których ojciec znieczulał się wódką. Na finiszu życia żony miał już plany, co robi, gdy los mu ją zabierze. Znalazł sobie nową kobietę i kiedy tylko stało się nieuniknione, ponownie założył rodzinę, tym razem obiecując nowej partnerce, że do kieliszka nie zajrzy. Nigdy, przenigdy. W zdrowiu i w chorobie.

Po dwudziestu latach abstynencji, w trakcie których wychował troje przyrodniego rodzeństwa Adriany, wrócił do picia. Trochę zazdrościła dzieciom taty, że przeżyły swoją młodość, nie widząc upitego ojca co wieczór, nie doświadczając tego, co było codziennością dla niej i jej matki. A teraz, gdy znów rozsmakował się w picciu, dzieci wyparły się go, podobnie jak jego druga żona.

– Podjedź do ciebie Arnold, wykupi ci recepty i razem zapłacicie za tę protezę, co ty na to? – zaproponowała.

– Ale po co go fatygować? – Jego odpowiedź zupełnie jej nie zdziwiła. – Wystarczy, że dasz mi pieniądze, jak zawsze...

– Przepijesz. Nie pożyczę ci na wódkę.

– No to się goń, durna snobko! – Ton jego głosu też nie zrobił na niej wrażenia.

Ojcowie są niepotrzebni. Jej własny nigdy do niczego się nie przydał.

Południe.

Adriana, o dziwo, odczuwała niewielki stres związany z tym spotkaniem.

Usiadła naprzeciwko młodej dziewczyny, od której biła zdrowa energia. Rumiane policzki, lekka nadwaga, taki kobiecy nadmiar: krągły biuścik, bioderka, masywne uda, tłuszczyk tylko tam, gdzie wyglądał apetycznie. Krótko przycięte paznokcie, nieco poobgryzane, włosy związane nieszczególnie gustowną frotką. Na twarzy trochę niedbałego makijażu, choć wyrazista oprawa oczu i idealnie wykrojone usta robiły swoje.

Kelner podał każdej z nich eleganckie menu.

– Proszę zamówić, co tylko pani zechce – powiedziała życzliwie Adriana.

Dziewczyna, nie otwierając karty, zupełnie jakby знаła jej treść na pamięć, poprosiła o wątróbki z wiśniami i barszcz czerwony z uszkami, a na deser sernik krakowski.

– O, proszę! Jaka szybka decyzja! Czyżby już tu pani była? – zdziwiła się Adriana.

– Tak. Wiele razy – odparła zagadkowo dziewczyna, choć nie wyglądała na bywalczynię tej klasy restauracji. – Pracowałam tu na zmywaku i pomagałam przy ciastach – wyjaśniła, po czym uśmiechnęła się do kelnera i oddała kartę.

– W takim razie zdam się na panią – powiedziała Adriana i zwróciła się do kelnera: – Poproszę to samo.

Planowała zdać się na tę dziewczynę nie tylko w kwestii wyboru dań.

– Jestem Hanna – powiedziała żywo tamta. – Może pani do mnie mówić po imieniu, tak będzie łatwiej.

– Dobrze, Hanno. Ja jestem Adriana. Masz dzieci, prawda? – upewniała się Ada, choć prześwidrowała jej ogłoszenie na wskroś i akurat ta informacja była w nim zawarta.

– Tak. Dwoje. Marikę i Alojzego. Chce pani zobaczyć? – Hanna pokazała na wyświetlaczu komórki dwie sympatyczne twarzyczki. – W pierwszą ciążę zaszłam podczas swojego pierwszego stosunku. To było w trakcie nocy poślubnej. Miałam dziewiętnaście lat, a mój mąż był bardzo skuteczny w zapładnianiu. Jak jeszcze karmiłam Marikę piersią, zaszłam w kolejną ciążę. Prawdę mówiąc, usunęłam ją, tabletkami z internetu, choć oficjalna wersja jest taka, że nigdy w niej nie byłam – zwierzała się z rozbijającą szczerością. – Potem, w tajemnicy przed mężem, bo on bardzo wierzący był i nie pochwalał takich rzeczy, założyłam sobie spiralę. Po dwóch latach, jak już zaczęło go niepokoić, że nie daję mu kolejnych dzieci, wyjęłam spiralę i znów zaszłam. Ciążę dobrze znosiłam, trochę przytyłam, ale nie było żadnych problemów ani komplikacji. Tylko małżeństwo mi się pokomplikowało, bo on zaczął pić. Tak na umór. Dostał zapalenia trzustki i umarł. Tyle po nim. Nawet pani nie wie, jak ciężko żyć z alkoholikiem... – Zdziwiłaby się. To akurat Adriana wiedziała doskonale. – Sama teraz jestem, finansowo mi bardzo ciężko i chętnie pani pomogę mieć dziecko.

Adę przeszedł dreszcz. Szczerość wyznań Hanny zaskoczyła ją. Miała nadzieję, że dziewczyna nie oczekuje w zamian podobnych zwierzeń, choć tak naprawdę nie było o czym mówić. Żadna z jej znajomości nie pretendowała do miana „związku”, nie otarła się o małżeństwo ani nawet o jakąś poważną nieformalną zażyłość.

Siedziała przed nią dwudziestopięcioletnia wdówka, z bogatą przeszłością, gotowa wzbogacić swoją historię o jeszcze jedno, ekstremalne doświadczenie prokreacyjne.

– Czy mogę liczyć, że się nie rozmyślisz? – spytała Adriana, przechodząc do konkretów.

– Umowa to umowa. A ja jestem słowna!

– A jak urodzisz i coś poczujesz...

– Kocham swoje dzieci. Robię to dla nich. I dla pani. Nie będę nic czuć. Może pani być przy porodzie i obiecuję wywiązać się z umowy. To będzie pani dziecko. Genetycznie, biologicznie, a ja je tylko urodzę. – Jej słowa gwarantowały, że rozumie cały proces i swoją w nim rolę.

– A co pani powie swoim dzieciom?

Hania wzruszyła ramionami.

– Nie muszą nic wiedzieć.

– A w pracy? – dociekała Ada, wpatrując się w rozmówczynię.

– Ta ciąża to będzie moja praca.

Podano barszcz. Doskonały zapach, doskonały smak, doskonały wybór.

Adriana była pełna obaw, ale coś jej podpowiadało, że można zaufać tej dziewczynie.

Pozostało wspólnie udać się do kliniki, zaplanować stymulację jajników, pobranie komórek jajowych,

zapłodnienie i w końcu: zsynchronizować z tym całym procesem cykl Hanny, żeby w odpowiednim momencie jej macica była gotowa na przyjęcie zarodka Adriany.

Dawcy nasienia – honorowi, anonimowi, na wskroś zdrowi.

Adriana wybierała spermę.

Jej wyobraźnia w kwestii potencjalnego ojca dziecka była bardzo rozwinięta, często przekraczała dosłowny opis.

Jeden zawsze marzył o licznym potomstwie, ale nieoczekiwanie poczuł powołanie. Oddał spermę tuż przed wstąpieniem do seminarium duchownego. Drugi ma doskonałe dzieci – trójkę – dają mu szczęście. Chce pomóc komuś, kto też chciałby doświadczyć cudu rodzicielstwa. Trzeci zastrzega sobie, że zgadza się na dawstwo tylko dla małżeństw, nie dla singielek ani tym bardziej par homoseksualnych.

Kolejny gra w szachy, inny medytuje, kolarz, artysta, prawnik.

Poszukiwała kogoś wyjątkowego i doskonałego, jak każda przyszła matka. Wyobrażała sobie rzesze samców, którzy prezentują się przed nią w nadziei, że wybierze właśnie ich nasienie.

Jak casting, jak randka w ciemno, jak rekrutacja na podstawie CV bez zdjęcia.

Często dawcy przybierali twarze Rayana Goslinga, Georgea Clooneya, Josha Hartneta. Dokonywali autoprezentacji i znikali. „Menager, studia MBA ukończyłem w wieku trzydziestu dwóch lat, sto siedemdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu, w wolnych chwilach uprawiam sport, gram w squasha, pływam, hobbystycznie śpiewam w chórze męskim, w barytonach”, wybrzmiał niski głos, po czym ucichł i zniknął, a na jego miejsce pojawił się kolejny:

„Optymista, podróżnik, wykształcenie średnie techniczne, sto osiemdziesiąt jeden centymetrów, największe marzenie jest w trakcie realizacji. To zdobycie Korony Ziemi. W moim życiu nie ma miejsca na dzieci. Będę zaszczycony, jeśli zechcesz urodzić dziecko z moich genów”, mówił, klękając przed Adrianą.

Prawie ją przekonał. Do swojej spermy, bo do rodzenia nikt jej nie przekona.

– Mam astmę. Sierść pani psów zaostrza objawy. Dzisiejszy dzień skończył się dla mnie atakiem duszności, bez przerwy kaszlę... Będę potrzebowała trochę wolnego, przynajmniej do piątku...

Adriana wróciła do rzeczywistości. Przed sobą, zamiast kolejnego samca, zobaczyła Nową, ostentacyjnie inhalującą jakiś specyfik przez turbuhaler, łamiąc zasadę niewidzialności, która obowiązywała wszystkie osoby pracujące w tym domu.

– To wszystko? – spytała, zniecierpliwiona, jakby kolejny kandydat na ojca czekał za drzwiami jej gabinetu, a dziewczyna zabierała jej cenny czas. – Proszę porozumieć się w tej sprawie z Romualdem i zastanowić się, czy praca w takich warunkach jest dla pani w ogóle możliwa. Z powodu pani astmy nie pozbędę się psów. Prędzej zrezygnuję z pani.

Nowa wyszła, a Adriana wróciła do przeglądania katalogów.

„Powierzam cud Twojego życia Twojej mamie. Być częścią ciebie to duma, która będzie towarzyszyć mi, gdziekolwiek będę, cokolwiek się wydarzy, kimkolwiek się stanę, choć cię nigdy nie zobaczę. Twój biologiczny tata”.

Sto siedemdziesiąt osiem centymetrów, matematyk, poeta, niespokojna dusza. A przy okazji jasnooki brunet.

Ojciec jej córki.

Twarzy nie potrafiła sobie wyobrazić, ale to nie miało znaczenia.

W dniu transferu Adriana stresowała się bardziej niż w dniu, gdy jej firma wchodziła na giełdę, bardziej niż na maturze ustnej z polskiego, bardziej nawet niż podczas przeszczepu szpiku mamy. Nigdy – aż do dziś – nie doświadczyła fizycznych symptomów stresu. Miała ściśnięte gardło, palpitanie serca, niespokojne myśli, spocone dłonie. Nawet jej pokerowa twarz i niedawno zaaplikowany botoks nie ukryły tego, co działo się w jej duszy. Desperacko pragnęła sukcesu.

Hormonalną stymulację i pobranie jajeczek przeszła wyjątkowo dzielnie. Nie ucierpiały na tym jej interesy, a ciało zniosło wszystko wzorowo. Naczytała się o zespole hiperstymulacji, o możliwym płynie w jamie otrzewnowej, o osłabieniu, uczuciu gorąca, zaburzeniach pracy serca, a ją tylko trochę pobołowało podbrzusze, nic więcej. Aż się dziwiła, że to takie niekłopotliwe. Może z ciążą byłoby tak samo?

Udało się stworzyć trzy zygoty – z pięciu komórek jajowych.

Była niepokieszona, że preimplantacyjnego określania płci dziecka, choć technicznie jest możliwe i stosunkowo proste, nie ma w ofercie kliniki.

– Nie prowadzi się selekcji zarodków pod tym kątem. Nasza klinika nie jest zainteresowana świadczeniem takiej usługi – mówił lekarz.

– A inne kliniki?

– Nie w Polsce.

– A za granicą?

– Gdzieś na pewno. Ale mamy nieprzetarte szlaki w tej dziedzinie. Nasi klienci chcą dziecka, a nie chłopca czy dziewczynki.

– Ja jestem klientką i chcę właśnie dziewczynkę! – oświadczyła i dodała, że koszty nie grają roli.

Początkowo była gotowa wysłać do diagnostyki jedną komórkę odszczepioną z każdego rozwijającego się zarodka, choćby na koniec świata, żeby zyskać pewność, że będzie miała córkę.

– Płeć sama w sobie nie jest chorobą. Nie widzę powodu, żeby ją diagnozować i eliminować zarodki pod tym względem – powiedziała szefowa zespołu embriologów, która kategorycznie odmówiła zgody na wykluczenie zarodków męskich z całej procedury. – Powołuję się na klauzulę sumienia. Biolog może, prawda? – dopytała.

Żadna tarcza ochronna w postaci sumienia pani embriolog nie była potrzebna, bo Adriana ostatecznie zdecydowała się oszczędzić zarodkom dodatkowych manipulacji. Przekonał ją magiczny widok – zlepek komórek, gronko, zarodek, z którego kielkowało życie. Zobaczyła ten cud pod mikroskopem i serce zabiło jej mocniej.

Ostatecznie dysponowali trzema zarodkami płci nieokreślonej. Pozostawało czekanie. Na transfer i na Hanię, która spóźniała się już ponad kwadrans.

Wnętrze kliniki było bardzo przyjazne. Dużo kwiatów, miękkie kanapy, szerokie okna, ściany w kolorze błękitu, zupełnie jak przydomowe bratki Adriany, a na ścianach zdjęcia doskonałych bobasów. W tle relaksująca monotonna muzyka. Nawet największy nerwus doświadczy tu uczucia spokoju. Najbardziej sfrustrowana para poczuje powiew nadziei. Najbardziej wymagający klient, a do takich należała Adriana, będzie zadowolony.

– Emilia powinna się tu zatrudnić. Dobrze by jej zrobił taki klimat w pracy, zamiast wrzawy przerw międzylekcyjnych – powiedziała Georginia, która tego dnia towarzyszyła Adrianie.

Nie miała akurat zaplanowanej żadnej procedury konserwującej i upiększającej, więc mogła być wsparciem dla przyjaciółki.

Z gabinetu wyszła jakaś para. Oboje mieli nietęgę minę. Zanim zdążyli opuścić klinikę, wymienili między sobą kilka zdań, które świadczyły o potężnym konflikcie. Każde z nich starało się mówić cicho, ale emocje wzięły górę i szept zmienił się w kłótnię całkiem donośną, a przynajmniej słyszalną.

– Jak to nie?

– Tak to! Może to sygnał od natury, że coś jest nie tak i dlatego mamy ograniczone możliwości prokreacyjne. Greto, cuda się zdarzają, róbmy, co robiliśmy, może kiedyś.... Przecież nie powiedział, że nie mamy szans na naturalne poczęcie!

– Nie ma już czasu na czekanie na cuda! I nie odgrażaj się, że znów uciekniesz mi na koniec świata! Proste pytanie: czy ty w ogóle chcesz mieć ze mną dziecko?

Brrr... Adriana cieszyła się, że nie musi przeprowadzać takich rozmów w życiu codziennym. Sama decyduje, nikt jej niczego nie narzuca, nie musi się liczyć z niczym zdaniem. Związek i kompromisy – to nie dla niej.

Z gabinetu wychyliła się pielęgniarka, zapraszając do środka następnych klientów.

– Ale... – Adriana podeszła bliżej drzwi. – Cały czas czekamy na... su-ro-gat-kę – powiedziała szeptem.

– Aha, OK! – Pielęgniarka pokiwała głową. – Surogatka? Zwykle z takiej opcji korzystają pary gejów, a w parach lesbijskich zawsze któraś z partnerek decyduje się na ciążę... – powiedziała, zerkając w kierunku poczekalni.

Adriana obróciła się przez ramię, ciekawa, na co właściwie patrzy pielęgniarka i co takiego miała na myśli, mówiąc o parach lesbijskich. Siedziała tam tylko Georginia, która właśnie przeglądała gazety plotkarskie... – Ale... Nie! – zawołała, gdy już zorientowała się w sytuacji. – My nie! Ta pani to tylko koleżanka...

– Ciii! O nic nie pytam, w nic nie wnikam. Proszę dać znać, kiedy dotrze surogatka – powiedziała kobieta dyskretnym półszepem i zniknęła za drzwiami.

Hania przysłała spóźniona, bo dzieci musiała zostawić z koleżanką, autobus w korku stanął, a w dodatku zostawiła dowód osobisty w domu i musiała się wrócić, bo przecież dowód może się przydać w takiej sytuacji, jak ta.

– Mam też numer konta, o który prosiłaś – powiedziała, wyciągając kartkę z odręcznie wypisanymi cyframi. – Założyłam na tę okoliczność, bo prawdę mówiąc, to ja bankom nie wierzę i co gotówka, to gotówka, ale skoro tak wolisz... I te wyniki badań, które pan doktor prosił. Nie mam kiły, nie mam HIV, żadnych wirusów, podbite przez lekarza. Przemięły ten gabinet, do którego mnie wysłałaś. Taki różowy, czyściutki... Miło tam będzie prowadzić ciążę... Ten pan Skrobak też miłutki i śliczniutki. Ale gorąco! Muszę się czegoś napić!

Adriana poderwała się natychmiast i podała jej wodę w plastikowym kubeczku z dystrybutora. Zwykle, gdy ktoś się spóźnia, szczególnie w relacji służbowej, jest bezwzględna, ostentacyjnie niezadowolona, ale teraz – mimo że w pewnym sensie relacja jej i Hanny była służbowa – nie zdobyła się na żaden nieprzyjemny komentarz. Traktowała ją serdecznie i naprawdę się ucieszyła, że wreszcie jest.

– Zapraszam do gabinetu – powiedział lekarz. – Zacznijmy. A właściwie kontynuujmy. – Uśmiechnął się.

Jeden zarodek trafił do macicy. Pierwszy przelew zasilił świeżo otwarte konto Hanny. Reszta w rękach losu.

Adriana przechadzała się po swoim ogrodzie, wachała kwiaty i słuchała Arnolda. Mimo że szedł za nią krok w krok, nie podzielał jej zachwyty nad pięknem przyrody, zapachem róż i rozbuchaną zielenią. Nie rozczuliły go nawet jeże. Był skupiony na pracy, a ogród tylko go rozpraszał. Najchętniej przeniósłby się do klimatyzowanego biura, gdzie nie musiałby co chwilę odganiać latającego robactwa.

– Zaproszenie na coroczne spotkanie ważnych i wpływowych biznesowego świata anulowałem, zrobiłem rezerwację na spotkanie w Paryżu z dyrektorem globalnym i mam nadzieję, że uda mi się pojechać z tobą, mimo zaawansowanej ciąży. Kasia, nasza surogatka, będzie wtedy w trzecim trymestrze, a ja i Sam chcielibyśmy być przy niej, gdyby nagle zaczęła rodzić. No ale wstępnie zarezerwowałem dwa pokoje – mówił Arnold. – Zarząd jest zachwycony, że postanowiłaś obciąć premie działowi marketingu. Ta reklama smoczków anatomicznych właściwie reklamuje sutki i naturalne karmienie. Prawdę mówiąc, za efekt odpowiada Sylwia, ale ona się zasłania twoją akceptacją i tak w kółko. Napisałem zgrabne uzasadnienie. Nie powinni się przyczepić. Nie sądzę, żeby ktoś miał tu coś trafnego do dodania. Rekrutacja na stanowisko e-commerce managera zakończona. Zatrudnimy taką farbowaną blondyneczkę. Na bystrą nie wygląda, a tu proszę, najlepiej sobie poradziła z testem i doświadczenie ma imponujące, trochę brak jej korporacyjnej ogłady, przyszła na rozmowę rekrutacyjną w plastikowych sandałkach, ale się wyrobi. Spotkasz się z nią dziś po telekonferencji z Globalem... Adriano, jesteś tam?

Adriana przytaknęła, że owszem, jest, rzuciła jakiś sensownie brzmiący komentarz, a potem poprosiła Arnolda, żeby dał jej chwilkę na zebranie myśli.

– Piętnaście minut. Tyle potrzebuję. Muszę wykonać telefon, a potem zabierzemy się za analizę raportów sprzedaży. Poczekaj na mnie w moim gabinecie.

– Z przyjemnością – powiedział Arnold, ocierając pot z czoła. – Z przyjemnością schowam się gdzieś przed tym skwarem. Pozwolisz, że nastawię klimatyzację w twoim gabinecie na mrożenie?

– A jak tam ta wasza ciąża? – spytała.

– Dobrze, dziękuję. Czekamy na USG połówkowe. To bardzo ważne badanie, ale jak dotychczas wszystko jest w porządku, więc jesteśmy dobrej myśli. Chłopiec się rozwija, ma już ponoć trzysta osiemdziesiąt gramów i niebawem będzie czuć przez brzuch, jak się rusza. Nie możemy się doczekać, aż Kasia potwierdzi te ruchy. To takie ekscytujące! Chciałbym to poczuć! Gdybym miał doświadczyć jakiegoś aspektu bycia kobietą, chciałbym, marzyłbym o tym, żeby być w ciąży. – Zabawne, bo Adriana właśnie tego aspektu macierzyństwa chciała uniknąć. – To cudowny, magiczny stan – Arnold nie przestawał pisać z zachwyty. – Kasia mówi, że dobrze się czuje, ale coś nie chce jeść. Zapraszamy ją do najlepszych restauracji, a Sam to jej nawet czasem coś ugotuje.

– Cieszę się z wami – ucięła Adriana.

Zrobiło się cicho, gdy Arnold odszedł. W tle ptaki, dźwięki niedalekiej ulicy, na rabatkach czerwone różaneczniki, a w głowie Adriany tylko jedna myśl: Hanna dostała okres.

Wraz z krwią miesięczną wydalala jej zarodek, który tak doskonale wyglądał pod mikroskopem na szalce, który się tak pięknie dzielił i naprawdę dobrze rokował. Niestety. Statystyka jest bezlitosna. Szanse na implantację ma tylko jeden na cztery. Najlepsze kliniki nie mają lepszych wyników. Nawet natura nie ma lepszych wyników.

W kilka minut, przechadzając się alejkami ogrodu z telefonem przy uchu, Adriana zaplanowała Hannie kolejny cykl, kolejny transfer. Sama też miała okres, więc czekała, aż zadziała tabletki przeciwbólowo-rozkurczowa. Potem wróciła do swojego gabinetu i wspólnie z Arnoldem zabrała się do pracy. Przed sobą miała cały dzień naszpikowany zadaniami, cały tydzień wytężonej aktywności. To dobrze.

Czas do następnego transferu szybciej zleci.

– Do pani obowiązków będzie należało utrzymanie porządku. Nie wiem, jak rozumie pani definicję tego słowa, ale mam nadzieję, że nasze postrzeganie czystości będzie zbieżne – Adriana mówiła szybko i rzeczowo. – Pani poprzedniczka skarżyła się na astmę i uczulenie na psią sierść. Mam nadzieję, że pani nie jest alergikiem. W szczególności wprowadzi panią pan Romuald. Panie Romualdzie – zwróciła się do mężczyzny – proszę pamiętać, żeby pani poznała zasady tu panujące, zwłaszcza te, które dotyczą dyskrecji i przezroczystości...

– Ale ja... – wtrąciła kobieta po trzydziestce. – Mam na imię Zofia i nie przyszłam starać się o pracę sprzątaczką. Jestem nianią, guwernantką. I proszę wybaczyć, ale przezroczysta nie będę. Opieka nad dzieckiem wymaga choćby minimalnego uczestnictwa w życiu rodzinnym.

Adrianie odebrało mowę, co raczej się nie zdarzało. Romuald uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć, że wszystko wie. Skąd? Adriana nie miała pojęcia.

– Wybrałem ją bardzo starannie – szepnął do Adriany, jak zwykle zaskoczony jego domyślnością. – Casting na nianię czas zacząć! Nigdy nie jest za wcześnie.

Adriana uśmiechnęła się.

– Romualdzie, zostaw nas same – poprosiła, choć czuła, że decyzja została już podjęta.

Arnold omawiał szczegóły strategii na kolejny rok dla prominentnych biznesów, opowiadał o nowych dyrektywach unijnych odnośnie do atestów produktów przeznaczonych dla dzieci, naklejek, które muszą dorzucić do każdego opakowania. Zaadresował już problem do odpowiednich osób, a Adrianę wyłącznie informował. Nic od niej nie chciał, nie tylko on, ale też cały wielki świat. Nic nie czekało na jej akceptację ani weto. Wyczuła, że Arnold mówił dziś z mniejszym entuzjazmem niż zwykle. Coś go trapiło.

– Arnoldzie, co ty na to, żebyśmy odwołali wszystkie dzisiejsze spotkania i zrobili sobie wagar? – Zabrzmiała zupełnie jak nie ona, ciepło i sympatycznie.

– W sumie... Mówisz serio? – upewnił się, bo taka propozycja z ust jego szefowej jeszcze nie padła, od kiedy dla niej pracował. – To chyba dobry pomysł, gdybyś nie miała nic przeciwko. Mamy teraz taką sytuację...

Arnold był zazdrosny o Kaśkę surogatkę, bo jego zdaniem Sam poświęcał jej więcej uwagi niż jemu. Oczywiście wie, że nosi ich dziecko, ale Sam zapomina, że to nie z nią tworzy związek.

– Sam i ty powinniście spędzać teraz jak najwięcej czasu ze sobą – orzekła Adriana. – Oczekiwanie na dziecko to szczególny okres w życiu każdego człowieka.

– To prawda. Sam chodzi z Kasią do restauracji, z Kasią do kina, z Kasią na jogę... Gdybym tylko mógł, nosiłbym to dziecko pod swoim sercem, żeby dostać tyle jego uwagi! Ten wolny dzień to nie najgorszy pomysł. Mógłbym pójść z nimi do szkoły rodzenia na zajęcia.

– W takim razie postanowione. Wyczyść dzisiejszy kalendarz, przełoż, co musisz, na koniec tygodnia i jesteś wolny – powiedziała optymistycznie Adriana.

Wszystkie spotkania zostały anulowane – z wyjątkiem jednego, bezapelacyjnie najważniejszego.

Słodko-kwaśna i pogaduchy z dziewczynami w porze obiadowej – najlepszy z możliwych sposobów na miłe spędzenie czasu. Przyszły głodne i rozemocjonowane.

Iwona zamówiła żeberka i zasmażaną kapustę, Emilia naleśniki orkiszowe, krem z porów i drinka wysokoprocentowego. Adriana wzięła chłodnik i placki ziemniaczane. Po raz pierwszy była na czas, nie

spóźniła się ani minuty, a w dodatku nie była ostatnia. Wciąż czekały na Georginię, która wróciła z podróży z mężem z Hawajów. Miała potężnego jet-laga, ale doświadczenie z kilku lat modelingu (zawód ten wymagał od niej latania po całym świecie i wyglądana nieskazitelnie) sprawiło, że wiedziała, jak szybko doprowadzić się do porządku melatoniną, kofeiną, makijażem. Obiecała więc, że będzie. Spóźniona, ale będzie.

Przyszła, opalona na skwarę, w kwiecistej sukience z maksymalnie głębokim dekoltem i odsłoniętymi plecami. Była na tyle rozebrana, że można było przypuszczać, że opalała się toples. Miała dla dziewczyn egzotyczne prezenty tekstylne – kiczowate, kwieciste – kupione za dolary amerykańskie. Każda ucieszyła się na swój sposób. Iwona pewnie odstąpi swój prezent dzieciom, Emilia wstawi do garderoby, a Adriana wyrzuci albo odda.

– Mam też zdjęcia na tablecie, nawet przy sobie, ale nie pokażę wam żadnego, dopóki nie powiecie mi, co u was!

Iwona obgryzała kostki z wieprzowinki i cedziła coś zupełnie nudnego – o dzieciach, pacjentach i jeszcze o mężu, choć to osobny temat. Ma problemy z koncentracją w pracy, problemy z potencją w łóżku, a ponadto myśli o wymianie ich rodzinnego vana na czerwone sportowe auto. Odbiło mu po prostu. Na szczęście kryzys zawodowy, małżeński i kryzys wieku średniego opanowany, męża przywróciła do porządku solidną awanturą, w trakcie której uświadomiła mu, że w ich życiu nie ma miejsca na jego kryzysy, bo ona na siebie już więcej obciążeń wziąć nie może! Musi mieć partnera! Dysponowanego, pozbieranego, poukładanego.

Emilia zabrała się za pisanie powieści i zaplanowała na ten cel urlop. Ma już roboczy tytuł – *Ciała prawda*. Będzie bardzo erotyczna, ale nie wulgarna.

– To powieść o odwzajemnionej cielesnej miłości nauczycielki i jej ucznia – zdradziła zaintrygowanym dziewczynom. Zastanawiały się, czy będzie to wyłącznie fikcja literacka czy też odnajdą w treści książki jakieś wcielenie Emilii, z którego istnienia nie zdawały sobie dotąd sprawy. – Chciałam wyznać wam coś jeszcze – powiedziała Emilia, nie odrywając się od drinka. Wiedziały, że przekwita, że ma stany lękowe, a teraz oznajmiła im zupełnie otwarcie, że jest alkoholiczką. Przyjęły to ze zrozumieniem, choć wszystkie zdziwiły się, że mimo wszystko sączyła swój alkoholowy napój zamówiony do obiadu. – No bo to tylko diagnoza. Nie odstawiłam jeszcze alkoholu. Czekam na lepszy moment. Może jak skończę powieść – wytłumaczyła, po czym przełknęła łyk trunku i wyraźnie zrobiło się jej lepiej. – No a co u ciebie, Adriano? – spytała. – Słyszałam o transferze Hani. Tak mi przykro, że nie wyszło... Kiedy kolejny?

Adriana przegryzała placka ze śmietanką i uśmiechała się tajemniczo.

– Kolejny transfer Hanny nie doszedł do skutku – oznajmiła.

– Jak to!?

– Wredna małpa!

– Rozmyśliła się? Wiedziała, że to może się tak skończyć! Od początku przeczuwałam, że ta cała surogacja to śliska i niepewna sprawa...

– No więc przed kolejną procedurą, gdy wszystko było już dogadane, wydawało się, że jest dopięte na ostatni guzik, gdy dwa ostatnie zarodki zostały rozmrożone i dojrzewały na szalce w oczekiwaniu na transfer, zadzwoniła Hanna – powiedziała Adriana. – Bardzo, ale to bardzo przeprosiła...

– Niech sobie wsadzi takie przeprosiny w swoją tłustą dupę! – wzburzyła się Georginia.

– Hanna się rozmyśliła – kontynuowała Ada – a właściwie czynniki zewnętrzne sprawiły, że nie potrzebowała już tak desperacko pieniędzy. Miała też osobiste plany, które wykluczały surogację w tym momencie. Poznała kogoś, mężczyznę, zamożnego „że ho ho”, jak to ujęła, który zastrzegł sobie, że macica może się jej w najbliższym czasie przydać i nie zgadza się na wynajęcie tego organu swojej

partnerki. – Westchnęła z uśmiechem. – Jej prawo.

– No to co zrobili z tymi zarodkami? Co się z nimi stało? – dopytywała Iwona, zatroskana o losy potencjalnych dzieci Adriany, których śmiercią na szalce byłaby szczerze zmartwiona.

– Rozwijają się – powiedziała tajemniczo Adriana. – Transfer się odbył, a zarodki rozwijają się, o tutaj – Pokazała na swój brzuch, sama jeszcze nie dowierzając stanowi, w którym była. – Rozwijają się we mnie.

Michalina i Ksawery

Nie czekając, aż Ksawery zdecyduje się na dziecko, Michalina postawiła go, niby niechcący, przed faktem dokonanym. Instynkt przeważył nad przyzwoitością. Cięża wpadka, a teraz zagadka.

– Jak to się mogło stać?! – Nie krył zdumienia.

Przewróciła oczami, szukając odpowiedzi na suficie.

– Nawet tabletki antykoncepcyjne bywają zawodne.

Bywają, bywają. Szczególnie, jeśli się ich nie bierze. Zawodność tabletek – taka właśnie była jej linia obrony, oficjalna wersja wydarzeń.

Wiedziała, że będzie przerażony, niedowierzający, a może nawet pełen nadziei na poronienie. Wiedziała, że nie była dla niego tą jedyną, na całe życie, że nie wzdychał przesadnie na jej widok, że nie kochał jej na zabój, może nawet nie kochał jej wcale.

Zadawała się tym, że jest dziewczyną na tu i na teraz. Że im ze sobą dobrze.

Poznali się na jednej z wielu imprez, które oboje regularnie zaliczali kilka razy w miesiącu. Klub w przystosowanej piwnicy, z dobrą klimatyzacją, umiarkowanie ostrą selekcją i z drogą wejściówką. On przyszedł z kumplami polować, ona była na pierwszej randce z kolegą z pracy, który był oryginałem. „Krejzol”, „freak” – wszyscy tak o nim mówili. Nie był brzydki (aż tak bardzo), ale cała jego potencjalna uroda niknęła w metrodziwacznej stylizacji. Był niski, ekstremalnie chudy, krzykliwy i na każdym kroku opowiadał kawały, które były wulgarne, długie, powszechnie znane, ale nigdy śmieszne. Oskar, tak miał na imię, nie odstępował Michaliny na krok. Był informatykiem, a ona w tej samej korporacji zajmowała się sprzedażą. Zgodziła się pójść z nim na randkę po tym, jak Iga, jej starsza siostra, wyraziła swoją opinię, że Miśka jest okrutnie wybredna i powinna raz na jakiś czas dać komuś szansę podbić swoje serce. „Czekasz na księcia z bajki, ale nie zjawia się od lat. Kobieto, nie jesteś już nastolatką. Zmarszczki masz, zegar tyka! Zachęcam cię do dostrzeżenia księcia w żabie, jeśli nie chcesz skończyć jako bezdzietna stara panna”, mówiła, a właściwie straszyla, jakby bezdzietność i staropanieństwo były największą życiową katastrofą. A może miała rację?

Natchniona jej słowami Michalina zgodziła się, gdy Oskar zaproponował randkę.

Krejzol, freak, Oskar pił przez słomkę piwo z sokiem i pokazywał Michalinie kroki rumbi, których nauczył go znajomy tancerz, a ona próbowała dostrzec w nim księcia, ale ni cholery jej się to nie udawało. Wpatrywała się w niego ze szczerą intencją odnalezienia jakichś zalet, jednak widziała tylko te jego biodra pląsające na boki, nic seksownego. Chyba jakiś gej czaił się na niego po drugiej stronie baru. Z całą pewnością nie były to atrakcyjne ruchy dla heteroseksualnej kobiety. Dla niej Oskar pozostawał żabą. Rozejrzała się wokół. W tłumie dostrzegła jakąś celebrycką twarz, w innym kącie mignęła jej znajoma postać mężczyzny, choć za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć, skąd go zna... Nagle napotkała przenikliwy wzrok wycelowany prosto w nią.

To był Ksawery – wówczas zupełnie obca osoba, a dziś główny bohater jej projektu „Dziecko”.

Słowa Oskara, który coś rechotał, przestały do niej docierać. Patrzyła na prawdziwego księcia z bajki. A on patrzył na nią. Stał na tle kolorowych promieni świetlnych. Upiła łyk drinka ze szklanki. Trafiło ją. Strzała amora. Miał to coś, co zmiękczało jej nogi, otwierało serce i lasowało mózg. W końcu, po kilku minutach wpatrywania się, Ksawery podszedł, ignorując sięgającego mu do brody płasającego towarzysza Michaliny. Nachylił się nad jej uchem i powiedział:

– Spław kurdupła i baw się ze mną. Potem pójdziemy do mnie.

Bezpośredni gość, pomyślała i bez wahania ruszyła z nim na parkiet, gdzie głośna techniwka skleiała ich ze sobą na długie godziny. Michalina miała na sobie obcisłą sukienkę z miłego w dotyku syntetyku – wyglądała jak milion dolarów. Ksawery obłapywał wszystkie odstające części jej ciała, a ona dawała mu na to absolutne przyzwolenie.

Około północy wyszli z klubu razem – bez jego kumpli, bez jej feralnej randki. Ksawery na pewniaka zaprosił Michalinę do taksówki. Czowała, że jeśli teraz się z nim prześpi, będzie to ich pierwszy i ostatni raz. Dlatego asertywnie, rozsądnie, choć zupełnie wbrew sobie poprosiła, żeby podrzucił ją do domu.

Zainteresowanie samca wzrosło. Nie naciskał, nie upierał się, tylko poprosił ją o numer telefonu. Wklepała mu go w iPhone'a pod hasłem: „Zadzwoń do Misia”. Tak chyba zostało do dziś.

Zadzwoił. Po trzech dniach. W świetle dziennym okazali się dla siebie równie atrakcyjni, jak w przytłumionym klubowym blasku reflektorów. I tak jakoś są razem, a przynajmniej spotykają się regularnie, od ponad dwóch miesięcy. A tu nagle – ciąża.

Gdyby znał prawdę, znienawidziłby Michalinę na zawsze. Z blistra swoich tabletek, który zawsze leżał przy lustrze w łazience, codziennie wyciągała jedną, a potem spuszczała ją w toalecie. Ksawery spytał ją o antykoncepcję tylko raz. Pytanie brzmiało: „Czy będziesz brać tabletki, czy mam się zaopatrzyć w zapas gumek?”.

Nie było żadnej dyskusji o innych metodach; nie chciał ryzykować stresów związanych z czekaniem na okres. Oszczędziła mu więc stresów na jeden pełny cykl. A teraz jest w ciąży. I wcale nie czuła się tym faktem zestresowana.

– Naprawdę nie wiem, jak to się mogło stać... – udawała zdziwienie. – Zażądam odszkodowania od producenta pigułek! Albo alimentów... – próbowała żartować, ale Ksaweremu jakoś nie było do śmiechu.

Zbladł, co przy jego ciemnej oprawie oczu i włosach wyglądało upiornie. Jego mocno zarysowane jabłko Adama poruszało się rytmicznie w górę i w dół. Dłonie pocierał nerwowo jedną o drugą, jakby próbował wykrzesać ogień. Entuzjazmu bynajmniej nie wykazywał. Intuicja podpowiadała Michalinie, że zostanie przy niej, zakocha się w dziecku, zobaczy, jaką jest wspaniałą matką, i będą żyli razem do późnej starości. Ale jeszcze nie teraz. Teraz wyglądał, jakby miał ochotę cofnąć czas.

Mogła zgadywać, co sobie teraz myślał. Miał trzydzieści lat. Czasem wspominał jej o swoich bohaterskich przeprawach przez życie, gdy przyjechał do obcego wielkiego miasta z dalekiego Podkarpacia, bez grosza przy duszy. Przez sześć lat biedował. Łączył studia z pracą, jadł tanią pasztetową z kajzerką, a od święta otwierał słoik od mamy. Jeździł tramwajem, z braku kasy często na gapę, uciekając przed kanarami, a z imprez wracał nocną linią, czekając długie godziny na właściwy autobus. Dzielił łazienkę z siedmiorgiem współlokatorów. Do modnych klubów nie wpuszczali go ze względu na biedny „look” i stare buty.

Wreszcie jednak przyszły tłuste lata. Mógł sobie kupić calviny kleiny, hipsterskie ray-bany, codziennie jeść w drogich knajpach i wozić się służbowym mondeo, a po godzinach przecinać warszawskie skrzyżowania ścigaczem.

Ksawery do siedemnastej był wbitym w niebieską koszulę i pantofle korporacyjnym wyzeraczem, z wybielonym uśmiechem, z sukcesami pnącym się po szczeblach kariery, a po godzinach miał czas i pieniądze na wszystko, co dawało mu „fun”, bo szczęście to chyba zbyt głębokie słowo.

Tak – to był dobry okres w jego życiu. Pewnie chciałby dla siebie kolejnych takich lat, dekad, wieczności! A tu lipa – ciężarna kobita.

– Ej, tata, to nie koniec świata! – Miśka szturchnęła go delikatnie, ale Ksawery był tak bezwładny, że prawie spadł z kanapy.

– Przestań rymować, bo mnie tym wkur...rasz! – Poderwał się do pionu.

Trochę zwątpiła. Podnosił czasem głos, zdarzało się, że kazał jej zjeżdżać czy się odwalić. Był raczej temperamentny, trochę porywczy. Ale teraz ten krzyk jakoś mocno ją ubódl.

Schowwał twarz w dłoniach, jakby miał migrenę. Potem zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. Niedobrze. Zaraz wyjdzie i nigdy więcej go nie zobaczy. Zostanie sama ze swoim brzuchem.

– Co możemy... Czy ty... Miśka, słuchaj, ja wiem, że się do tego nie nadaję. Znam siebie na tyle dobrze, żeby mieć pewność, że żaden ze mnie ojciec. Myślałaś może, żeby...

– Tylko nie namawiaj mnie na aborcję! – krzyknęła.

Chociaż Ksawery był święty, dla wszelkich zasad robił wyjątki, szczególnie dla tych, które miały związek z seksem i prokreacją. Akceptował absolutnie wszystko, co grzeszne i pozamałżeńskie, oby było zabezpieczone przed cudem poczęcia. Aborcja ciąży wpadki nie mieściła się w jego wyjątkach. Tak ją przynajmniej zapewniał w kolejnych zdaniach swojej mowy.

Wie, że jego trzydziestka i jego plany miały się nijak do jej trzydziestki (z pięcioletnim hakiem) i jej planów. Przez cały ich krótki, ale intensywny związek, oscylujący wokół łóżka, imprez i wspólnych wypadów na narty, na rowery, lotów last minute to tu, to tam, na skraj świata, kolacji w knajpach, śniadań w parku, niedzielnych wypadów do kościoła, które kończyły się grzesznym seksem u niej, u niego, a czasem w połowie drogi, wisiała nad nimi rozmowa, która obnażyłaby skrajną różnicę w strategicznych życiowych planach. Co dalej? Dokąd zmierzają?

Uprzedzając tę rozmowę, Michalina postanowiła, samowolnie i perfidnie, przeskoczyć kilka kolejnych etapów ewolucji ich znajomości. Nie czekając na wieloletnie chodzenie, nie łudząc się, że skończy się ono narzeczeństwem i małżeństwem, gdy tylko zwęszyła w Ksawusiu odpowiedni materiał genetyczny i na dobre dopadł ją instynkt, który kiełkował w niej od jakiegoś czasu, postanowiła przystąpić do działania.

– Wiem, że to nie tak miało być... – Kłamała. To miało być dokładnie tak! – ...Ale stało się. Nie planowałam tego. – Tak naprawdę w ostatnim czasie planowała wyłącznie tę ciążę. Łykała kwas foliowy, miesiąc wcześniej zrobiła wszystkie badania – morfologię, mocz, cytologię, krew na HIV, kiłę i inne grzechy. Wyleczyła próchnicę, rzuciła palenie, stonowała kolor włosów, wszystko po to, żeby okres upragnionej ciąży upłynął jej zdrowo i nietoksycznie. Kupiła poradniki dla ciężarnych w wielkim mieście, dla ciężarnych na obcasach, dla grubych i szczęśliwych. Wiedziała, jak zgubić zbędne kilogramy po ciąży i jakie jedzenie sprzyja poczęciu. Kupiła kremy na rozstępy i rogała do karmienia, który służył jej jako poduszka, do której przytulała się wieczorami, marząc o dzidziusiu Ksawerego.

W końcu, gdy pojawiła się owulacja, którą wcześniej przez jeden cykl blokowała hormonami, zrobiła sobie dziecko. Wykorzystała biologiczne właściwości eksplozji estrogenu, który czynił ją ponętą, pociągającą, seksowną i śliską. Tego dnia, gdy pęcherzyk Grafa miał średnicę pięciozłotówki, robili to cały dzień i pół nocy, a Ksawery powtarzał, że nigdy nie pachniała i nie smakowała mu tak bardzo. – Stało się... – Udało się! – Jakoś to będzie, prawda?

– Jakoś to będzie – powiedział po dłuższej chwili. – Ale „jakoś” wcale nie musi oznaczać czegoś dobrego, Misiu... – szepnął, w końcu ją przytulając.

Te szerokie ramiona, ten gęszcz włosów na kłacie, ten absolutnie doskonały mężczyzna, z którym jej to „jakoś” wystarczy. Musi wystarczyć!

Będzie mamą, nie umrze bezdzietna. A w dodatku była w objęciach Ksawerego, który na razie nie uciekał, gdzie pieprz rośnie.

*

Zanim kobieta zdecyduje się obwieścić ciążę światu, zwykle wymaga jakiegoś potwierdzenia tego stanu. Jednym wystarczy serce bijące w obrazie USG, niektórzy dają sobie czas do końca pierwszego trymestru, inni czekają na zaokrąglony brzuch, ale są też tacy, którzy nagle, po miesiącach milczenia, pojawiają się na domówce u znajomych z dzieckiem pod pachą.

Michalinie wystarczyły dwie kreski na teście. Iga i Roksana dowiedziały się natychmiast – za pośrednictwem MMS-a.

Iga od razu oddzwoniła. Wyraziła wiele obaw, brała w końcu te same tabletki, co Michalina, licząc, że ciąża (kolejna) jej nie grozi. Michalina najpierw wymusiła na niej bezwzględne milczenia, a później wtajemniczyła ją w szczegóły swojej koncepcji i uspokoiła, że bynajmniej nie był to wypadek. Iga odetchnęła z ulgą, ale chwilę później pojawiły się kolejne obawy.

– Chcesz mi powiedzieć, że... Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć? Że wrobiłaś biednego faceta w ciążę? – Pouczała, że tak nie można, że to świństwo, że kiedyś to się zemści i na Miśce, i na dziecku. Że w ogóle to szczyt chamstwa i na takim postępowaniu można się nieźle przejechać. Że nie podejrzewała Miśki o taką desperację. Kiedy już skończyła osądzać, prawić morały i sypać truizmami, wzięła głęboki oddech. Po namyśle przyznała, że w życiu każdej kobiety powinno się znaleźć miejsce na macierzyństwo. O ile kobieta czuje potrzebę realizacji tego instynktu, nie powinny jej przeszkodzić żadne czynniki zewnętrzne, a już na pewno nie czynnik samczy.

– Dziękuję za zmianę frontu – powiedziała z ulgą Michalina. – Miło mieć cię po swojej stronie!

– Współcześni faceci nie garną się do prokreacji – westchnęła Iga. – Może rzeczywiście my, kobiety, musimy brać sprawy w swoje ręce, jeśli chcemy, żeby ludzkość przetrwała. – Ona oczywiście wyrobiła już społeczne minimum, a nawet więcej, bo urodziła trójkę. A przed kolejną ciążą zamierzała się bronić tabletkami, w których skuteczność przez wieść o ciąży Michaliny na moment zwątpiła. Zadeklarowała pomoc, wsparcie i dyskrecję – wszystko, czego można oczekiwać od ukochanej starszej siostrzyczki.

Roksana tego dnia miała nagranie do porannego programu *Pobudka*, który regularnie ściągał przed telewizory dwadzieścia osiem procent telewidzów. Prawdopodobnie wielu z nich słuchało teraz wywiadu z Roxy. Siedząc na kanapie przed duetem prowadzącym program, opowiadała właśnie o swoich pierwszych dniach w szkole.

– No tak! Mamy pierwszy września – westchnęła Miśka, robiąc sobie śniadanie, podczas gdy jej młodsza siostra snuła opowieść o tym, jak w liceum musiała walczyć o swoje prawo do pomalowanych paznokci i rozjaśnianych włosów, jak świetnie radziła sobie z nauką i gdyby nie kariera wokalna mogłaby zostać lekarzem, prawnikiem, menagerem albo nawet prezydentem!

– Los chciał inaczej i obdarzył mnie również scenicznymi talentami, więc grzechem byłoby, gdybym się marnowała w jakimś pospolitym zajęciu. Proszę mi wierzyć, moje IQ jest równie wysokie, jak dźwięki które wydobywają się z mojego gardła.

Cała Roxy! Nieskromna, pewna siebie i w dodatku ma rację. Michalina wbijała jajka na patelnię z rozgrzanym masłem. W krótkiej przerwie reklamowej najwyraźniej jej siostra odczytała MMS-

a z ciążową nowiną, bo gdy ponownie weszli na antenę, postanowiła obwieścić światu, że niebawem zostanie ciocią.

– Nic nie cieszy mnie tak bardzo, jak powiększająca się rodzina, i wprost nie mogę się już doczekać, aż moja się powiększy! Najpierw o jakiegoś męża, a potem o dzieci. Dużo dzieci!

Na te słowa prowadząca zaczęła cedzić coś o tym, że chyba nikt się nie spodziewał, że w naczelnej skandalistce kraju kryje się nie tylko nieprzeciętna inteligencja, ale też duch domatorki, której marzy się dom pełen dzieci. Roxy odparła tylko, że nie wolno sądzić ludzi po pozorach, a ona jeszcze nie raz wszystkich zaskoczy.

Takie wyznanie na pewno ociepli troszkę jej wizerunek, nadszarpnięty ostatnio przez incydent samochodowy z chuchem alkoholowym. Po tym, jak wjechała w półgłówek na rowerze, który po zmroku nie raczył zabezpieczyć się odblaskami, przez długi czas była czołową kryminalistką i piratem drogowym kraju. W dodatku media ubarwiły historię promilami we krwi, a półgłówek okazał się jakimś celebrytą z lat dziewięćdziesiątych, więc tabloidy huczały. A potem jeszcze niesforny sutek wyrwywający się ze stanika w trakcie machania ręką do fanów i przypadkowe ukazanie waginy, wydepilowanej, nieosłoniętej majtkami, w trakcie wychodzenia z auta. To wszystko zapewniło Roxy reklamę na ponad rok. Żadna nowa płyta nie była jej już potrzebna.

Roxy wystąpiła tego poranka w pozornie skromnej, jak na nią, stylizacji. Włosy sploła w grzeczny warkoczyk, założyła plisowaną spódniczkę do kolan i podkolanówki. Do tego biała szkolna bluzka, rozpięta aż do nasady stanika, żeby uwydatnić jej wyjątkowo kształtny biust, którego na pewno nie odziedziczyła po mamie. Trochę go podrasowała, do czego publicznie przyznała się rok temu, siedząc na tej samej kanapie, przed tym samym duetem prowadzących.

Efekt był tak dobry, że Michalina długo zastanawiała się, czy sobie nie sprawić podobnych. Teraz mogła się obejść bez zabiegu, bo wczesna ciąża w pierwszej kolejności ujawniła się właśnie w jej biuście. Zrobił się krągłyjszy, jakiś taki sterczący, nabrzmiący, wręcz pornograficzny! Do poprawianego nosa Roxy się nie przyznała, choć cała rodzina wiedziała, że z takim zgrabnym koniuszkiem się nie urodziła.

Michalina zjadła jajka sadzone, które miały być jajecznicą, ale trochę za bardzo się ścięły, kiedy zagapiła się w ekran.

Rodzice.

Michalina pojechała do nich sama, bez Ksawerego, który akurat miał „swoje sprawy”. Piwo, domek i kolega Tomek. Wolał to niż towarzyszyć dziewczynie w obwieszczaniu najbliższym radosnej nowiny. Nie miał zresztą ochoty udawać, że nowina jest dla niego radosna, a z takim nastawieniem Michalina również nie chciała go przy swoim boku. Wolała poczekać, aż się oswoi i nabierze optymizmu.

Weszła do domu jak zawsze, bez pukania. Nie była w stanie zakraść się tam po cichu, bo od razu zwęszył ją pies. Z radości najpierw obsikał kafle, potem dreptał w miejscu, zatoczył kółko, skoczył na nią, wycierając łapy o jej bluzkę, i pobiegł do salonu, zostawiając za sobą mokre ślady. Pomimo wszędobylskości czworonoga w domu panował porządek.

W salonie leniwie przeciągał się tata Michaliny: wydatny brzuch, blizna wzdłuż lewego podżebrza, tatuaż na piersi i łysina od skroni do czubka głowy; do tego niekompletne uzębienie, z którym musi coś zrobić, wciąż tak powtarzał. Zagryzał orzeszki ziemne solone, które popijał oranżadą wiśniową, prosto z butelki. Mało estetyczny widok ten jej ojciec.

– Tak właśnie myślałem, że to ty, bo na nikogo innego Elton się tak nie cieszy. Misiu, kochanie, coś ty zrobiła z włosami? – zabrzmiało zamiast powitania. Odruchowo ugładziła sterczącą szczecinę, która daleko odbiegała od wyobrażenia krótkiej awangardowej fryzurki, w której miało być Miśce twarzowo,

modnie, a przede wszystkim wygodnie. „Włosy nie ręka – odrosną, więc nie ma co płakać”, powiedziała Alicja, najlepsza przyjaciółka Miśki, gdy zobaczyła ją po powrocie od fryzjera. Płakała po ich stracie. Takie słowa z ust przyjaciółki mogły świadczyć tylko o tym, że było bardzo źle. Zresztą Miśka nie pierwszy raz opłakiwała włosy. To był trzeci raz w jej życiu, gdy po latach zapuszczania, kiedy w końcu końcówki zaczynały sięgać łopatek, nagle nachodziła ją wielka chęć na zmianę, dała się porwać impulsowi, wycinała z gazety zdjęcie jakiejś chłopczycy i pędziła do fryzjera. Zwykle źle się to kończyło, ale i tak zrobiła to po raz kolejny. – Jak byłaś młodsza, można było ci jeszcze wybaczyć takie dziwactwo – rozwijał się ojciec. – Nikt ci nie doradził, że przy twoim owalu twarzy włosy się nosi przynajmniej do brody? Tak jak mama. Trzeba było mnie spytać, ja bym ci doradził. Skąd pomysł na taką niekobiecą długość, córko?

Tatko Misi służył w wojsku do emerytury. Potem służył radą. Miśka zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek którakolwiek z jego rad była dla niej w jakkolwiek sposób użyteczna. Sypał nimi jak z rękawa i aż się bała, co jej dziś poradzi, gdy usłyszy nowinę.

– Mnie przynajmniej włosy odrosną – uśmiechnęła się, klepiąc go po łysinie. – Gdzie mama?

– Tuuu jeesteeem! – dobiegło wołanie z kuchni, po czym pani domu wychyliła się zza ściany. – Właśnie odcedzam kluski śląskie. Przyszłaś w samą porę.

Mama Miśki, Halina, wyglądała doskonale w każdych okolicznościach, jakby weszła do kuchni prosto z sesji zdjęciowej, pozując na pin-up girl. Plastikową opaską odgarniała włosy z twarzy, pokrytej ciemnym, teatralnym makijażem. Tak wszystkich do niego przyzwyczaiła, że nie wydawał się mocny mimo lazuru na powiekach aż pod same brwi, mimo różu na ustach zamkniętych w dwa tony ciemniejszych konturach. Jej talię (ekstremalnie wąską, mimo że wielokrotnie rodziła) podkreślał przewiązany w pasie fartuch, który zdjęła, gdy tylko przelała kluski do durszlaka. Do tego kaptcie na obcasie i perfekcyjnie zarysowana łydka.

Weszła do salonu, niosąc dwa talerze węglowodanów w gęstym, tłustym sosie z czerwonym mięsem. Do tego namiastka warzyw – ogórek konserwowy i marynowana papryka.

Tata oblizał usta, zasiadł do stołu i chwycił za sztućce. Łykał kluchy jak pelikan. Miśkę zemdliło, ale wcale nie z powodu ciąży. Po prostu odwykła od ciężkiego jedzenia.

– Zjedz, Misiu – nalegała Halina, podsuwając córce talerz pod nos. – Mizernie wyglądasz, kochanie. Błada jesteś bardzo...

– Jakoś nie mam apetytu, jadłam niedawno – powiedziała Michalina, odsuwając od siebie talerz, który natychmiast przechwycił Władek.

– Pychotka! Pychotka! – Pomlaskiwał.

Miśka spojrzała wybrednie na stół. Kiedyś lubiła kluchy śląskie. Mniej więcej piętnaście lat i tyle samo kilogramów temu. Teraz je trochę lżej. Tnie kalorie, gdzie się da, i dzięki temu wyraźnie się wysmukliła. Jest szczupła i nie kosztuje jej to więcej niż trochę wyrzeczeń, trochę dyscypliny i trochę potu. Wyjątki robi tylko dla słodczy, które incydentalnie pochłania w niewyobrażalnych ilościach, najczęściej w towarzystwie Roxy, a potem cały tydzień żyją wyrzutami sumienia i trzymają dietę.

W nozdrzach zapach mięsnego sosu, a w ustach posmak wasabi z zestawu sushi, który zjadła przed godziną na spólkę z Ksawerym. On najlepsze kaski z surową rybą, ona te mniej smakowite, grillowane, z krabem, ogórkiem, bo surowizna w ciąży niewskazana.

– Mamo, tato, muszę wam coś powiedzieć. – Nigdy nie była mistrzynią w budowaniu napięcia. Jeszcze zanim zdążyli spytać, o co chodzi, zaniepokoić się, zrobić jakkolwiek minę, oznajmiła: – Jestem w ciąży.

Mama otworzyła usta z wrażenia. Jej oczy zaszklily się od łez, co było jej typową reakcją na smutki i radości. Miało to być ich czwarte wnuczę, re-debiut w roli dziadków, bo przecież dzieci Igi już

nastoletnie.

– Ha, ha! Najwyższy czas! – zawołał tata, wycierając sos ostatnią kluską. – Matka i ja w twoim wieku mieliśmy już trójkę!

Halina spojrzała na męża z politowaniem.

– Może ja miałam trójkę, ale ty w jej wieku wciąż byłeś bezdzietny! – odpaliła, a potem z czułością zaczęła głaskać córkę po świeżo obstrzyżonej głowie, jeszcze płaskim brzuchu i buzi, po której jej zdaniem „już widać”.

Miśka usiadła na kanapie, wygniecionej wcześniej przez tatę. Kupili ją jeszcze za Gierka, teraz, po renowacji, przeżywała swój renesans w nowym, turkusowym obiciu. W salonie stały też trzy fotele, każdy w innym stylu, meblościanka z barkiem, z witrynami pod sufit, w których stały kryształki, regularnie odkurzone przez Halinę. W kącie kwietnik, na stole świeże kwiaty... Niewiele się tu zmieniało, odkąd Miśka była małą dziewczynką. Poczowała przypływ domowego ciepła. Przez chwilę zaczęła żałować, że nie ma przy niej Ksawusia. Może udzieliłaby mu się ta sielankowa atmosfera?

– Niesłychane! Moja Misia będzie mamą! Musimy otworzyć szampana. – Halina pobiegła do kuchni.

– Opowiedz nam wszystko. Jak to się stało? – dopytywał ojciec. – Nie musisz się wdawać w techniczne szczegóły, ale powiedz chociaż, kto będzie ojcem i kiedy ślub?

Kiedy ślub? O ślubie nie ma mowy.

Ksawery uważał, że śluby tylko komplikują życie i utrudniają rozstanie ludziom, którzy już dawno się nie kochają. Poza tym nie byłby w stanie niczego obiecać aż do śmierci, gdy nie ma pojęcia, co będzie jutro. Ślub kłóci się z jego wyobrażeniem nowoczesnego modelu związków i świata, w którym ludzie w różnych okresach otaczają się różnymi, niekoniecznie tymi samymi ludźmi. Ślub jest zobowiązaniem, które składają idioci. Przebrzmiałym aktem przeciw ludzkiej naturze. Ślub be, fu, do du... Ślubami się brzydzi, nie lubi na nie chodzić, a tym bardziej być głównym aktorem takiego cyrku.

– Żenująca ceremonia, pajacowanie i metoda na unicestwienie miłości! – postulował.

– A co na to nasz Bóg? – pytała, choć znała odpowiedź, bo pewnie Bóg na to to samo, co na pozamałżeński seks.

– Boga w to nie mieszaj! On nie wymyślił ślubów! A seks, zaprawdę powiadam ci, boski jest bez ślubu też.

A potem między nimi wydarzył się seks.

Miśka miała zgola odmiennie, bardziej tradycyjne i konserwatywne podejście do tego tematu, ale swoją potrzebę wiązania się z ukochanym przed Bogiem i państwem polskim więzami małżeńskimi zachowała dla siebie. I tak, patrząc na swoje równolatki rozwódki, wiedziała, że ślub nie gwarantuje starzenia się z mężczyzną przy boku. Różnie może być. Ze ślubem i bez ślubu.

Będą mieli dziecko. To jest węzeł na całe życie.

*

Napięty grafik Miśka miała nie tylko tego dnia. I ani myślała zwalniać. Rozpierała ją energia, więc utrzymanie takiej aktywności aż do porodu wydawało jej się bardzo realne.

Poranne mdłości zagryzała ciasteczkami bagatelka z rodzynkami i cynamonem. Rano joga albo chociaż solidne przeciąganie się na łóżku, na śniadanie jogurt, jajka albo jakiś owoc zmiksowany z kefirem. Teraz, w stanie wyjątkowym, pozwalała sobie na podwójną porcję. Potem makijaż – w wersji minimalistycznej tylko puder, tusz i błyszczek. Gdy potrzebowała więcej kamuflażu, przeciągała nad

powieką ciemną kreskę i modelowała owal twarzy różem, tak żeby wyglądała smuklej. Gdy miała fantastyczny dzień, nad powieką lądował odjechany kolor z palety ogona pawia – od turkus, po fluorescencyjny fiolet, wszystko pięknie kontrastujące z jej piwną tęczę. Dzisiaj była w dobrym nastroju, który podkreśliła żółcią na powiekach. Uwielbienie do kolorowych kosmetyków musiała odziedziczyć po matce. Cięża trochę zaznaczyła się na jej cerze, więc nałożyła grubszą warstwę podkładu niż zwykle. Wrażliwe piersi nosiła w miękkim staniku bez fiszbinów, co trochę ją spłaszczało, ale przy jej rozmiarach i tak wszystko trzymało się na miejscu. Z wyborem stroju nigdy nie miała dylematów, bo nie gromadziła w szafie więcej, niż potrzebowała. Pilnowała, żeby nie zalegało tam zbyt wiele rzeczy typu „po domu”, „szkoda wyrzucić”, „a nuż się przyda”. Dzisiaj wybrała fuksjowy żakiet, spodnie rurki (póki się w nie wciska) i musztardową apaszkę. Zestaw bardzo optymistyczny i z takim samym nastawieniem chciała wyjść z domu.

Przejrzała się w lustrze i w oczach Ksawerego

Byli zaskakująco zgodni – Ksawery mówił: „Wyglądasz... hmm – ponętnie!”, a lustro: „Ej, Miśka, zamieniasz się w miśka!”.

– Spadaj! – rzuciła do Ksawerego i do odbicia w lustrze.

Choć nad spojeniem łonowym ciężko było szukać śladów ciąży, jej kuse ubrania ewidentnie nie leżały już tak dobrze, jak kiedyś. Tu i ówdzie opinały ją bardziej, niż powinny. Nie było jednak czasu na przebieranki. Zanim wyszła z domu, obiecała sobie, że wkrótce zaopatrzy się w kilka ubrań adekwatnych do jej stanu.

W pracy poprosiła szefa o pilne spotkanie i obwieściła mu, że jest w ciąży. I to już nie tylko na podstawie podejrzenia bazującego na dwóch kreskach – była u ginekologa i badanie krwi wskazywało na szósty tydzień, a i obraz USG sugerował wczesną ciążę. Szef ucieszył się, bo tak wypadło, a ona, uprzedzając jego gonitwę myśli (co z projektami, z targetem i celami na przyszły rok), uspokoiła go, że zamierza pracować do porodu, a na macierzyńskim będą z nią mieli stały kontakt mejlowy. I w ogóle zamierza być supermamą, rakietą, a nowa życiowa rola tylko doda jej skrzydeł i energii do osiągnięcia jeszcze lepszych wyników.

Szef ucieszył się z deklaracji, ale mimo to kazał Michalinie powoli wdrażać w swoje obowiązki koleżankę, tak na wszelki wypadek. Gdyby jej superambitny plan nie wypalił, on nie może ryzykować wynikami sprzedaży i musi mieć zabezpieczoną ciągłość pracy.

Wyszła z gabinetu trochę nadąsana.

Po pracy Miśka odwiedziła siostrę. Pojechała do Roxy poleżeć na jej miękkiej wykładzinie, posłuchać, co się dzieje w wielkim świecie celebrytów, pooglądać kreacje na najbliższe imprezy i zabrać te, których takiej gwiazdzie nie wypada wkładać po raz drugi. Zwykle kończyło się na tym, że po kilku drinkach śpiewały szlagiery, oglądały telewizję i wyzerały zawartość lodówki i spizarki.

Tym razem zjadły ćwierć kilo sękacza, oczywiście z wielkimi wyrzutami sumienia. Potem, zamiast spalić kalorie w jakimś wyczerpanym ruchu, wylegiwały się na kanapie.

Oglądały piętnastą edycję talent show, tego samego, który przed laty stał się dla Roxy trampoliną do wielkiego świata. Wyśpiewała sobie trzecie miejsce, ale i tak popularnością bije na łeb wszystkich zwycięzców kolejnych edycji. W międzyczasie zafundowały sobie następny wyrzut sumienia – paczkę bakalii.

– I tak już w nic się nie mieszczę, więc co za różnica, czy za chwilę będę gruba czy bardzo gruba... –

wzdychała Michalina.

– A do mnie i tak nie dzwonią z żadną propozycją zawodową, więc tymczasowo mogę sobie odpuścić bycie doskonałą... – wtórowała jej Roxy.

Dzwonek telefonu ciężko było odróżnić od dźwięków w telewizorze, ale Miśka zdołała odebrać, zanim włączyła się automatyczna sekretarka.

– Gdzie jesteś? – głos Ksawerego był zagłuszony przez chichot Roxy i popowe szlagiery.

– U... Roksany – powiedziała, ścisząc telewizor. – A ty?

– U Tomka – W tle głosu Ksawerego Miśka słyszała dzikie wrzaski: „Dośrodkował, nieeeeeee, a mógł być goooool, nie tym razem, proszę państwa, co za akcja!”. – No to chyba dziś już nie, ale jutro jakoś się widzimy, prawda?

– Mhm. U mnie czy u ciebie? – spytała, bo nie wiedziała, czy ma uwzględnić sprzątanie w planie kolejnego dnia.

– U mnie. – Uff... – Albo nie, u ciebie. – A jednak sprzątanie. – Albo może jednak u mnie. Najwyżej posprzątam ...

– A ja przywiozę jedzenie! – zadeklarowała ochoczo.

Chwila ciszy. A potem:

– Powiedziałem Tomkowi.

– I co?

– Kazał swojej dziewczynie założyć spiralę.

– Niech sam sobie założy spiralę!

– Żartował... Gratuluje ci, znaczy nam, tej... wpadki. Tylko że... Nie chce mu się wierzyć, że to była wpadka. – Michalina wyszła z pokoju, zostawiając za sobą komentującą show Roxy, która zachowywała się jak piąty juror. „Nie w tonacji, niezła barwa, ale zero osobowości”, krytykowała każdego, zanim zdążył dośpiewać do końca. – Czy ty na pewno brałaś regularnie te tabletki? – drażył Ksawery. – Nie zapomniałaś żadnej? Czy to było na początku czy na końcu opakowania? Próbuję to sobie jakoś wytłumaczyć i... Nie zrobiłaś tego specjalnie, prawda?

Serce kołatało jej jak oszalałe, a ręce były wilgotne od potu. Wariograf biłby na alarm, gdy Miśka wypowiadała słowa:

– Ksawery, no co ty... To wpadka. Może rzeczywiście jakiejś zapomniałam, ale nie zrobiłam tego celowo.

Ciekawe, czy gdyby musiała skłamać prosto w oczy, poszłoby jej tak gładko. Ciekawe, czy kiedykolwiek zdecyduje się powiedzieć mu prawdę. Tymczasem nie planowała porywać się na szczerłość.

Roxy zajadała głód nikotynowy orzeszkami i czekoladą, ale i tak miała ochotę na papierosa. Sięgnęła do szuflady i wypaliła jednego, mimo że oficjalnie rzuca. Potem kazała siostrze spadać do domu, bo czuła, że właśnie nadciąga fala przygnębienia. Obejrzała masę zdolnych, młodych, pięknych ludzi, niejednokrotnie bardziej utalentowanych niż ona, i zastanawiała się, jak bardzo powinna się obawiać ich konkurencji. Czy długo jeszcze będzie na topie? Co może zrobić, żeby podtrzymać zainteresowanie sobą i swoją twórczością?

– Czuję, że mój czas mija – powiedziała ze smutkiem. – Niebawem na sylwestra nie będę witać północy, tylko grać o czwartej rano do współprzemyślników. Nikt nie będzie mnie nigdzie zapraszał, będę stara, nudna i przebrzmiała...

Wyglądała doskonale. Miała trzydzieści lat, ciało nastolatki, naprawdę dobry głos. Choć jej piosenki nie należały do nadmiernie ambitnych kompozycji, a teksty nie były literackimi arcydziełami, to jednak

było w nich coś sympatycznego, coś, co zwracało uwagę.

– Roxy... Nic się nie stanie, jeśli przez chwilę pobędziesz poza epicentrum show-biznesu – przekonywała Miśka. – Dobrze ci to zrobi. Będziesz miała czas, żeby sobie wszystko przemyśleć, zebrać dobry materiał na płytę, zastanowić się nad nowym wizerunkiem...

– Tak, tak... Będę Niebieska, potem Złota Roxy, a potem wystąpię z plastikowymi cyckami na scenie i odtańczę makarenę... Jedna wielka dupa! Nie chcę, żeby tak to wszystko wyglądało. Chcę być sensacją!

Miśka ucałowała ją w czoło.

– Jeśli chcesz sensacji, zajdź w ciążę! – poradziła.

I poszła do domu, zostawiając Roxy w ogromnym mieszkaniu na dwudziestym ósmym piętrze wieżowca w samym centrum, z widokiem na Wisłę, Pałac Kultury, na panoramę Warszawy, na trzy strony świata. Tylko w oczach Roxy – bez widoków na przyszłość.

– Zamieszkajmy razem – powiedział Ksawery, głaszcząc plecy Miśki, tuż po tym, jak okazało się, że seks w ciąży smakuje wyśmienicie. W dodatku był to seks na weekendowym wyjeździe. Ani seksu, ani wyjazdów nie planowali ograniczać z powodu błogosławionego stanu Michaliny. Tym razem byli w Borach Tucholskich, bo Michalina wiedziała, że jak wybierze jakieś bardziej kurortowe miejsce, to spędzą czas na imprezach, a nie na rozmowach. Natomiast lasy sprzyjają spacerom, spacerom rozmowom, a rozmowy popychają sprawy do przodu. – Zamieszkajmy razem – powtórzył Ksawery, bo nie wiedział, czy milczenie Miśki jest reakcją na jego słowa, czy po prostu nie usłyszała, co do niej szeptał. Miśka otworzyła szerzej oczy. Poczła się tak, jakby zaproponował jej co najmniej małżeństwo. Wycieczka na to zadupie to był naprawdę dobry pomysł! – Spróbujmy, zanim się urodzi to... nasze dziecko – ciągnął. – Może się okazać, że za dużo zmian na raz może być nie do strawienia. Dozujmy to sobie powoli... Co ty na to?

Klucha w gardle odebrała Miśce mowę na dłuższą chwilę. Drżała jej dolna warga, ale kiwała głową na tak. Czasem Ksawery jednym gestem, słowem, propozycją sprawiał, że jej życie stawało się piękniejsze. Że unosiła się nad ziemią. Że była najszczęśliwszą istotą pod słońcem.

Wyciągnęła się na łóżku z błogostanem na twarzy. Po chwili, gdy już wrócił jej głos, spytała, gdzie w takim razie będą mieszkać. W myślach przeprowadziła błyskawiczną analizę. U niej – ciasno. Pokój z aneksem sypialnianym i osobną kuchnią. Na szóstym piętrze, z tarasem, z widokiem na jeziorko Balaton. Mieszkanie kupione na kredyt, który początkowo ją przerastał, ale od czasu awansu spłacała go bez większej zadyszki. Z kolei u Ksawerego przestronnie – mieszkanie typu studio: salon połączony z kuchnią, sypialnią i biurem, z parkingiem podziemnym i siłownią w tym samym budynku. Na trzynastym piętrze, też na kredyt.

Oba mieszkania były urządzone po singielsku.

Nie miały zacisznych kątów, w których można się przed kimś schować, bo niby przed kim? U niej – dużo bibelotów, potykaczy, gratów, które wypełniały przestrzeń, pozwalały zapomnieć, że mieszka sama. Każda durnostojka stanowiła potencjalne zagrożenie dla malucha. U niego – minimalistycznie i dizajnersko. Maluch swoją działalnością z pewnością zakłóciłaby koncepcję architekta, który zaprojektował to wnętrze od zera z myślą o zagorzałym singlu.

U niej – wszechobecne donice z kwiatkami pod sufit (zupełnie jak w jej rodzinnym domu), poduszki w każdym kącie, obrazki i zdjęcia na każdej ścianie, pojemniczki, puzderka, kasetki, skrzyneczki – skarby nieodkryte dla malucha, które pewnie ulegałyby systematycznej dewastacji. W przedpokoju stał monstrualny gipsowy bożek płodności, którego dostała od przyjaciół na trzydzieste urodziny. Pewnie dziecko, wspinając się na meble, pozbawiłoby bożka przyrodzenia przy pierwszych próbach pionizacji.

Ksawery miał zupełnie niefunkcjonalną kuchnię – z trzydziestoma centymetrami roboczego blatu

i kuchenką na dwa palniki, bez stołu, tylko z hokerami przy wąskim barku. Jedyne sprzęty kuchenne to mikrofalówka i ekspres do kawy. Mikrolodówka na coca-colę, koniec kropka. Jadł na mieście albo zamawiał do domu. Ugotowanie zupki dla malucha byłoby tam wyzwaniem, bo ciasno. A gdzie trzymać zapasy słoiczków i kaszek? W każdym kącie stały głośniki, dla efektu dolby surround, a centralnym miejscem w salonie były telewizor w rozmiarze okna i biała kanapa, która pewnie za chwilę, przy dziecku, byłaby udekorowana wielokolorową abstrakcją.

Żadne z tych mieszkań w żadnym wypadku nie nadawało się dla pary z dzieckiem. Każde wymagało porządnego przeorganizowania.

– Myślę, że nie będziemy mieszkać ani u mnie, ani u ciebie – powiedział Ksawery, całując Miśkę w szyję.

– No to gdzie?

– Będziemy mieszkać u siebie. – Kontynuował wędrówkę po jej ciele.

Miśka znów poczuła kluchę w gardle.

– Ale że każde z nas u siebie czy jak...? Nie rozumiem, jak to się ma do propozycji, żeby mieszkać razem...

– Myślałem, że powinniśmy pomyśleć o czymś większym, żeby każdy miał kąt dla siebie, wliczając w to nasze dziecko. Nie wyobrażam sobie, żeby nie miało swojego pokoju. Powinniśmy wynająć coś razem albo najlepiej – kupić. Będziemy potrzebowali czegoś większego. Teraz jest korzystny okres na zakup nieruchomości. – Znów oniemiała. Nie polemizowała z tym, czy okres jest korzystny czy nie, bo różnie mówili specjaliści. Perspektywa mieszkania z Ksawerym była dla niej ewidentnym progresem ich związku, niemalże pierścieniem z brylantem, którego się nie spodziewała. – Co ty na to? – Kiwała głową. Miała nosa, kogo wrobić w to dziecko! Ten Ksawery jest cudowny! – Widziałem ogłoszenie na Saskiej. Modna okolica. Ktoś pilnie sprzedaje apartament. Dziewięćdziesiąt metrów. Skoro pilnie, to może być okazja! Blisko do pracy, park niedaleko, więc jest gdzie biegać, wyjść na spacer... Jak myślisz?

Cały czas kiwała głową. Tak, tak, tak. Najchętniej przeskoczyłaby w czasie do wielkiego brzucha i czekała na poród, żeby urodzić siłami radości i przywieść do mieszkania na Saską ich wspólnego dzidziusia! Poderwała się z miejsca, rzuciła Ksaweremu na szyję i zaczęła całować go mocno, mocniej, mokro...

Ale on patrzył na nią dziwnie, odpychająco, jakby zupełnie nie rozumiał jej reakcji, jakby była trędowata. A może się domyślił? Może domyślił się, że go wrobiła?

– Co jest? – spytała, zdezorientowana. – Ksawery, co ci jest?

Jego milczenie było niepokojące. W końcu powiedział:

– Krwawisz.

*

To była najdłuższa godzina w życiu Miśki. Powiatowy szpitalik z całą pewnością nie wzbudzał jej zaufania i niczym nie przypominał prywatnych ośrodków zdrowia, w których Miśka i Ksawery zwykli okazjonalnie się leczyć z przeziębienia. Pięć razy pytano ją o termin ostatniej miesiączki, pięć razy uściślała, ile dokładnie krwi z niej wypłynęło w przeliczeniu na podpaski, mililitry, kieliszki, średnio – mało. Kolor też musiała uściślić, posługując się pojęciami: „jasny”, „skrzepy”, „żywa krew”.

– Jakie leki pani brała? Papierosy, alkohol, inne używki?

Trzy razy musiała się tłumaczyć z tego, dlaczego wydaje jej się, że jest lub była w ciąży.

– Tuż po terminie miesiączki ciąża jest tak wczesna, że prawie jej nie ma. Czasem zapłodnione zarodki ronią się, zanim nawet kobieta się zorientuje, że coś się działo. Pięćdziesiąt procent... zarodków –

mówiła poważna położna, która widziała już w życiu tyle roniących, „że ho ho”.

Głupia cipa, pomyślała Miśka. Ani jej statystyki, ani jej doświadczenie w niczym nie pomagały.

W końcu przyszedł lekarz, a właściwie jakiś młody, wąły chłopiec, który badał ją bardzo delikatnie i za wszystko przeproszał. Że wziernik zimny, że uciska, że klimatyzacja się popsuka.

– No to teraz chwila prawdy – powiedział w końcu. – Zrobimy USG. – Zakasał rękawy, usiadł przy ultrasonografie i kazał Miśce się rozluźnić. – Z góry przepraszam za jakość obrazu, ale mamy w izbie bardzo słaby sprzęt. Jeśli będą jakieś wątpliwości, pójdziemy na górę, na oddział. Tam mamy najlepszy w swojej klasie aparat, z Dopplerem, opcją 3D, nówka sztuka. Hmm... W sumie może od razu pójdźmy na górę? Choć właściwie ani 3D, ani Dopplera teraz nie potrzebujemy, skoro mamy tylko sprawdzić... Hmm... Jak pani sądzi? – Miśka zrobiła duże oczy. Nie spodziewała się, że będzie oczekiwał od niej tego typu decyzji. – Chwileczkę... – powiedział, sięgając po telefon. – Zadzwonię na oddział i spytam, czy tamten aparat jest wolny, bo zdaje się, że pojechali z nim na salę porodową, ale może się mylę...

– Doktorze! – zawołała, psychicznie wycieńczona niepewnością. – Nie chcę dłużej czekać. Proszę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, czy ronię, czy już poroniłam, czy to wszystko jeszcze jakoś się trzyma mojej macicy! Muszę natychmiast wiedzieć, co się dzieje. Nie na górze. Nie za chwilę. Tu i teraz! – podniosła głos.

Lekarz odłożył słuchawkę, przeprosił, bardzo przeprosił, nasunął kondom na głowicę, pomajstrował przy pokrętłach, mówił coś o statystykach poronień w pierwszym trymestrze, o wyborach do parlamentu, o Chazanie, pytania jakieś zadawał, ale Miśka go nie słuchała.

– Z ostatniej miesięczki wynika, że mamy szósty tydzień i drugi dzień ciąży... – wymamrotał.

Miśka zamarła w bezruchu. Tak bardzo pragnęła tego dziecka, tego życia we trójkę z Ksawerym. Kolejny numer z wpadką nie przejdzie, kolejna szansa może się nie pojawić. Mieszkanie na Saskiej, drewniane łóżeczko, ciążowy brzuszek w sukience w groszki, Miśka w pracy, supermama – wszystko to miała przed oczami, a on tylko gapił się w ten monitor i gapił, i mówił jakieś głupoty o tym, jak ciężko być młodym lekarzem w tym kraju, jak marnie płacą mu na dyżurze, a jaka to odpowiedzialność... Po chwili wparowała położna, nie zważając na trwające badanie. Ta sama, która już tyle w życiu wiedziała, „że ho ho”. Powiedziała, że kolejna krwawiąca „obsoleta”, z trzeciego in vitro, które zrobili jej w stolicy, czeka w poczekalni.

– Pani akurat ma szczęście – powiedział lekarz, uśmiechając się. – Widzę pęcherzyk. I serce bije! – potwierdził, a potem przekręcił głowicę i nachylił się nad monitorem. – Pewnie był jakiś mały krwiał, ale już się ewakuował i wygląda to dobrze... Ile w sumie straciła pani krwi? Bo już pani nie krwawi, prawda? – W jednej chwili Miśka rozluźniła mięśnie, uspokoiła głowę i uroniła łzę szczęścia, która spłynęła po jej policzku, pociągając za sobą czarną smugę tuszu do rzęs. – Oho! Tak właśnie myślałem! – Doktorek kręcił głowicą i głową. – Widzę też... drugi pęcherzyk. – Znow napięła mięśnie. – Drugi zarodek. I tu też bije serce. No, no... Podwójne szczęście!

Takie krwawienie się zdarza, czasem kończy się poronieniem, a czasem ciąża trwa i nie ma z nią żadnych problemów aż do samego porodu. Rodzą się różowe bobasy i nikt już nie pamięta strachu pierwszego trymestru. Tak mówił lekarz, tak mówiły fora internetowe, które Miśka przeszledziła w oczekiwaniu na kartę wypisową.

Dostała recepty na leki i przykazanie, żeby się oszczędzać. Czyli nici z pełnej aktywności zawodowej aż do porodu, a przynajmniej do końca pierwszego trymestru. Do tego powinna unikać seksu. Czyli związkowa klęska, bo seks był ich podstawowym spoiwem.

Wpatrywała się w wydruk z aparatu USG, na którym widać było dwie kropki w kółkach. Nawet najbardziej bujna wyobraźnia nie pozwalała tam dostrzec człowieka, tym bardziej dwojga potencjalnych

ludzi, ale Miśka wierzyła lekarzowi na słowo. Przybliżona data porodu: dziesiąty maja, ale doktor uprzedził, że bliźnięta rzadko rodzą się w terminie, zwykle ciąża kończy się na granicy późnego wczesniactwa.

Raczej kwiecień, nie maj.

Szmat czasu! Zdążą się z Ksawerym wyprowadzić na Saską Kępe, a jeśli te pikające kropeczki lepiej zagnieżdżą się w jej brzuchu, może pojedą na jakieś tropikalne wakacje. Zdążą jej podrosnąć te fealnie obcięte włosy...

Bliźnięta.

Podwójna mobilizacja!

Wyszła z izby przyjęć ze świadomością wczesnej ciąży bliźniaczej, trochę zagrożonej, ale z optymizmem.

Ksawerego nie było. Nie było jego auta. Nie знаła miasta. Kropiło.

– No, kochany, zadzwoń do Misia... – próbowała przywołać go myślami, ale cały czas był poza zasięgiem.

Uroki zadupia! pomyślała.

Na telefonie jeden nieodczytany SMS.

„Daj znać, jakbyś czegoś potrzebowała!”.

Czegoś potrzebuję, pomyślała Miśka, zastanawiając się, gdzie się schować.

Kap, kap, kap, coraz gęściej. Kapanie rozkręciło się w gęsty deszczyk. Ciepły, ale jednak deszczyk. Wolałyby, żeby Ksawery stał w napięciu pod drzwiami szpitala i oczekiwał na wieści.

Zdążyła porządnie zmoknąć, wkurzyć się i zgłodnieć. W końcu podjechał swoim mondeo. Zamaszyście rozbryzgał kałużę na chodnik.

Wsiadła. Nie chciała go drażnić swoimi dąsami, więc uśmiechnęła się tylko i ucieszyła się, że jest.

– O kant dupy potłuc tę nawigację! – utyskiwał. – Objazdy jakieś, a ona cały czas do mnie: kieruj się na zachód! Skąd ja mam wiedzieć, gdzie jest pieprzony zachód! Wyskoczyłem po coś do żarcia. Ciężko było znaleźć cokolwiek, a tu proszę, wyrosła przede mną prawdziwa japońska knajpa! Trzydzieści kilometrów stąd. Kupiłem sushi. Grillowana ryba, nic surowego. Pomyślałem, że będziesz bardzo głodna, więc wziąłem podwójny zestaw. – Wręczył Miśce plastikowy pojemnik. – I jak? Co powiedział ten doktorek? – spytał bez cienia emocji.

– Wszystko w porządku – odparła i również bez cienia emocji dodała: – Podwójny zestaw na podwójną ciążę. – Ksawery prawie stracił kontrolę nad pojazdem. Mało brakowało, a stoczyliby się do jakiegoś rowu. Na szczęście w porę odzyskał panowanie nad kierownicą. Gorzej z panowaniem nad emocjami. – Ej... Spokojnie! – zawołała Miśka. – Chcesz nas wszystkich pozabijać? No nie patrz na mnie tak, jakbyś zobaczył ducha! Bliźnięta, tak – dobrze rozumiesz! Tu jest karta wypisowa z izby przyjęć – przeczytaj sobie! Dowieź nas, proszę, bezpiecznie do hotelu. Albo wymeldujmy się wcześniej i jedźmy już prosto do domu, co? To zadupie, ta izba przyjęć, przygnębiające miejsce. Kieruj się na Warszawę. Na południe, gdziekolwiek to jest...

*

– Pakuj się. Jedziemy do mnie – powiedział Ksawery, wpadając do mieszkania Miśki w piątek po pracy.

– OK... – odparła bez słowa protestu. Wrzuciła do torebki portfel, telefon, kindla, pudełko na soczewki,

majtki na zmianę i końcówkę szczoteczki do zębów, gdyby miała zostać na noc, o czym wcale nie była przekonana, bo odkąd okazało się, że z seksu nici, Ksawery jakoś nie nalegał, żeby przeszkadzała mu w spaniu. – Muszę jeszcze tylko siusiu, bo teraz siusiam co chwilę. Wezmę sobie coś do jedzenia i jestem prawie gotowa...

– O, nie, nie! Zabierz trochę więcej rzeczy.

Przemknęło jej przez myśl, że może tego dnia chciał ją przeprowadzić do siebie na zawsze.

Mieszkanie na Saskiej Kępie okazało się nieatrakcyjną rudera, bez szans na jakąkolwiek rozsądną modernizację. Wszystkie pomieszczenia miały jakąś niewyburzalną ściankę, fatalny układ – długi korytarz z pokojami jeden przy drugim, jak w biurze. Właściwie ciężko było zlokalizować pokój, w którym miałyby się toczyć wspólne życie. Wszystkie pomieszczenia kubaturą były do siebie bardzo podobne – za duże jak na sypialnię, za małe jak na pokój dzienny. Okna wyłącznie od północy, z widokiem na cudowny Park Skaryszewski, ale dla samego widoku z okien mieszkania się nie kupuje. Pomysł wspólnego życia wciąż był aktualny, ale nadzieja na znalezienie czegoś naprawdę wyjątkowego słabła. Miśka miała czas na wertowanie ofert, bo od dnia krwawienia siedziała w domu na zwolnieniu, z ciężką wysoką ryzyka. Chciała już więc gniazdo, ale nie miała gdzie.

Każdy dzień zaczynała od odświeżania stron z ogłoszeniami nieruchomości na sprzedaż. Zawsze jak pojawiała się atrakcyjna cena, okazywało się, że w podłodze zamurowany jest trup, w mieszkaniu zameldowana jest pijacka rodzina albo z powodu wady konstrukcyjnej przecieka dach. Zostawiła swoje zamiary agencji nieruchomości, ale po obejrzeniu kilku pierwszych lokali zrezygnowała z pośredników. Popołudnia spędzone z agentką były totalnie bezowocne. Miała wrażenie, że za wszelką cenę chce ją przekonać, że skoro szukają średniego metrażu w dobrej lokalizacji, zainteresuje ich również dom w Białołęce lub kawalerka przy metrze. Powoli Michalina traciła nadzieję, że rynek wtórny ma im cokolwiek do zaoferowania. Gdzieś tam pewnie czeka mieszkanie ich marzeń, w którym wychowają swoje dzieci i będą się kochać całe życie...

Rynek pierwotny wymagał zbyt wiele cierpliwości i kredytu zaufania – zapłacić i może za dwa lata dostaniesz klucze. Poza tym na wizualizacjach i ulotkach wszystkie ścieżki osiedlowe były pięknie ukwiecone, niemalże zalesione, a na miejscu był budowlany ugór. Zanim drzewka porosną, ich dzieci będą nastolatkami, tymczasem z wózkiem można spacerować między sadzonkami. Do bani. A gotowe mieszkania z rynku pierwotnego – mocno przebrane, najczęściej z oknami na północ, a Miśka tak lubiła słońce.

– Pakuj się, Miśka – nalegał Ksawery. – Tak jak na weekend za miastem.

Westchnęła.

– Czyli nie wyprowadzam się do ciebie? – zdradziła skrywaną nadzieję. – Niech będzie. Ale tym razem nie mam ochoty jechać na żadne zadupie. Ostatni wyjazd w te całe Bory Tucholskie był ponad moje nerwy....

– Nie marudź. Jedziemy do mnie, do Sanoka. – Do Sanoka? – Musisz w końcu poznać moich rodziców. A ja muszę im w końcu powiedzieć...

Miśce wrócił optymizm. Poznać rodziców Ksawerego? To zawsze coś! To zawsze jakiś związkowy progres, pomyślała i pogłaskała się po zaokrąglonym już brzuszku.

Rodzina Ksawerego. Na zdjęciach prezentowali się odpustowo, dumnie i tradycyjnie. Ksawery rzadko o nich mówił, a jeszcze rzadziej jeździł w rodzinne strony. Miśka zastanawiała się, jakie zrobią na sobie wrażenie. Może pod ich wpływem Ksawery zdecyduje się na ślub?

Duża torba, kosmetyczka, spodnie, bluzki, majtki i elegancja sukienka, do kościoła, albo dwie, bo kto wie. Była gotowa na spotkanie. Bieszczadzkie Aniołki, Michalina jedzie!

Droga na skraj Polski zeszła przyszłym rodzicom na słuchaniu. Początkowo siebie nawzajem, a potem radia. Im bardziej na południe, tym bardziej przebijały się częstotliwości katolickiego grania. W końcu Michalina włączyła Spotify i słuchali ich ulubionej muzyki, bardziej energetycznej niż maryjne pieśni. Wybrała playlistę, przy której spłodzili bliźnięta, stwarzając tym samym nastrój, który sprzyjał ekscytującym wspomnieniom.

– Gdybyś nie była w tej ciąży, zatrzymałbym się o tam, przy drodze, i ostro cię... Kurwa! – Ksawery uderzył w klakson, aż Miśce pasy werżnęły się w podbrzusze. – Jak jedziesz baranie?! Widziałaś go? Widziałaś durnia?! – Baran, w kapeluszu, siedzący w astrze, liczył na pierwszeństwo, wyjeżdżając z polnej drogi. – To, co tu się dzieje na drogach, to jakaś anarchia! Patrz, następny! – Ciągnik w żółtym tempie przemierzał wieś i wybrał sobie środek drogi, żeby go przypadkiem nikt nie wyprzedził. – Nic ci nie jest? – spytał troskliwie Ksawery, wreszcie zerkając na Miśkę.

Uwielbiała, jak się o nią troszczył. Za oknem szaro, błoto, blaszane dachy, Polska B, a w jej głowie ich sielski weekend na wsi, cudowne rodzinne posiłki, świeże powietrze i bajkowy świat...

– Możesz się zatrzymać – powiedziała zalotnie.

– Siku ci się chce?

– Nie. Pomyślałam tylko, że... Wiesz, w ciąży, nawet zagrożonej, mogę... Możemy... No damy sobie radę! – Uśmiechnęła się.

Po kilkunastu minutach plenerowej namiętności znów byli w drodze.

Miśka złapała się za brzuch i otworzyła usta.

– Wszystko w porządku? – zapytał Ksawery.

– Nic mi nie jest, ale... Czuję, jak coś mi się tam rusza... – Gładziła brzuch przez tunikę, którą kupiła w sklepie dla ciężarnych.

To był debiut tej tuniki. Nie sądziła, że tak szybko będzie na nią pasować. Ale zostało jeszcze trochę luzu, na zapas, na dalsze rozrastanie się. Zastygła, wyczekując kolejnych ruchów, ale nic się nie wydarzało.

– Powiedz mi coś więcej o swojej rodzinie. – poprosiła, bo chwilowo zabrakło jej danych, aby rozbudować swój scenariusz pierwszej wizyty w rodzinnych stronach Ksawerego. – Wiem, że masz brata, siostrę, jesteś najmłodszy, mama z tatą mają jakieś gospodarstwo, tak?

– O czym tu gadać? – rzucił Ksawery, jakby nie miał zamiaru rozwijać tematu. – Rodzina jak rodzina. Mają kilka kurek, gąsek, głównie dla siebie, na własny użytek. A zarobkowo hodują owoce sezonowe, borówki amerykańskie, czereśnie i jabłka. Czereśniaki z nich takie...

Odkąd wyprowadził się z Sanoka (a minęło ponad piętnaście lat, bo już w liceum mieszkał w internacie), rzadko przyjeżdżał do domu. Początkowo tylko na wakacje, ferie i święta, potem tylko na święta, a teraz nawet na Boże Narodzenie zostawał w Warszawie, żeby spędzić je mało tradycyjnie, ale zawsze z akcentem katolickim – wizytą w kościele. Z upływem lat jego deklarowana wiara nie osłabła mimo znajomych ateistów i czyhających dookoła pokus. Z rodziną łączyło go teraz chyba już tylko wspólne wyznanie, bo tak naprawdę, z tego co mówił, w niczym nie przypominał tych wszystkich ludzi, których miała dziś poznać Michalina.

O rodzinie opowiadał z sentymentem, ale bez przesady. Był wobec nich dość krytyczny, szczególnie wobec ojca, który chyba należał do tych surowych, agresywnych, z pasem i władzą rodzicielską, której nadużywał. Mama Ksawerego – prosta kobieta, ponoć była w wieku Haliny. Szyła, oprawiała kury i śpiewała w kościele, niegdyś jako solistka. Teraz śpiewa tylko jako płaczka na pogrzebach i okazjonalnie daje się namówić na muzykowanie przy kieliszku. A ponoć na każdy temat miała swoją przyspiewkę. W wyobrażeniach Michaliny była sympatyczna, ciepła i swojska.

Ksawery opowiadał o topografii Sanoka i o Beksińskim (zawsze marzyła mu się ściana w salonie z upiornymi obrazami tego twórcy). Opowiadał o wędrownkach po połoninach, o Dukli, Krośnie i o wszystkim, co chciałby pokazać Miśce, gdyby tylko ten weekend był dłuższy.

– Jeszcze nic straconego. Zawsze możemy przyjechać tu na wakacje z dziećmi – rozmarzyła się Michalina, która wciąż wyczekiwała kolejnego kopniaka.

Wyobraziła sobie stary dworek, ukwiecony, z niekończącym się sadem, w tle gra świerszczy, kukuryki, gęgi, co jakiś czas w oddali zamuczy krowa... To miejsce w jej wyobrażeniach miało wiele sielskiego uroku.

Była ciekawa, jak rodzina Ksawerego przyjmie wiadomość o tym, że ich syn zrobił dziecko starszej dziewczynie, z którą w dodatku nie zamierza się żenić. Chciała zrobić dobre wrażenie na jego mamie, chciała, żeby polubiło ją jego rodzeństwo, żeby zaakceptował ją ich pies.

W myślach przerabiała różne scenariusze.

Jestem Michalina. Cóż za piękny ogród, jaki pyszny rosół, gustowna zastawa, poproszę dokładkę, mogę sobie pozwolić, w końcu jem za dwoje, a właściwie za troje, smakuje jak u mnie w domu, może pomogę pozmywać...

Wjechali na podwórze, obszczekani przez psy. Wściekłe kundły wyglądały, jakby całe życie były więzione na łańcuchach. Mało co nie ugrzęźli w podeszczowym błocie, które pokrywało cały podjazd. Sprzed ich kół uciekały kury i gęsi, bezładnie biegające po podwórku i zostawiające w błocie kupy. Dom był mały, z elewacją łuszczącą się płatami, blaszanym dachem i gankiem ze spróchniałego drewna – rudera, jak się patrzy. Minęli kapliczkę ozdobioną plastikowym kwieciami, w której straszyla figurka Matki Boskiej, z jakimś dziwnie złowrogim spojrzeniem. Wiej stąd, Miśka! – zdawała się krzyczeć Najświętsza Pani.

Przy płocie stała baba – podparta pod boki, strasznie zniszczona, z siwizną przykrytą chustką. Machała do Ksawerego, żeby stanął przy stodole. Twarz miała poważną i trochę przerażającą, jakby chciała z marszu zbesztać ich, że zrobili sobie nieślubnego bachora.

Michalina trochę spanikowała. Może to nie najlepsza pora? Może to nie najlepszy pomysł? Może powinni zatrzymać się w hotelu? Albo zawrócić do Warszawy?

– Miśka? Jesteś tam? Wsiadasz czy przykleiłaś się do tego siedzenia? – rzucił Ksawery, gdy zgasił już silnik i był gotowy do wyjścia.

– Może udawajmy, że nic nas nie łączy? – szepnęła Michalina, w popłochu trzymając Ksawerego za przedramię. – Może wróćmy do Warszawy?

– Nie wydurniaj się. – Wysiadł z auta, zostawiając ją w środku ze wszystkimi wątpliwościami.

W końcu Michalina otworzyła drzwi. Pierwsze, co ją uderzyło, to zapach gnojówki czy szamba, bardzo organiczny. Wokół nich pojawiło się kilka osób, które po kolei rzuciły się Ksaweremu na szyję i klepały maskę auta, jakby upewniając się, czy to dobra maszyna. Wszyscy lustrowali Miśkę bez skrupowania, ale też bez nadmiaru życzliwości.

Uświadomiwszy sobie, że na kilka minut jej twarz zastygła w grymasie obrzydzenia do wszechobecnego smrodu, Michalina przywołała się do porządku.

– Jaka bryka! – krzyknął chłopak w T-shircie GAP, w spodniach z lampasami i w klapkach, zestawionych z białymi skarpetami z dziurą na dużym palcu. Był bardzo podobny do Ksawerego, tylko jakiś taki mniej ucywilizowany.

– Siemano, bracie! – Ksawery przywitał się z nim szerokim uściskiem.

Starą kobietę z wyrazem twarzy baby-jagi przywitał pocałunkiem w policzek. Z ojcem wymienił tylko skinienie głową. W ich relacji od razu czuć było zamierzchny dystans.

Miśka nie zdążyła jeszcze ogarnąć wszystkich wzrokiem, a cały czas wokół nich pojawiały się nowe twarze. Jakaś blondynka, szatynka, jakiś dziewczątko może dziesięcioletnie... Stała – wyprostowana – prezentując ciążę, którą tunika bardziej podkreślała, niż maskowała. Spoglądali na nią bez nadmiernej ciekawości i nikt nie odezwał się słowem, dopóki Ksawery nie objął Miśki.

– To jest Michalina. Moja dziewczyna. Spodziewa się bliźniąt – powiedział oznajmująco, bez lęku przed ich oceną, ale też bez szczególnej dumy. Nie powiedział „spodziewamy się”, a „dziewczyna” wybrzmiało dość niefortunnie, biorąc pod uwagę fakt, że lada chwila będą mieć dwoje dzieci.

Zrobiło się cicho. Blondynka o włosach absolutnie śnieżnobiałych, nadąsana, oddaliła się do domu. Ha! Podkochiwała się w Ksawerym pół życia i teraz jej nadzieje, że kiedyś wróci na wieś i ułożą sobie przyszłość, legły w gruzach! pomyślała z satysfakcją Michalina. Brat mruczał coś pod nosem o byczku rozplodowym, o Ksawusiu siewcy spermy – średnio śmieszne komentarze. Mała pieguska, z krzywymi zębami i z upiornym, lodowatym spojrzeniem, objęła w pół Ksawerego, a Michalinę zmierzyła przesywając.

Mama Ksawerego, pomarszczona na smutno kobieta, rzuciła jakieś mało zachęcające „zapraszam”. U osób, które dużo się śmieją, zmarszczki są jak ozdobne promyki na twarzy. Jej twarz była przerażająca. Musiała mieć ciężkie życie.

– No to się porobiło... – westchnęła szczupła szatynka, w której Michalina miała nadzieję spotkać przyjazną duszę. – Jestem Małgorzata, siostra Ksawerego. Miło cię poznać, Michalino. Siódmy miesiąc?

– Piąty – wyjąkała Miśka.

Gdy weszli do domu, okazało się, że wszystkie jej wyobrażenia wzięły w łeb.

Na obiad podano odgrzewane na patelni pierogi z kaszą gryczaną, zalane tłustą okrasą. Pieguska nie schodziła Ksaweremu z kolan. Ciągle patrzyła na Michalinę spod byka. W pewnym momencie Miśka miała ochotę pokazać jej język, żeby speszyć gówniarę, ale ta, beczelna, uprzedziła ją, wychylając się zza ramienia Ksawerego. Głupi dzieciak!

Koty, wszędzie chodziły koty! Po kuchennym blacie, po poręczy, po parapetach. W powietrzu Miśka węszyła zagrożenie: toksoplazmoza, z którą przez całe życie nie miała kontaktu – jeszcze tego by brakowało, żeby zaraziła się akurat w ciąży, akurat tu i teraz. Pogładziła się po swoich bliźniakach. Na ścianie też wisiały portrety bliźniąt, obok papieża Polaka, papieża panującego aktualnie i krzyża. Wisiał jeszcze termometr ścienny w kształcie anioła. Sufit był jakoś tak niestandardowo nisko, co czyniło kuchnio-jadalnię wyjątkowo przytłaczającym pomieszczeniem.

Podziobała swoje pierogi widelcem, myśląc o tym, że smakowałyby ojcu. Jej ledwo przechodziły przez usta i każdy kęs przełykała z grzeczności. Ksawery jadł ze smakiem. Dziwne, bo na co dzień żywił się zupełnie inaczej; zawsze uważał na nadmiar tłuszczu, a jeśli już jadł pierogi, to tylko te z fetą i szpinakiem albo włoskie ravioli z ricottą.

Mama Ksawerego zaproponowała dokładkę, choć talerz Miśki był wciąż pełny. Kiedy wszyscy skończyli jeść, Michalina zaproponowała pomoc przy zmywaniu. Usłyszała, że to nie Trzeci Świat i że mają zmywarkę zamontowaną od dwa tysiące drugiego roku, zresztą mieli ją pierwsi w okolicy. Nie zmieściła się w kuchni, więc postawili ją w salonie, bo tam też było przyłącznie wody.

– Patrz, Ksawuś, nawet ty nie masz zmywarki u siebie! – zażartowała Miśka, ale nikt się nie zaśmiał, nawet Ksawery. Postanowiła zaniechać wszelkich żartów, gdy napotkała wzrok tej małej, która mogłaby bez charakteryzacji grać w horrorze upiorne dziecko.

Miśka wstała od stołu i dyskretnie zgarnęła do kubła z jedzeniem dla świń resztkę swoich pierogów, co równie dyskretnie doradziła jej Małgorzata. W kuchni było duszno, marzyła, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Ksawery majstrował z bratem przy motorze. Płowa blondynka przyglądała się Miśce i jej brzuchowi zawistnie, jakby chciała rzucić jakiś urok. Hipoteza o niespełnionej miłości wydawała się coraz bardziej trafna.

Małgorzata tymczasem nawiązała z Michaliną całkiem przyjazną rozmowę, choć właściwie monologowała o sobie. Okazało się, że siostra Ksawerego mieszka w Rzeszowie, pracuje w sklepie jako ekspedientka, myśli o otworzeniu swojego ciucholandu albo cukierni, ma chłopaka, ale nic specjalnego, jakby tylko pojawił się ktoś lepszy na horyzoncie, natychmiast rzuciłaby się mu w ramiona. Ten aktualny ani przystojny, ani bogaty, w dodatku w dzieciństwie świnka zajęła mu jądra i jest bezpłodny.

– No ale dziecka i tak nie chcemy mieć – zaznaczyła. – Bachory mnie przerażają. Cięża, rozstępy, potem poród, rozerwie cię na pół, jakiś Down może się urodzić. Nigdy w życiu! – Miśka natychmiast pomyślała, że może jednak powinna rozważyć amniopunkcję, o której wspominał lekarz. – To twoje pierwsze dziecko? Czy tam dzieci, właściwie... – spytała Małgorzata. – Kopią już? Rany boskie, bliźnięta! U nas w rodzinie nigdy nie było żadnych bliźniąt. To podobno dziedziczne, po kądzieli. Tak patrzę na ciebie – ciąża ci chyba nie służy. Jakaś taka blada i umęczona jesteś... A może zawsze tak wyglądasz, zresztą... Ach, ten Ksawery... – westchnęła. – Nigdy nam się tobą nie chwalił. Zresztą on mało gada o sobie. Wiemy tylko, że dużo zarabia i wie gdzie mu się w tej stolicy. Długo jesteście ze sobą? Może tym razem okaże się lepszym ojcem...

– Tym razem? – powtórzyła Miśka, zupełnie zdezorientowana.

Małgorzata wskazała na blondynkę z lodowatą urodą i jej córkę. W małej, oprócz upiornego spojrzenia, można było dostrzec znajome rysy ...

Miśce zrobiło się ciemno przed oczami. Osunęła się na obstrzępioną drewnianą ławkę, a gdy wstała, nagle wszystko było już jasne.

Małgorzata przyniosła Miśce szklanekę kompotu i przeprosiła. Była pewna, że Ksawery powiedział jej, że nie debiutuje w roli ojca. W końcu pary powinny wiedzieć o sobie takie rzeczy!

– Teraz będzie inaczej, zobaczysz! – przekonywała. – Stanie na wysokości zadania! Wtedy był młody, głupi no i... bardzo płodny, co, jak widać, się nie zmieniło. Michalino, dobrze się czujesz? Poczekaj, przyniosę więcej kompotu. Zaproponowałabym ci coś mocniejszego, gdyby nie ta ciąża... A może jednak? Odrobinka nie zaszkodzi....

Zdaniem Ksawerego Miśka nie miała prawa być na niego zła. Spytała, dlaczego jej nie powiedział, i uzyskała odpowiedź, którą jego zdaniem musiała zaakceptować:

– Nie dotarliśmy do etapu poznawania naszych rodzin, więc nie czułem się zobowiązany, żeby roztrząsać wszelkie aspekty mojej przeszłości... Chciałem ci powiedzieć, kiedyś, a nawet dzisiaj!

Z matką małej łączył go namiętny młodzieńczy romansik. Rzucił ją, zanim wyjechał na stałe do Warszawy, ale dziewczyna wykorzystała jeszcze ostatnią szansę, żeby go przy sobie zatrzymać. Seks na do widzenia i bach – strzał w dziesiątkę! Zrobiła mu świństwo i wrobiła go w dziecko – tak mówił Ksawery. Łudziła się, że będzie ślub i wspólne życie. Plan się nie powiódł. Ksawery wyjechał, a jej przez cały czas pomagała jego rodzina. Oczywiście on też wysyłał z Warszawy pieniądze na dziecko.

– Masz jeszcze jakieś dzieci, o których nie wiem? – spytała Michalina, siedząc na rozpadającej się ławce przy tej wstrętnej przydomowej kapliczce z Matką Boską Straszącą.

Ma. Kurczę, ma!

Syna. Lat trzynaście.

Michalinie przeszła ochota na pobyt w Sanoku, na obcowanie z tą całą wsią, na integrację z rodziną Ksawerego. Zgarnęła nierozpakowaną torbę i ruszyła w kierunku miasta. Blondynka odprowadziła ją wzrokiem z dziką satysfakcją, Małgorzata z wyrzutem sumienia, a cała reszta rozpierzchnęła się gdzieś po gospodarstwie.

Nie miała zamiaru kulturalnie się z nimi żegnać. Jej markowe buty grzęzły w błocie, wystroiła się jak głupia, a tu taka wiocha!

– Miśka! Poczekaj! Nie wygłupiaj się! – wołał za nią Ksawery. Cholerny ojciec Wirgiliusz. – Chcesz wracać? Proszę bardzo! Możemy wracać! Daj mi chwilę, wytłumaczę wszystko mamie, że musisz jechać, nie wiem, do lekarza! Misiu... Ej, no! Byłem dzieckiem, jak zrobiłem tamto pierwsze dziecko! Jego matki nawet nie znałem za dobrze. Była dużo starsza, spędzała tu wakacje, a potem wyjechała do Nowego Jorku i tyle ich widziałem. Nigdy ode mnie nic nie chciała... Ma jakiegoś faceta i dzieciak nawet chyba myśli, że to jego ojciec. Ej, Misiu... – Szedł za nią krok w krok. – To był mój pierwszy w życiu seks! Może drugi... Nawet mi nie przyszło do głowy, że istnieją kondomy! Nie uciekaj tak, jak jakaś wariatka! Naprawdę bym ci powiedział, gdybyś spytała, ale to wszystko tak się potoczyło, ta twoja ciąża... i nie było okazji. Jesteś nie fair! – zawołał, zdyszany. Miśkę coś cisnęło w gardle i w podbrzuszu. Była nie fair. Jedyne, co zdołała zrobić, to odwrócić się i w bezsilności zdzielić go torbą. – Nie wariuj – powiedział spokojnie. – Nie wariuj, Miśka...

Znów ruszyła przed siebie, trochę wolniej. Przestał ją gonić. Włączyła nawigację w telefonie i odnalazła przystanek PKP. Ponad osiem kilometrów. Cholera jasna! Przecież to maraton dla ciężarówki.

– Kieruj się na południowy zachód – podpowiedział elektroniczny głos.

Honorata i Staszek

Marzeniem Staszka zawsze był dworek na wsi – z sadem, małym gospodarstwem, owczarkiem niemieckim na straży, z dużym autem na podjeździe, kwietnymi rabatami przed wejściem. A w dworku żona o słowiańskiej urodzie i liczne potomstwo. Spełniło się. Przynajmniej to o żonie i potomkach.

Żona urodą wybiegała daleko poza najśmielsze marzenia Staszka. Honorata była śliczna – złotowłosa, niebieskooka – i płodna. Miała dziewczęcą urodę i sama wyglądała trochę jak dziecko, z tymi dużymi ślepkami, rumianymi policzkami. Dla wszystkich było wielkim zaskoczeniem, gdy okazywało się, że była matką. A już zupełnie szokowało, że między dziewiętnastym a dwudziestym trzecim rokiem życia zdążyła urodzić trójkę dzieci. Ślicznych, zdrowych, różnopłciowych, wszystkie chciane i planowane. A teraz po raz kolejny czekali ze Staszkiem na przyjęcie do porodu na izbie przyjęć jednej z warszawskich porodówek. Ich pozostałe dzieci, zrodzone prawie rok po roku, Anna, Maria i Antoni, zostały z ciocią Gracją, siostrą Honoraty, biseksualną ateistką-feministką, która zgodziła się zaopiekować nimi do czasu, aż Honorka wyjdzie ze szpitala z czwartym maluszkiem.

Staszek, tradycjonalista, nie był zachwycony taką opieką nad ich potomstwem, ale nie mieli lepszej alternatywy – jedna babcia była schorowana, drugą niedawno pochowali, pozostałe ciotki i wujkowie w rozjazdach albo zniewoleni etatem i karierą.

Znajomym i przyjaciołom niełatwo wcisnąć całą trójkę na raz, choćby na kilka godzin.

Sam nie mógł się zająć dziećmi, bo nie było go stać na przestoje w pracy. Był jedynym żywicielem rodziny, a na żadne świadczenia, opieki, zwolnienia, przywileje też nie miał co liczyć z racji samozatrudnienia. Był ratownikiem medycznym i jeździł w karetce. Zarabiał tyle, ile jeździł, co w praktyce oznaczało, że prawie nie schodził z dyżuru. A jeśli już miał przerwę między jednym dyżurem a drugim, szkolił przedszkolanki, kasjerki, kierowców, wszystkich chętnych albo przymuszonych przez pracodawcę z zakresu czynności resuscytacyjnych. Szkolenia prowadził w ramach swojej szkoły Puls, którą założył razem z kolegą ze studiów i lekarzem anestezjologiem, znajomym ze zgromadzenia ekumenicznego. Puls przynosił im trochę dodatkowych pieniędzy, i choć na razie nie były to kokosy, to właśnie w działalności tej firmy Staszek upatrywał szanse na dorobienie się majątku, który pozwoli mu spełnić marzenia o domu dla swojej rodziny, powiększającej się w tempie dyktowanym przez Boga.

Pracował naprawdę dużo. Koledzy z karetki żartowali, żeby się upewnić, czy aby na pewno wszystkie dzieci są jego. „Chłopie, kiedy ty je robisz? Przecież mieszkasz w naszej bazie karetkowej!”, śmiali się, gdy widzieli półprzytomnego Staszka, który po dwunastce w karetce przemieszczał się na szkolenie, a na wieczór znów był rozpisany w grafiku na całonocny dyżur. A żona ciągle albo w ciąży, albo w połogu.

Cóż. Duet Honorki i Staszka był wyjątkowo skuteczny, jeśli chodzi o rozmnażanie. Honorata prawie na każdy stosunek odpowiadała ciążą. W pierwszą zaszła w trakcie miodowego miesiąca, w drugą, gdy tylko dostała zielone światło od ginekologa, który po cesarce zalecał odczekanie chociaż kilkunastu

miesiący z planami prokreacyjnymi, a trzecia przydarzyła się tuż po ukończonym połogu, mimo laktacji, która w ich wypadku nie zadziałała antykoncepcyjnie. O czwartą też nie musieli się starać.

W ciąży Honorka prezentowała wszelkie zdrowe, fizjologiczne, książkowe objawy. Od senności, przez mdłości i inne przypadłości. Za pierwszym razem można sobie było pozwolić na rozczulanie się nad sobą, ale później nie było już miejsca na żadne chwile słabości. Powiększająca się gromadka maluchów była wyjątkowo absorbująca i wymagająca. Mamo to, mamo tamto, daj, zrób, aj!

I tak jak Staszek był jedynym żywicielem rodziny, tak Honorka była jedyną, która tą rodziną się zajmowała.

Wcześniej pomagała jej mama. Obie współdzieliły opiekę nad trójką dzieci i było to całkiem wesołe zajęcie. Można było się podzielić gotowaniem, praniem i sprzątaniem. Chodziły razem na spacer, organizowały wspólne posiłki, przytulanki i zabawy na dywanie. Usypiały całą gromadkę i tak kończył się dzień, po którym zaczynał się kolejny, bliźniaczo podobny do poprzedniego. W duecie z mamą Honorka mogłaby odchowić całe przedszkole maluchów. Co więcej, mama Honorki wcale nie protestowała, gdy słyszała o planach powiększania rodziny, która zgodnie z definicją oficjalnie stała się wielodzietna wraz z pojawieniem się na świecie trzeciego potomka.

Staszek, planując swój domek marzeń, priorytetowo traktował uwzględnienie w nim pokoju dla teściowej, która stała się integralną częścią ich rodziny. Pokój na parterze, z dużym oknem wychodzącym na las, ze świeżymi kwiatami na stoliku i rustykalną tapetą. Taki jej obiecał.

Niestety, mamę Honoraty Pan Bóg nagle zabrał z tego świata. Udar wykrzywił jej twarz w asymetrycznym grymasie krzyku, przewróciła się na bok i zmarła mimo natychmiastowej pomocy zięcia zawodowo ratującego ludzi, który był świadkiem ataku. Masował i wentylował ją ponadstandardowo długo, ale walki o jej życie nie wygrał.

Nie zdążyła zamieszkać z nimi w domku marzeń. Nie zdążyła poznać czwartego wnuka, który w dniu jej śmierci był zaledwie zarodkiem, ani kolejnych, które dopiero były w planach. Jej śmierć pozostawiła wielką wyrwę w sercu najbliższych i pusty pokój w małym mieszkaniu na Pradze, w którym Staszek i Honorata wili tymczasowe gniazdo w oczekiwaniu na wyśniony wiejski dworek. Staszek odkładał na ten cel każdy grosz, którego nie pochłonęły astronomiczne bieżące wydatki.

Honorata została sierotą i w pewnym sensie samotną matką, choć przecież mężatką. Na czas jej niedyspozycji okołoporodowej trzeba było coś zrobić z dziećmi, a Gracja wydawała się jedynym kołem ratunkowym. Tryb życia pozwalał jej na dużą elastyczność. Była operatorem filmowym, a że tej zimy miała chwilowy przestój zawodowy, sama zaoferowała się do pomocy przy siostrzeńcach.

Nie wiedziała, na co się pisze, bo o ile czteroletnia Ania była dzieckiem samoobsługowym i niewymagającym, o tyle Marysia i Antoś potrafili wyssać z człowieka wszelką energię i skutecznie zniechęcić do posiadania potomstwa.

Gracja przybyła, gdy tylko dostała telefon, że to już. Nie spojrzała nawet na zegarek, od razu zerwała się na równe nogi, zabrała spakowaną torbę z dressem, zapasem koszulek i niezbędnymi kosmetyków. Wzięła też laptop, łudząc się, że będzie miała chwilę, żeby z niego skorzystać. Cały Wilanów i Mokotów przejechała, bijąc swój życiowy rekord na tej trasie. Przemknęła przez puste, jeszcze ciemne ulice, przez most i w końcu była na Starej Pradze.

Zaparkowała auto przed przedwojenną kamienicą przy Targowej, która jeszcze nie doczekała się renowacji i wyglądała jak opustoszała ruina. Aż dziw brał, gdy nocą można było dostrzec w oknach zapalone światła i krzątających się po mieszkankach ludzi.

Gracja miała z tym miejscem wspaniałe i zarazem okropne wspomnienia. Zjeżdżały po długich

poręczach klatki schodowej, bawiły się w klasy na podwórku studni, wywoływały duchy, całowały się w bramie z chłopakami, a Gracja również z dziewczynkami, ale też nasłuchiwały płaczu mamy, przytulone do chłodnej ściany, doświadczały siły dyscyplinującej ręki ojca, a pod kapliczką z Matką Boską pochowały swojego psa, którego tata wyrzucił przez okno w pijackiej furii. Mieszkały tu od urodzenia, z mamą i Honorką, i okazjonalnie z ojcem, który wyjątkowo marnie sprawdzał się w roli rodzica.

Pobiegła schodami na ostatnie piętro, gdzie czekali już Honorka, Staszek i ich potomstwo, brykające mimo późnej godziny.

– Ciociu, a wiesz, że mama rodzi? A wiesz, że jej dzidzius wyskoczy z cipki? Tak, to prawda. Dzidziusie się rodzą przez cipkę! – przywitała ją entuzjastycznie Ania. – Czy będziesz się nami teraz zajmowała?

– Tak, kochanie. – Gracja przejęła małego Antka z rąk Staszka. – O nic się nie martwcie – powiedziała, całując Honoratę w policzek. – Rodzicie spokojnie, a ja tu dam sobie radę. Będziemy się dobrze bawić, prawda, dzieciaki?

Przychówek natychmiast podchwycił ideę dobrej zabawy. Dziewczynki zaczęły biegać po ciasnym przedpokoju wokół brzuchatej mamy, szczupłej cioci i atletycznego taty. Gracja pamiętała czasy, gdy razem z Honorką biegały po tym samym przedpokoju, a nawet po tym samym parkiecie, który od tamtej pory przeszedł dwa cyklinowania i choć wciąż wyglądał niezłe, skrzypiał niemiłosiernie z każdym krokiem, nawet lekkich maluchów.

Ach... Kolejne pokolenie rośnie w tym mieszkaniu. Kiedyś – może, ewentualnie i hipotetycznie – Gracja również zasili świat jakimiś swoimi dziećmi. Choć miała sześć wiosen więcej od Honorki, nie planowała w najbliższym czasie rozmnażania. Po pierwsze – nie miała z kim, bo każdy jej seksualny partner był albo kobietą, albo zwykłym fuck-friendem, który w żaden sposób nie nadawał się na ojca dzieci. Na razie miała okazję dać upust instynktowi macierzyńskiemu, opiekując się dziećmi siostry.

Staszek przed wyjściem pouczył Grację, żeby pamiętała o wieczornej modlitwie.

– Wiesz, że się nie modlę, Staszku – odparła z uśmiechem, a potem zwróciła się do ożywionego Antka: – Co, zuchu? Jak to możliwe, że ty jeszcze nie śpisz? Ale się zrobiłeś ciężki! – powiedziała, wkupując się w łaski berbecia dziarskim podrzutem, który sprawił mu ogromną radochę.

– Wiem, że się nie modlisz, Gracjo. I martwi mnie to. Robimy to całą rodziną, również w twojej intencji – Staszek mówił poważnym tonem kaznodziei. – Nasze dzieci się modlą i chciałbym, żebyś tego przypilnowała.

– Coś się wymyśli! – rzuciła swobodnie, kręcąc się po mieszkaniu w poszukiwaniu czegoś do wytarcia toczącej się z ust Antka śliny. – Będziemy się modlić o równouprawnienie i o prawa mniejszości seksualnych, co ty na to, Antośku?

Staszek przełknął głośno, ale nic nie powiedział. Nie mógł nic powiedzieć. Co więcej, powinien być wdzięczny. I był. Taksówka już czekała na dole, a Honorata pojękiwała coraz częściej, co oznaczało, że skurcze przybierały na sile i częstotliwości.

– Kolację jadły... – powiedziała Honorka, zanim wyszli. – Nic im się nie stanie, jak raz się nie umyją albo zamiast zdrowego śniadania zjedzą masło orzechowe z białą bułą, ale...

– Ale modlitwa musi być! – wtrąciła dziarsko Gracja. – Lećcie już! Damy sobie radę!

Skurcze wracały co siedem minut, ale intuicja podpowiadała Honoracie, że od rozwiązania dzieliło ją

naprawdę niewiele czasu. Staszek co chwilę chciał interweniować, poganiać personel, ale powstrzymała go. Każda kobieta przed nią była tak samo rodząca albo potrzebująca, jak ona, a sądząc po tempie przemieszczania się po korytarzu osób w białych fartuchach, raczej nikt tu się nie obijał.

Honorata dzielnie znosiła bóle, chodząc po korytarzu lub kołysząc się, oparta o ścianę. Jedną ręką masowała sobie krzyż, a drugą ścisnęła krzyżyk na szyi. Coś sobie mamrotała pod nosem. Co jakiś czas, między skurczami, przerywała mamrotanie, żeby porozmawiać. Tak rzadko mieli okazję spędzić trochę czasu tylko we dwoje, tak rzadko miała Staszka tylko dla siebie, że każdy moment, nawet poród, był dobry, żeby wymienić kilka zdań.

– Pamiętasz, jak rodziliśmy po raz pierwszy? – zapytała.

– Wolałbym to inaczej pamiętać – odparł Staszek. – Tamten poród był bardzo niefortunny. Całe szczęście, że Ania jest cała i zdrowa, ale ciebie... okaleczyli na całe życie.

Pierwszy poród zatrzymał się w pół drogi i nie postępował. Nie pomagały poganianie kroplówką z oksytocyną, masowanie szyjki macicy, czekanie, chodzenie, bujanie na piłce, przysunic ani nawet gorliwa modlitwa. Poród po prostu się zatrzymał. Skończyło się cesarskim cięciem, które bardzo rozczarowało oboje rodziców. Planowali dużą rodzinę, a tu już na początku drogi takie ograniczające prokreację przeszkody.

Wtedy, wraz z małą Anią, urodziło się w Honoracie powołanie. Do macierzyństwa. Takiej lawiny miłości nie czuła nigdy wcześniej.

Po cięciu lekarze zalecali przynajmniej rok przerwy. Staszek bardzo źle znosił wstrzemięźliwość, bo oczywiście o żadnych zabezpieczeniach nie było mowy. Dużo było wtedy między nimi napięć, ale dzięki modlitwie przetrwali i wyszli umocnieni. Na szczęście rok szybko minął, a kolejne dziecko – Marysię, dzięki Bogu (i wprawnej położnej) udało się urodzić naturalnie. Podobnie jak trzecią pociechę – Antka.

Dzisiaj znów mieli nadzieję na naturalny poród.

– Pani Zapolska! – położna przywołała ich do gabinetu. – Rodzimy po raz czwarty? Wody odeszły? Czyste?

– Nie odeszły. – Honorata powiedziała przytomnie, mimo kolejnego skurczu. – Skurcze mam...

– Do badania zapraszam – przerwała jej wiekowa lekarka, potężna kobieta, mało sympatyczna z wyglądu.

Zaczęła od wstrząsania brzuchem na różne sposoby, tak po dawnemu, jak badali starzy położnicy. Na zgrabnym brzuszku Honoraty, popękany gdzieniegdzie, z wyraźną czarną kresą od spojenia aż po mostek, lekarka przerobiła wszystkie chwytów Leopolda. Zbadała też Honorkę wewnątrz, z delikatnością gwałciciela, potwierdzając tezę, że kobiety w tym fachu są brutalniejsze od mężczyzn. Honorata musiała aż zacisnąć zęby.

– Wie pani, że dziecko jest ułożone pośladkowo? – oznajmiła lekarka, wyrzucając rękawiczki do kosza. Honorata i Staszek spojrzeli na siebie.

– Nie wiedzieliśmy. Zrezygnowaliśmy ze wszelkich badań prenatalnych po naszych ostatnich doświadczeniach. Nie znamy płci, zdrowia i... ułożenia też nie – oznajmił Staszek. – Co to całe pośladkowe ułożenie w praktyce oznacza?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Jak to co oznacza? Że dziecko się nie fiknęło głową do dołu. Takie porody są trudniejsze.

– Wszystko w rękach Boga... – westchnęła Honorata.

– Wszystko w rękach Boga, ale odpowiedzialność ponoszę ja. Boga nie zaskarżycie, a mnie, jakby co, będziecie ciągać po sądach. Zwykle w takiej sytuacji proponujemy cesarskie cięcie, ale ponieważ już pani rodziła, możemy spróbować porodu siłami natury, o ile akceptują państwo takie rozwiązanie. Uprzedzam, że poród pośladkowy jest obarczony zwiększonym ryzykiem urazu dla mamy i dziecka,

większym ryzykiem niedotlenienia. W ogóle jest ryzykowny. – Honorata i Staszek znów wymienili porozumiewawcze spojrzenia. – Zrobimy jeszcze biometrię, czyli badanie USG, na którym oszacujemy masę dziecka, proporcje główki i brzuszka, żeby zobaczyć...

– Nie ma takiej potrzeby – zaprotestował Staszek. – I tak zdecydujemy się na poród naturalny.

Lekarka spojrzała na niego spod oka, potem zerknęła na milczącą Honoratę, która ani gestem, ani słowem nie zaprotestowała.

– Domyślałam się, że główkę mam tuż pod sercem – powiedziała ciężarna, masując brzuch. – Skoro Bóg tak ustawił to dziecko, to... pewnie miał plan, żeby tak się urodziło...

– Z pewnością – powiedziała oschle lekarka. – W takim razie zapraszam na poród siłami natury, najlepiej na łonie natury, na jakąś polankę, w asyście tego waszego Boga... – mruknęła pod nosem, niby do siebie.

– Pani jest bezczelna! – oburzył się Staszek. – Chcę rozmawiać z pani przełożonym!

– Chwilowo ja jestem tu swoim przełożonym. Jestem szefem dyżuru. Z przełożonym może pan porozmawiać rano, ale wtedy poród będą mieli już państwo za sobą. Proszę pozwolić mi zrobić USG, wtedy wrócimy do tej rozmowy i zastanowimy się, jakie rozwiązanie jest w tej sytuacji najlepsze – lekarka zwróciła się do Honoraty, która zastygła w grymasie bólu.

Byłaby skłonna ustąpić, zgodzić się na cesarkę, ale na jej niezwerbalizowane wahanie Staszek szybko zareagował:

– Zastanów się. Jeśli teraz zrobią ci cesarkę, kolejne ciążę, po dwóch cięciach, będą bardzo ryzykowne. Nie możemy tego robić naszej rodzinie. Nie możemy tak ingerować w boży plan.

– Zdaje się, że mają państwo już troje dzieci w domu... – dodała nieśmiało przysłuchująca się rozmowie położna.

– Czy ktoś panią pytał o zdanie? – rzucił Staszek dwa razy głośniej.

Honorata znów zastygła w bólu, mamrotała pod nosem modlitwę, wsparta na mężu, a gdy skurcz ustąpił, zadecydowała, że spróbuje urodzić.

– Ale gdyby coś się działo w trakcie... – mówiła z obawą na twarzy.

– Nic się nie będzie działo! – uprzedził ją Staszek.

– Dobrze. W takim razie zapraszam państwa do sali Górskiej – westchnęła lekarka i odesłała ich na blok porodowy, żeby państwo Zapolscy mogli przywitać swoje czwarte dziecko, nieznanego zdrowia i płci, które pchało się na świat wypięte do niego czterema literami.

Narodziny dziecka Zapolskich obserwowało mnóstwo gapiów. Pośladkowe porody są na tyle rzadkie, że każdy, kto chwilowo nie miał rąk umazanych czyjąś krwią lub wydzieliną, oderwał się od swojej pracy i znalazł sobie choćby skrawek miejsca w sali Górskiej, żeby obserwować finał. Wielu lekarzom i położnym, szczególnie młodym, mechanizm drugiej fazy takiego porodu był znany tylko z podręczników.

Staszek, mimo że sam był kiedyś studentem, praktykantem i stażystą i wiedział, że uczestnictwo w takich wydarzeniach to bezcenny sposób zdobywania wiedzy i doświadczenia, nie był zachwycony, że wszyscy ci ludzie owo doświadczenie zdobywać będą na przykładzie porodu jego żony. Ale nie protestował, bo i tak miał na pieńku z lekarką i położną. Zresztą dla Honorki cały ten tłum wydawał się być transparentny. Była zbyt skoncentrowana na swoim zadaniu – jak najlepszej współpracy z personelem, ale przede wszystkim – ze swoim dzieckiem.

– Pupeczka i... cipeczka! – zażartowała położna, badając rodzącą na pełnym rozwarciu. – To będzie dziewczynka.

– Helenka... – westchnęła Honorata i choć była już bardzo zmęczona, nabrała nowych sił.

Staszek informacji o płci dziecka nie przyjął szczególnie entuzjastycznie. Pasowałby chłopiec, żeby

zachować symetrię w rodzinie. Ale nie szkodzi! Przecież to nie ich ostatnie słowo!

Czekali na skurcze parte, niecierpliwie, trochę nerwowo, bo według zapisów KTG dziewczynka nie czuła się w pełni komfortowo.

– Jeszcze jeden brzydki zapis KTG i tniemy. Skończymy to widowisko... – szeptała lekarka, tak żeby Honorata nie słyszała. – Cięcie, cięcie... – mamrotała pod nosem.

Czujny Staszek rejestrował jej słowa. Głaskał żonę po brzuchu i zupełnie jakby w odpowiedzi na to głaskanie, zapis tętna natychmiast się poprawiał.

– Jeśli cokolwiek pozwolimy wam naciąć, to krocze, w razie konieczności. Żadnej cesarki! – oznajmił stanowczo.

Honorata rodziła dzielnie, bez histerycznych krzyków, bez dzikich jęków, prawie w ciszy. Po kilku skutecznych skurczach partych pojawiła się pupa, za nią przygięte do udek podudzia i brzuszki. Chwila przerwy, rączki i wreszcie skurcz, po którym na świat wyrzała główka pokryta gęstą ciemną czupryną.

– Mamy dzidzię! – ucieszyła się położna. Ktoś w kącie sali zaczął bić brawo, bo wszystko poszło zaskakująco gładko, niemal książkowo.

Dopiero te wiwaty uświadomiły Honoracie, że w sali nie są sami. Że nie rodzi tylko ze Staszkiem i położną, tak jak bywało podczas ostatnich porodów. Ludzi było więcej, znacznie więcej, niż się spodziewała.

Lekarka odetchnęła z ulgą, obejrzała krocze, ale nie było nic do szycia, więc poczekała na popłód. Łóżysko również nie budziło żadnych zastrzeżeń. Zdjęła rękawiczki. Zanim wróciła do swojej pracy, zwróciła się do Staszka:

– Gratuluję. Pana żona jest stworzona do rodzenia. Ślicznie rodziła.

– Dziękuję. Pani za gratulację, a Bogu za trzecią córkę – odparł z satysfakcją.

– A teraz dwie godziny dla rodziny. Zostawcie państwa samych – zarządziła tłumem gapiów lekarka.

Zapolscy zostali sami w pięknej, błękitnej sali Górskiej, ze swoją córeczką, przeciętnej masy, płci żeńskiej i zdrowia na dziesięć punktów w skali Apgar.

Ale czar szybko prysnął.

Staszek prysnął wcześniej. Ucałował Honoratę w czoło, powiedział, że była bardzo dzielna i że ją kocha, a potem poszedł zobaczyć, jak się mają ich pozostałe dzieci pod opieką ciotki, ateistki, feministki, biseksualistki – nie wiedzieć co gorsze. Tak czy inaczej, Staszek był jej naprawdę wdzięczny, bez pomocy Gracji nie mógłby towarzyszyć Honoracie przy narodzinach córki. Na szczęście był z żoną cały czas, bo jeszcze by się skończyło kolejnym cesarskim cięciem i jego ambitne plany rozrodcze diabli by wzięli.

Narodziny dziecka – absolutna magia. To, co dzieje się w sercu matki, ilekroć trzyma w ramionach dziecko, które jeszcze przed kilkoma chwilami było częścią jej ciała, a odtąd stawało się namacalne wszystkimi zmysłami, to absolut. Poporodowa ekstaza trwała. Wszystko, co się działo, było intensywne. I doskonałe.

Do czasu.

Przystawiona do kolejnego karmienia, po kilku godzinach spokojnego poszukiwania źródła mleka, po kilku łapczywych próbach ssania, Helenka nagle straciła swój różowy kolor. Zrobiła się szarofioletowa, niepokojąco sina, co na pewno nie miało związku z neutralnym światłem, kolorem ścian ani z zaburzoną percepcją osłabionej matki. Honorata parzyła na małą Helenkę, swoją doskonałość, i obie stawały się coraz bardziej niespokojne.

– Pomocy! – zawołała w końcu.

Pierwsza pojawiła się położna. Spojrzała na dziecko i natychmiast zaalarmowała neonatologa. Podała

tlen. Po chwili na sali położkowej zrobiło się zamieszanie. Chaos, który co chwilę ktoś próbował ogarniać komendą typu: „Daj tlen”, „Więcej tlenu”, „Odejdź”, „Podejdź”, „Podłącz”, „Szybko”, „Ruchy”, „Zabierzcie ją na OIOM!”.

I zabrali Helenkę.

Honorata podźwignęła się z łóżka. W jednej chwili przestała czuć bóle pleców, pieczenie krocza, drętwienia palców. Zignorowała wszystko, co jeszcze chwilę wcześniej wydawało się tak bardzo uciążliwe, i pobiegła za swoim dzieckiem.

Z krzątania wokół Helenki nie była w stanie wywnioskować nic poza tym, że działo się coś niedobrego. Dużo białych fartuchów wokół jej nagiego, siniego dziecka, które nie zmieniało koloru mimo podanego tlenu, ciepłarki, mimo mechanicznej wentylacji. Nic nie pomagało.

– Saturacje spadają. Podłączcie prostaglandynę. Czy to dziecko miało w ciąży echo serca? Dajcie mi tu wszystkie prenatalne badania USG – zarządziła lekarka, która w całej tej napiętej sytuacji wydawała się najbardziej opanowana.

– Nie mamy badań... – szepnęła Honorata, ale chyba nikt jej nie usłyszał. Gryzła pięść z bezsilności, z niemocy. Starła się rejestrować każde słowo, niestety żaden komunikat nie był skierowany do niej. Nikt z nią nie rozmawiał. Używali słów, których nie rozumiała. Cholerny medyczny slang! Gdyby Staszek tu był. Gdyby był...

Rozumiała, że wszyscy mają w tej chwili inne priorytety niż informowanie zdezorientowanej matki, ale niepewność była ponad jej siły. I jeszcze ta pielęgniarka, która mówiła coś do niej o tych wynikach badań, których przecież nie miała.

– Czy pani jest mamą? Czy ma pani wyniki badań USG?

Była mamą. Wyników nie miała.

– A mąż może je dowieść?

Mąż nie może ich dowieść, bo tych wyników nie ma, już to mówiła chyba. Że wcale ich nie ma...

– Czy pani mnie słyszy?

Słyszała. Do czasu. Zakręciło się jej w głowie, wokół zapanowała ciemność, pod sobą poczuła zimną podłogę. Potem była już tylko pustka, którą powoli wypełniały znane jej obrazy.

Poznali się na rekolekcjach wielkopostnych. Niespełna dwa miesiące później wzięli ślub. To były rekolekcje bardzo oczyszczające, głęboko przeżywane, przełomowe dla nich obojga. On poczuł, że Bóg ma dla niego specjalne zadanie. Początkowo sądził, że jest to kapłaństwo, seminarium duchowne. Już miał się poddać woli bożej, oznajmić rodzinie swoje plany, gdy nagle ujrzał Honoratę. Zawahał się i szybko zrozumiał, że tym powołaniem jest coś zupełnie innego. Rodzina.

Ona stała wówczas u progu dorosłości i nie miała pojęcia, co z nią zrobić. Samodzielność ją przerażała, a chyba wypadało o niej pomyśleć, jeśli nie brała pod uwagę kontynuacji nauki, bo ta, już w szkole średniej, nie szła Honoracie wybitnie.

Staszek wpatrywał się w nią jak w obrazek. Odwracał głowę od ołtarza i bezczelnie się gapił, a ona udawała, że nie widzi, że jest zajęta wyłącznie modlitwą. Potem śmiało zaprosił ją na spacer i do cukierni, ale oboje nie zamówili żadnych ciastek, bo przecież był post. Zadowolili się herbatą owocową, bo Honorata nie pijała kawy, a on wypił tego dnia już trzy, żeby przetrwać rekolekcje przytomnie po całonocnym dyżurze wypełnionym wyjazdami do zawałów i wypadków komunikacyjnych.

Imponował jej. Starszy o dekadę, wykształcony, z fascynującym zawodem, z misją ratowania życia, z Bogiem w sercu, z planem na przyszłość, w dodatku pięknie zbudowany i pewny siebie. Ideał. Patrzył na jej speszoną twarz, błędzące spojrzenie, cudowne kształty, a ona uśmiechała się i niewiele mówiła.

– Będziesz moją żoną – oznajmił.

– Tak! – wyrwało się z jej ust. – Tak... myślisz? – dodała, gdy zorientowała się, że to bardzo pochopne.

– Tak myślę.

Nie pytał. Oznajmiał.

Uśmiechnął się, wprawiając ją w jeszcze większe zakłopotanie, które przyrumieniło jej policzki.

Nie znali się wcale, ale to nie było im potrzebne do pełnego porozumienia dusz. Była młodziutka, ledwo co zdała maturę – z marnymi wynikami – i nie miała sprecyzowanych planów na przyszłość, więc perspektywa małżeństwa wydała jej się atrakcyjna. Przy Staszku była bezpieczna. Przy mężczyznach, wliczając ojca, wuefistę, sąsiada, dotychczas czuła wyłącznie niepewność, wstyd i strach.

Do ślubu założyła koronkową sukienkę do kolan. Na głowie miała wianek z frezji i zielonych traw, luźno przypięty do rozpuszczonych pasm włosów w kolorze mysiego blondu. Muśnięta różem, z ustami przeciągniętymi bezbarwnym błyszczkiem, podkreśliła swoją świeżość i dziewczęcość. Białym welonem zaznaczyła niewinność.

Oddała Staszкови siebie i nagle jej życie zyskało nowy wymiar, nabrało sensu. Od teraz miała plan: realizować się jako żona. A wkrótce również jako matka.

Honorata przebudziła się w łóżku, innym niż to, w którym leżała tuż po porodzie. Brzucha nie było, Helenki nie było. Pamięć wracała stopniowo.

– Długo tu leżę? – spytała, podrywając głowę z poduszki.

– Kilka godzin... Spokojnie, niech pani odpoczywa – powiedziała położna. – Pani mąż już jedzie. Zemdlą pani...

– Tak, tak... Coś mi świta... – Honoracie powoli wracała świadomość. – Matko Przenajświętsza! Co z Helenką?

– Pani córka pojechała do innego szpitala. Nic więcej nie wiem, bo niedawno zaczęła się moja zmiana. Ale może pani spytać lekarzy. Zaglądają tutaj...

– A mogę teraz porozmawiać z lekarzem? – Honorata usiadła, gotowa wstać i iść, ale jej ruchy krępował dren kroplówki. – Proszę mnie od tego odłączyć! – zażądała.

– Pani Honorato, chwileczkę, zaraz zawołam lekarza. Pani mąż jest już w drodze i zaraz na pewno będzie...

W tej samej chwili w drzwiach stanął Staszek. Miał najświeższe informacje o ich dziecku, ale Honorata poprosiła, żeby opowiedział jej wszystko od początku. Mogła go wysłuchać ze względny spokojem, dopiero gdy dowiedziała się najważniejszego: Helenka żyje.

Tuż po porodzie, gdy już upewnił się, że ich dzieci nie zepsuło zbytnio towarzystwo cioci, Staszek zdrzemnął się chwilę, po czym pojechał do pracy. Miał mieć dyżur w karetce. Był w drodze do bazy na Hożej, gdy dostał telefon, że musi natychmiast przyjechać do szpitala, bo córka zsiniała, a żona zemdlą. Nawet informacja od dyspozytorki, że ma pędzić w kodzie pierwszym do wypadku z udziałem dzieci, nie wyzwalała w nim takich pokładów mobilizacji. To było jak bolus z adrenaliny.

Natychmiast wyskoczył z tramwaju i rozpoczął sprint w kierunku szpitala, bo autobus miał być dopiero za kwadrans. W międzyczasie udało mu się zorganizować zastępstwo w pracy, choć kilka minut przed dyżurem nie było to łatwe.

Był kilkaset metrów od szpitala, gdy dostał kolejny telefon, że ma jednak jechać do Centrum Zdrowia Dziecka, bo jego córka już tam jest i będzie potrzebny rodzic, żeby wyrazić zgodę na zabieg Rashkinda.

Za cholere nie wiedział, czym jest zabieg Rashkinda, ale orientował się, gdzie jest Centrum Zdrowia Dziecka. Zdarzało mu się odwozić tam pacjentów karetką. Zdecydowanie łatwiej dojechać tam na sygnale niż komunikacją miejską.

Gdy w końcu siedział we właściwym autobusie, zaczął szukać w internecie informacji na temat tego zabiegu na „R”. Pojęcie ogólne miał, bo przecież wykonywał zawód medyczny, ale zawiłości dziecięcych wad serca to coś, czego nigdy nie studiował, nigdy nie rozumiał, nigdy nie miał potrzeby rozumieć.

– Atrioseptostomia balonowa... – czytał i zastanawiał się, co jest nie tak z sercem jego dziecka, że potrzebuje pilnie mieszania się krwi na poziomie przedsionków serca.

Co to za wada? Jak rokuje? Co dalej?

Jaki plan ma dla nich Bóg?

– Trzeba było zrobić te badania prenatalne... – westchnęła zrozpaczona Honorata. – Przy Ani i Marysi zrobiliśmy...

– Zrobiliśmy, bo nie wiedzieliśmy, czym takie badania grożą – zachnął się Staszek. – Pamiętasz, ile nerwów kosztowało cię USG genetyczne Antosia? Do końca ciąży nie wierzyłaś, że będzie zdrowy, zupełnie odebrało ci to radość z noszenia go pod sercem! Ta cholerna przezierność karkowa, milimetr za dużo, a potem cała machina diagnostyczna, na którą próbowali nas namówić. Analizy, amniopunkcje, wszyscy tylko czyhali, żeby zrobić aborcję. Nie, dziękuję. Tyle strachu, a widzisz... Antoś urodził się zdrowy!

– Ale Helenka nie jest zdrowa... – Honorata mówiła przez łzy. – Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, moglibyśmy...

– Co byśmy mogli?

– Może oswojeni z wiedzą o wadzie serduszka, moglibyśmy... przygotować się do tego lepiej. Tutaj też wszyscy byli bardzo zaskoczeni. Musiałbyś zobaczyć, co tu się działo! Jeszcze więcej zamieszania niż przy tym całym porodzie pośladowym. I jeszcze ja, tak mi wstyd... padłam jak długa! Jeszcze raz, powiedz mi, co to za wada? Jak się nazywa?

– Przełożenie wielkich pni tętniczych. Serce ma wszystkie elementy, jamy i naczynia, ale są nieprawidłowo połączone.

– Brzmi poważnie i groźnie... Ale wyleczą to? Naprawią? Będzie żyła? Boże, pozwól, żeby żyła...

– Jest po zabiegu Rashkinda, operacja ma być w przyszłym tygodniu. Leży teraz na oddziale kardiologii i czeka. Wszystko w rękach Boga.

– Zacznę odciągać dla niej mleko – powiedziała Honorata, ale po chwili opadła na poduszkę. – Tak bardzo bym chciała być przy Helence...

– Wiem – odparł Staszek, zupełnie jakby miał jakiś plan. – Dlatego przywiozłem ci ubrania. – Sięgnął do plecaka. – Przebierz się. Wypiszesz się na własne żądanie, żebyś mogła czuć przy naszej córce.

– Wykluczone! – oznajmiła lekarka. – Wypis na własne żądanie? Głupota! Nie minęła nawet doba od porodu! I jeszcze mi pani zemdlą! Wie pani, jakie są wartości pani hemoglobiny? Piękną anemię rozwinęła sobie pani w tej ciąży! Nigdzie pani nie idzie. Proszę odciągać pokarm, mąż dostarczy go córce, a za dwa dni panią wypuszczę do dziecka... Teraz musi pani nabrać sił, myśleć o sobie...

– Nie – powiedział kategorycznie Staszek. – Żona wychodzi.

Honorata, w granatowej sukience i w czerwonym sweterku, rzeczywiście wyglądała blado. Jej serce rwało się do chorej córki, ale czuła się wyczerpana. Nie było jej teraz stać na stanowczość. Tak naprawdę chciała, żeby Staszek oddał komuś swój dyżur i chociaż dobę poczuwał przy małej. A ona go zmieni, jutro, jak tylko nabierze sił.

– Dziecko potrzebuje matki, proszę nas zrozumieć – powiedział Staszek, widząc srogą minę lekarki.

Honorata podpisała, co kazali: *Ja, Honorata Zapolska, świadoma konsekwencji, biorę pełną odpowiedzialność za swój stan zdrowia i wypisuję się na własne żądanie.*

– Po drodze zajedziemy jeszcze do domu, do dzieci – oznajmił Staszek. – Dobrze im zrobi, jeśli chwilę z nimi pobędziesz. Dosłownie dwie godzinki...

Honorata myślami była już przy Helence, a ciałem... Ciało powinno zostać w szpitalu i dochodzić do siebie.

– Dobrze, kochanie – odparła słabo. – Pojedźmy do domu.

W progu mieszkania dzieci rzuciły się na mamę, prawie powalając ją na podłogę. Były stęsknione i trochę zdezorientowane.

– Mamo, gdzie twój brzuszek? – spytała Ania. – Czy wyjęli już naszego nowego dzidziusia? Dlaczego go tu nie ma?

– Mama, mama, mama! – krzyczał Antoś.

I tylko Marysia zamiast entuzjazmu zademonstrowała buntowniczego focha i schowała w łazience.

– Wyglądasz strasznie. Jak trup! – zawyrokowała Gracja. – Kobieto, połóż się! Przecież ty ledwo stoisz! Kto cię w takim stanie wypuścił ze szpitala?

– Sama się wypuściłam ze szpitala – odparła Honorata. – Do Helenki. Za to ty... O rany! Wyglądasz doskonale! Masz nawet makijaż... Nigdy nie udało mi się zrobić makijażu przy tej trójce. Przy dwojce jeszcze czasem zdążałam umyć zęby, ale przy trójce to już dosłownie nic... Szczególnie, odkąd jestem sama. To znaczy... bez mamy.

– Wierzę ci. Ten makijaż to był nie lada wyczyn. Poświęciłam ukochaną szminkę, którą ostatecznie musiałam oddać Ani, a ona wymazała nią kartkę i pół twarzy. Antoś w tym czasie jadł chrupki, a Marysia zgodziła się być grzeczna po tym, jak dostała zapewnienie, że pozwolę jej wykorzystać moje cienie do powiek jako akwarelki... Zawsze myślałam, że chcę mieć jedno dziecko, ale zmieniłam zdanie. Pół mi wystarczy! Nie wiem, jak udaje ci się ogarniać te żywioły! Masz anielską cierpliwość! – Gracja poprawiła przed lustrem fryzurę, której zrobienie też było pewnie „nie lada wyczynem”.

– Wyglądasz ślicznie.

– Dziękuję. Ale makijaż zrobiłam nie po to, żeby się podobać dzieciom. Muszę wyskoczyć, dosłownie na dwie godzinki, żeby spotkać się z klientem. W przeciwnym wypadku ucieknie mi fantastyczne zlecenie. Staszek powiedział, że zostanie z dziećmi przez ten czas... Nie spodziewałam się, że będziecie tu oboje, przecież ty... rety! Przed kilkoma godzinami rodziłaś! – Honorata wzruszyła ramionami. Rodziła, nie rodziła. Matka, nawet w połogu, nie ma taryfy ulgowej. – A jak Helenka? Macie jakieś wieści?

– Właśnie jesteśmy... to znaczy byliśmy w drodze do szpitala. Zajechaliśmy tylko zobaczyć dzieci i...

– Staszek akurat wniósł do pokoju walizkę – ...i przepakować się. To znaczy przepakować mnie. Teraz będę przy Helence w oczekiwaniu na operację, a potem, mam nadzieję, uda nam się w miarę szybko wrócić do domu.

– No właśnie, właśnie – westchnął Staszek, przeprawiając się do łazienki, by wyrzucić z niej małą Marysię, która próbowała otworzyć kolorowe „akwarelki”. – Przepakuj się, kochanie, dorzuć do walizki co tam będzie ci potrzebne w szpitalu, ogarnij co trzeba w domu, a ja trochę się odświeżę. Potem skoczę po coś do jedzenia i jak tylko Gracja wróci, jedziemy!

– Była tu mama Staszka i podrzuciła nam pierogi. Są w lodówce, wystarczy odgrzać – przypomniała sobie Gracja. – Nie musisz nigdzie wychodzić, Staszku. Zresztą to kiepski pomysł zostawiać Honorę samą z dziećmi, nie sądzisz? – Cały czas była zaniepokojona stanem siostry.

– Nie znasz Honorki. – odparł dziarsko Staszek. – Ona rozkwita przy dzieciach!

Gracja spojrzała na szwagra wrogo, ale ten zignorował ją zupełnie i zamknął się w łazience.

– Wracam za góra dwie godziny – zapewniła siostrę. – Jesteś pewna, że dasz radę? Może jednak przełożę to spotkanie...

– Idź – powiedziała cicho Honorata. – Idź.

*

Nocne alarmy budziły tu równie często, co płacz. Taki oddział.

– Przyzwyczaj się pani – mówiły pielęgniarki pierwszej nocy, którą Honorka spędziła, czuwając przy małej Helence.

Rzeczywiście zdołała przywyknąć do tych natrętnych dźwięków, a nawet przy nich spać. Jakaś intuicyjna czujność budziła ją tylko wtedy, gdy alarm bił przy łóżeczku jej własnego dziecka.

Codziennie starała się być w domu, u pozostałych dzieci. W szpitalu, pod nieobecność bliskich, małymi pacjentami opiekowały się pielęgniarki. Przewijały, podawały butlę z mieszanką mleczną, a gdy dziecko zanosiło się z tęsknoty za mamą, płacz pacyfikowano lekami.

Krótkie chwile w domu Honorata wykorzystywała bardzo efektywnie. Prasowanie, szybkie sprzątanie, błyskawiczny obiad. To wszystko robiła po to, żeby doraźni opiekunowie, Gracja, wujek Romek, teściowa, znów Gracja, potem sąsiadka, okazjonalnie Staszek, nie zniechęcili się zbyt nadmiarem pracy.

Większość czasu spędzała jednak z dziećmi na podłodze. Oddawali się przytulaniu i czułościom. Antoś znowu zaczął ssać jej pierś, odciągając nawały mleczne. Marysia nie wiedziała, czy na widok mamy cieszyć się czy złościć, ale ostatecznie to właśnie ona wtulała się najmocniej. A Ania zasypywała Honoratę swoimi rysunkami (wszystkie dla siostrzyczki Helenki) i gradem pytań.

Dlaczego nie było cię na jasełkach?

Zgadnij, ile mam próchnicy w zębach?

A widziałaś, jak Antoś umie już chodzić bez trzymanki?

A wiesz, że babcia musiała wybrać Marysi wszy z głowy?

Mamo, ile jeszcze cię nie będzie?

Było coś prawdziwego w słowach Staszka, że przy dzieciach Honorka rozkwitała. Ładowała akumulatory.

Zawsze, wychodząc z domu, miała rozdarte serce. Czowała się winna, że porzuca dzieci. Z kolei wychodząc ze szpitala, miała do siebie żal, że opuszcza to najbardziej potrzebujące dzieciątko.

I tak codziennie.

W każdą niedzielę Honorata wyprawiała wszystkie dzieci do kościoła. Te niedziele były dla ich rodziny namiastką normalności. Pakowali Antka i Marysię do wózka, a Ania dziarsko dreptała, dorównując kroku trzymanemu za rękę tacie. Modlili się w intencji zmarłej babci, zdrowia całej rodziny, a w szczególności najbardziej potrzebującej Helenki. W kościele Honorata powstrzymywała się od snu, choć najchętniej położyłaby się w bocznej nawie i beztróska przespała całą eucharystię.

Kładąc się spać w szpitalu – na rozkładanej, skrzypiącej polówce – odliczała dni, aż będzie mogła zabrać córeczkę do domu i w końcu wyśpi się w swoim łóżku.

Po operacji, opóźnionej, ale pomyślnej, Helenka bardzo powoli dochodziła do zdrowia. Na początku

brzydko goił się rozdarty na pół mostek. Potem okazało się, że mała ma zaburzenia rytmu serca, co przedłużyło pobyt o dodatkowe badania i długie próby wdrażania skutecznego leczenia antyarytmicznego. W dodatku dziewczynka nie przybierała na wadze, więc zalecano dalszą obserwację szpitalną i specjalne żywienie. Wreszcie waga osiągnęła trend rosnący i wszyscy mieli nadzieję na powrót do domu, ale wtedy okazało się, że Helenka złapała infekcję, i perspektywa wyjścia ze szpitala znów się oddaliła.

Chwilowo ich rodzina stała się niewydolna. Bez pomocy bliskich i przyjaciół nie daliby rady. Honorata wierzyła, że gdy tylko będzie miała wszystkie dzieci w domu, życie wróci do względnej normy.

Modliła się o to codziennie.

*

Staszek przyjechał do szpitala prosto z dyżuru, w trakcie którego nie zmrzyzył oka nawet na minutę. W słoiku przywiózł porcję obiadu dla Honoraty, który kupił po drodze w barze mlecznym. Honorata miała na niego ogromną ochotę, ale podzieliła się z mężem, który też był głodny. Wciąż dużo pracował, a w domu, zamiast regenerować siły, musiał przejąć wszelkie „obowiązki żony”. Bardzo mu one ciążyły.

– Musicie z Helenką szybko wrócić do domu, bo nie wyrobię. – Uśmiechnął się, wyjadając całe mięso z gulaszu.

Helenka słodko spała, z pełnym brzuszkiem, z błogim wyrazem twarzy. Od czasu narodzin zdążyła się już zmienić, stawała się podobna do Honoraty. Te same oczy, podbródek, delikatny zadarty nosek.

– Chodź, Honorka, pokażę ci coś! – powiedział Staszek, który oprócz obiadu miał jeszcze niespodziankę.

Poprosili pielęgniarki, żeby przez chwilę zerkały na maleństwo, a potem zjechali windą na parter i pomknęli w kierunku szpitalnego parkingu.

Gdy tak biegli beztrąsko, wśród jesiennych promieni słońca, wdychając międzyleskie powietrze, Honorata czuła się wolna, radosna. Przez chwilę przypomniała sobie, że jest młoda, że można się czuć tak dobrze.

Zatrzymali się przy srebrnym sharanie.

– Co ty na to? – Staszek z dumą oparł się o siedmioosobowe auto.

Honorata szerzej otworzyła oczy ze zdziwienia.

– To... co to? To nasze?

– Nasze, nasze!

– Ale jak? Za co?

– No przecież pracuję! Jakoś te pieniądze trzeba też wydawać! Miałem trochę dodatkowej kasy, zarobionej w Pulsie, nieco pożyczyłem i brałem ostatnio więcej dyżurów. Prawdę mówiąc, mniej się na nich narobiłem niż w domu...

Honorata uśmiechnęła się szeroko, pierwszy raz od dawna.

– Jesteś niesamowity! – ucieszyła się, oplatając szyję Staszka chudymi ramionami. – Cudownie!

– Wszyscy się tu pomieścimy! Co więcej, zostaje jedno wolne miejsce, więc możemy spokojnie przystąpić do działania, żeby wkrótce zajął je kolejny Zapolski! A jak będzie nas więcej niż siedmioro, to kupimy busa!

– Mam nadzieję, że żartujesz. – Honorata spoważniała. Przecież sytuacja się zmieniła. Chora Helenka będzie wymagała specjalnej uwagi. – To będzie ekstremalnie trudne rodzicielstwo i... Ojej! W środku są foteliki! – ponownie się ożywiła, wsiadając do auta, tuż obok kierowcy. – Skąd je masz?

– Kupiłem na aukcjach internetowych. A ten niemowlęcy, dla Helenki, pożyczyłem od Jurka, bo oni się zarzekają, że więcej mieć nie będą. Ale jak Bóg ma dla nich inny plan, to im oddamy... Chcesz się

przejechać?

– No pewnie! Mamy niewiele czasu, bo Helenka zaraz się obudzi, ale... Przejedźmy się!

Staszek zrobił jakieś efektowne wiraże przy wyjeździe z parkingu, a na prostej trochę przygazował, by zademonstrować żonie moc rodzinnego auta. Honorata piszczała z wrażenia. Trochę udawała, bo tak naprawdę bardzo się bała, ale jej zachwyty ewidentnie sprawiał Staszekowi frajdę. Nagle skręcił do lasu i zatrzymał się na gruntowej drodze, zacisznej i ustronnej.

– Wracamy? – spytała Honorata, która bała się, że Helenka obudzi się przed jej powrotem i znów dostanie leki, żeby nie płakała. – Chciałabym już wracać. – Staszek jednak bez słowa odpiął pas i zaczął całować żonę. Odpowiedziała na to zdziwieniem. Nie miała ochoty na spontaniczne porywy namiętności. Owszem, tęskniła za Staszkiem, za bliskością, za czułością, ale to nie ten moment, nie ta chwila. – Wracajmy już, do Helenki – poprosiła, próbując wyswobodzić się z natarczywego uścisku męża. – Ty też wracaj do dzieci. Może pojedźcie tym autem na lody albo jutro... Tak, to dobry pomysł! Pojedźmy nim jutro do kościoła... – Całował dalej, mimo że nie odwzajemniała pocałunku, a wręcz coraz bardziej się opierała. – Piękne auto, naprawdę – próbowała skierować uwagę Staszka na inny tor. – A kto teraz jest z dziećmi? Twoja mama czy Gracja?

Staszek chwycił jej dłoń i położył na swoim twardym przyrodzeniu. Najwyraźniej nie zamierzał ustąpić.

– Tęsknię za tobą... – wysapał. – Zaraz zrobisz mi dobrze, moja ukochana, a jak będziemy mieli szczęście i Bóg pozwoli, zapełnimy wolne miejsce w naszym aucie kolejnym dzieciątkiem. Kocham cię...

– Staszek! – protestowała. – Ja nie chcę...

– Kocham cię... Podoba ci się auto, które dla nas kupiłem?

– Ja... Tak, podoba mi się... Auto... Nie powinnam. Nie mogę. Nie chcę!

– To twój obowiązek.

– Staszek, ja mogę być teraz płodna... My... musimy myśleć o naszych dzieciach!

– Zawsze o nich myślę. O tych, które mamy, i o tych, które będziemy mieć... Nie odrzucaj mnie – powiedział i nie zważając na jej opór, wziął to, co chciał.

*

Helenka wyszła ze szpitala jako trzymiesięczne niemowlę. Była drobna i spokojna. Jej pocerowane serduszko w kontrolnych badaniach prezentowało się całkiem nieźle. Jak zapewniali lekarze, wszystko się udało, ale do końca życia będzie wymagała regularnych kontroli i leków.

Karta wypisowa miała osiem stron. Honorata przestudiowała ją uważnie, skupiając się na zaleceniach, których wypełnienie będzie od niej wymagało więcej czasu i uwagi niż standardowa opieka nad zdrowym niemowlęciem. Bała się tego macierzyństwa. Bała się życia poza murami szpitala. Bała się o Helenkę, ale też martwiła się o Anię, Marysię i Antka, dla których ostatnie tygodnie też były ciężkie i chaotyczne.

Martwiła się również o siebie.

Dzieci wyczekiwały ich powrotu razem z ciocią Gracją, która pod nieobecność rodziców pozwoliła sobie wprowadzić do domu kilka swoich zasad, jak na przykład jedzenie futomaków w porze lunchu, hurtowa kąpiel z pianą po szyję, a zamiast modlitwy – czytanie bajek. Poza tym zapanował gender! Ania

dostała na urodziny zestaw pirata, z hakiem i przepaską na oko, a Antosiovi ciocia pozwoliła chodzić w bucikach po Marysi, które znalazła gdzieś w szafie. Buciki były różowe, ale wcale nieznoszone, a szkrab wyraźnie ich potrzebował. Usprawnił się w chodzeniu i chciał potrenować tę umiejętność nie tylko na domowej podłodze, ale też na chodniku, przed domem, a bez butów ani rusz!

Staszek, skazany na pomoc szwagierki, nie protestował, mimo że zasady wprowadzane przez Grację wcale mu nie odpowiadały.

Wnieśli dzidzię na ostatnie piętro kamiennicy. Dzieciaki natychmiast obskoczyły fotelik samochodowy, w którym leżała ich nowa siostra. Zareagowały bardzo entuzjastycznie. Głaskały, całowały, wkładały w małe rączki Helenki różne grzechotki i cieszyły się, gdy odpowiadała na te gesty uśmiechem. Najbardziej interesujące jednak były dla nich blizny na ciałku, które ujawniły się przy przewijaniu dziewczynki.

– Ma blizny – zauważyła Ania. – Zupełnie jak Harry Potter!

– Kto?! – oburzył się Staszek. – Gracjo, powiedz mi, skąd moje dziecko zna Harry’ego Pottera?!

Gracja wzruszyła ramionami.

– Wyluzuj, tatuśku – rzuciła niedbale. – Masz już w domu żonę i teraz możecie się rządzić po swojemu.

– Będę za wami tęsknić, bardzo, bardzo, bardzo! – Gracja całowała rozbrykana trójkę, jedno po drugim. – A ty, Helenko kochana, jesteś taka malutka... Ciebie też ciocia przytuli. Mogę? – Honorata kiwnęła głową, a Gracja, bardzo ostrożnie i niepewnie, wzięła małą na ręce. – Jest śliczna... Gdyby nie te blizny, pomyślałabym, że to całkiem zdrowy dzieciak... – Przytuliła bobasa do swojej piersi, czując nagły przypływ instynktu macierzyńskiego.

Staszek przyniósł z auta walizkę, a potem pojechał na myjnię samochodową. To był jego priorytet na tę chwilę – umyć auto.

– Jestem w ciąży – powiedziała Honorata, gdy tylko zamknął za sobą drzwi.

Gracja wytrzeszczyła oczy.

– Żartujesz sobie?

– Chciałabym żartować, ale... Ale to prawda.

– Chryste Panie! Kiedy? Jak? Przecież wy... wy nie spaliście razem od miesiący! Ty w szpitalu, Staszek w karetce...

– Gracjo, naprawdę nie trzeba ze sobą spać, żeby zajść w ciążę.

– Ale ty... karmisz. Czytałam gdzieś, że laktacja chroni przed ciążą, chociaż trochę...

– Chroni, chroni... Ale widocznie mnie nic nie chroni – jęknęła rozpaczliwie Honorata. – Poza tym karmiłam małą bardzo nieregularnie, głównie mieszanką, bo ciągle kursowałam między domem a szpitalem, a zresztą mało przybierała i tak jakoś... Właściwie jedyne dziecko, które w ostatnim czasie podkarmiłam swoim mlekiem, to Antek. W szpitalu jakoś trudno było mi walczyć o to karmienie naturalne. No i jestem w ciąży. – Po policzkach kobiety spłynęły łzy. – No nie patrz tak na mnie...

– Wy... Wy jesteście jak króliki... – Gracja rozumiała brak entuzjazmu siostry. W tej sytuacji ciąża, kolejne dziecko, to naprawdę niezbyt optymistyczna nowina. W mieszkaniu robiło się coraz ciasniej, a dzieci nie tylko przybywało, ale też rosły. Z czasem każde będzie potrzebowało przestrzeni tylko dla siebie. – I co wy teraz zrobicie? Co na to Staszek?

– Nie wie. – Honorata pociągnęła nosem. – Jeszcze nie wie.

– Znając go, będzie się cieszył i dziękował Bogu za kolejny dar. A ty będziesz musiała mu ten dar donosić, urodzić, odkarmić, odchowac, wychowac...

– Prawdę mówiąc... – Honorata musiała powstrzymać łkanie, bo dzieci zaczynały być niespokojne. – ...Myślałam, czy w ogóle powinien się dowiedzieć. Różne rzeczy przychodzą mi na myśl... – Helenka

zakwiliła cicho i obdarzyła mamę świadomym, pięknym uśmiechem. – Moje słoneczko... Tak, jesteś w naszym domku. Ślicznotko moja! Kochana isquierko. Tak, tak, jesteś moim oczkiem w głowie. Jednym z czterech oczek... – mówiła czule Honorata, masując brzuszek małej. – Kocham cię nad życie. Wszystkie was kocham. – Pocałowała w czółko przyklejonego do jej piersi Antosia i pogłaskała Anię, ubraną w strój pirata. Marysia uparcie siedziała na kolanach Gracji. Wcale nie była przekonana, czy podoba jej się Helenka. – Muszę teraz myśleć o dzieciach. O tych, które już mam. – Honorata szukała w oczach siostry zrozumienia, poparcia.

 Nie znalazła.

– Honorko... Moja kochana! Mogę czasem zabrać starszaki do siebie, przecież mam już wprawę. Pomogę ci. Jakoś to będzie! Dasz, dacie... damy sobie radę. – Gracja, tuląc wciąż przyklejoną do niej Marysię, jednocześnie głaskała po ręce siostrę, obłążoną przez dzieciaki. – Czwórka, piątka, czy to taka wielka różnica?

 Honorata zaniósła się płaczem.

Beata i Olaf

Beata doskonale pamiętała okoliczności poczęcia swoich dzieci.

Pierwsze miało miejsce w trakcie pomaturalnej wycieczki nad morze.

Olaf, nie wiedząc czemu, podobał się Beacie od pierwszej klasy liceum, ale przez wszystkie lata mijania się na szkolnym korytarzu nie dostrzegał jej maślanych oczu. Ona nie była klasyczną piękną, ale przyciągała uwagę charakterystyczną burzą ognistych loczków, przenikliwym zielonym spojrzeniem i donośnym śmiechem. On nie należał do ligi szkolnych amantów, nie grzeszył ani nadmiarem urody, ani pewności siebie, więc w obawie przed odrzuceniem wolał zbyt jednoznacznie nie interpretować zalotów koleżanki.

Dopiero Bałtyk, piasek i skąpe bikini, w którym Beata przeżyła się przed nim jak kotka w rui, eksponując mieszczącą się w granicach atrakcyjnej normy figurę, sprawiły, że Olaf połknął haczyk i nabrał odwagi. Między nimi zrobiło się goręcej. Zainteresował się, a właściwie odwzajemnił zainteresowanie, i wreszcie wyszedł z inicjatywą! Wykąpali się w Bałtyku, wyschli na słońcu, a potem Olaf zaprosił Betę na lody, mówiąc: „Ty, Beata, może strzelimy sobie po lodzie, co?”.

Był stosunkowo prosty i niezbyt wyrafinowany, jeśli chodzi o dobór słów. Mało zgrabny, nie najbystrzejszy, ale Beata widziała w nim potencjał i była pewna, że jeszcze zrobi z niego ludzi. Porzeźbi trochę w glinie, z której został ulepiony, i stworzy męczyznę idealnego dla siebie.

To były piękne, beztrudne wakacje, a po nich każde miało plany edukacyjne. Plany musieli jednak odłożyć na bok po tym, jak nie wypalił plan trzymania cnoty do ślubu, a jedyna dostępna w chwili uniesienia metoda antykoncepcji – stosunek przerywany – zawiodła.

Wiosną urodził się Michaś, który stał się osią ich życia, dojrzewającej w przyspieszonym tempie relacji, pretekstem do odroczenia studiów i oczywiście do ślubu, bez którego Beata nie wyobrażała sobie wspólnego życia. W ekspresowym tempie zrobiła z Olafa katolika. Nadrobiła duchowe zaniechania poczynione przez jego rodziców, którzy działali w partii, od kościoła stronili i w żadnych bogów nie wierzyli. Chrzest, komunie, bierzmowanie – przyjął jednego dnia, żeby w końcu mogli przystąpić do sakramentu małżeństwa.

Olaf nie protestował. Poddał się temu, co zarządziła Beata, bo wydawało mu się to słuszne i wygodne.

Bardzo dobrze wspominają ten okres w życiu. Dwoje małolatów, a żyli jak dorośli. Wszyscy ich podziwiali, że tak doskonale sobie radzą. Beata zajęła się wychowaniem syna, a Olaf podjął pracę w firmie teścia. To był dobrze hulający biznes – zaopatrywali hydraulików w rury, klucze, uniformy, przejściówki, uszczelki, a wszystko to w dobrej cenie.

Planowali, że jak tylko Michaś podrośnie, Beata podejmie studia medyczne, o których zawsze marzyła (nie tylko ona, ale cała jej rodzina). Olaf też może kiedyś wróci do edukacji, choć do nauki nigdy się specjalnie nie garnał, a rury kręciły go znacznie bardziej niż filozofie, politologie czy inne humanistyczne kierunki wyższego kształcenia.

Gdy Michaś miał trzy lata, Beata zaczęła studiować medycynę, ale podświadomie czuła, że będzie to

bardzo długa droga, przeplatana różnymi perypetiami. Oboje chcieli mieć dużą rodzinę, ale na razie skutecznie zabezpieczali się przed kolejnymi dziećmi skrzętnie prowadzonym kalendarzem z obserwacjami objawów płodności, o których Beata czytała w mądrych książkach, pisanych poważnym, naukowym, totalnie aseksualnym językiem. „Wsuń palec wskazujący i środkowy do pochwy i na jej sklepieniu wyczuj kulistą strukturę. To jest szyjka macicy, której ujście może być w różnym stopniu rozwarte, a struktura wahać się od twardej jak czubek nosa do miękkiej jak wnętrze policzka, w zależności od fazy cyklu”, czytała na głos Olafowi i była dumna, że mąż pomaga jej w obserwacjach i wspólnie dzielą odpowiedzialność za ich małżeńską rozrodczość.

Unikali współżycia wbrew swoim popędom, gdy zbliżała się owulacja – śliski śluz, miękka szyjka, którą wprawnie nauczyli się badać według podręcznikowych instrukcji. Coraz częściej nachodziła ich jednak myśl, żeby poddać się instynktowi i spłodzić kolejne dziecko. Stało się to którejś pięknej nocy, gdy księżyc był wielki i pełny, estrogen w zenicie. Michaś został na weekend z dziadkami, a Beata właśnie fuksem zaliczyła egzamin z patofizjologii. Tak jakoś wyszło.

Urodziła Andżelikę i wstrzymała studia. Olaf równolegle do pracy w firmie teścia otworzył własny biznes – pogotowie hydrauliczne. Uszczelniał odpływy, przepychał rury, w razie awarii był pod telefonem siedem dni w tygodniu i dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tym samym zapewniał rodzinie coraz lepszy byt, a sobie mnóstwo powodów, żeby wychodzić z domu. W ciasnym, jednopokojowym mieszkaniu przy dwójce dzieci bywało głośno i nieznośnie. Lepiej było się ulotnić pod byle pretekstem – a że pretekstem było „zarabianie na dom”, Beata nie zgłaszała pretensji. Tylko praca Olafa w dzień święty początkowo bardzo ją denerwowała, ale podwójna stawka sprawiała, że i na to przymykała oko. A już całkiem odpuściła, gdy okazało się, że stać ich na większe mieszkanie, wyposażone po sufit meblami z Ikea. Byli najszcześliwsi na świecie.

Teść poczuł, że działalność zięcia coraz bardziej odciąga go od rodzinnego interesu. Dał Olafowi nadzieję na przejęcie firmy, ale pod warunkiem, że zamknie swój biznes. Klienci ich składu hydraulicznego zaczęli mieć pretensje, że Olaf wszystko bierze po cenach hurtowych, a nie tak jak oni – z marżą. Zażądał, żeby zięć się zdeklarował: albo idzie w swoją stronę, albo razem poświęcają sto procent uwagi prowadzeniu sklepu. Olaf nie miał wyboru. Rodzina jest najważniejsza, a presja Beaty, żeby kontynuował biznes ojca, okazała się decydująca.

Beata wróciła na studia i dwoiła się i troiła, żeby brnąć przez kolejne semestry. Nie było łatwo. Z dzieciarnią przy boku ledwo miała czas na bieżącą naukę, nie mówiąc już o jakimkolwiek perspektywnym planowaniu swojej kariery, udzielaniu się w kołach naukowych, aktywnym uczestnictwie w konferencjach czy wyjazdach na atrakcyjne praktyki. To wszystko było poza zasięgiem studentki matki. W przerwie między tuleniem, trzydniówką, gorączką i sraczką zaliczała egzaminy na skromne trójeczki. A gdy zdarzały się niepowodzenia, obstawiona dziećmi udawała się do profesorów, aby wyprosić dodatkowe terminy poprawek, ostatniej szansy. Profesorowie z litości, z dobroci serca, z szacunku do biologicznego zadania, z którego dziewczyna wywiązywała się wzorowo, nie robili jej problemów. Coraz więcej fuksów było w jej indeksie. Ale walczyła.

Czuła się coraz bardziej wyobcowana przez to, że nie uczestniczyła w życiu studenckim. Wiedziała, że żyje inaczej niż jej rówieśnicy, dla których każda okoliczność była dobra, żeby się bawić. Gromadnie wędrowali na Pola Mokotowskie i oddawali się błogiemu lenistwu, gdy tylko udało się zerwać z zajęć. A ona cieszyła się, że będzie miała więcej czasu na zrobienie obiadu, zdąży wstawić pranie, poprasować i odkurzyć, zanim odbierze dzieci z przedszkola. Dla lepszego samopoczucia, pod pretekstem misji społecznej w celu poprawy sytuacji demograficznej, wytykała koleżankom ze studiów, że przegapiają okres największej płodności, co nie robiło większego wrażenia na dwudziestokilkulatkach, które nie czuły jeszcze instynktu macierzyńskiego, za to miały pęd do zabawy, swobody, nauki i wolności.

Na piątym roku studiów – kolejna ciąża. Beata mimo stuprocentowej pewności, że jest w fazie lutealnej (przecież skok temperatury za nią, śluz mętny, a szyjka twarda jak orzech) – zaszła. Nie mogła pojąć, dlaczego tak się zawiodła na swoich gorliwych obserwacjach. W dodatku po USG szacunki lekarskie co do wieku ciąży zupełnie rozbiegały się z jakąkolwiek logiką i wskazywały, że do poczęcia doszło najprawdopodobniej dwa miesiące temu. Przez tyle czasu nie zauważyła, że jest w ciąży?! Pomyliła plamienia pierwszego trymestru z miesiączką? Było to dla niej totalną porażką.

Olaf był wtedy już trochę wykluczony z obserwacji i ślepo ufał w przyzwolenia lub zakazy żony. Stawał się coraz bardziej obojętny na seks. Tak naprawdę badanie szyjki i śluzów przestało go kręcić, a widok żony z termometrem w pochwie nie działał na niego mobilizująco. Obracał się na bok i zasypiał, zanim Beata naniosiła wyniki obserwacji na kartki kalendarza małżeńskiego, w którym notowała wiele objawów i prawie żadnych stosunków. Stąd trzecia ciąża była dla nich obojga dużym zaskoczeniem.

Na świecie pojawiła się Marcelinka, a Olaf zaproponował Beacie założenie spirali. Dla pewności i dla większej swobody, która wydała mu się całkiem atrakcyjną alternatywą dla reżimu kalendarza. Na propozycję mechanicznej antykoncepcji żona zareagowała bardzo agresywnie. „To wbrew Kościołowi, naturze i naszym zasadom!”, przypominała mu, urażona.

W końcu Beata, matka trojga dzieci, prezentująca poglądy wybitnie prorodzinne, ale przede wszystkim – prokreacyjnie ekologiczne, postanowiła przekuć swoją życiową filozofię w ścieżkę zawodową. Mimo natłoku codziennych zajęć udało jej się założyć koło naturalnego planowania rodziny przy swojej macierzystej uczelni, a popołudniami, gdy tylko mama zgadzała się zostać z dziećmi, prowadziła wykłady przy duszpasterstwie, w ramach nauk przedmałżeńskich. Jako przyszła lekarka nie musiała walczyć o autorytet swoich słuchaczek. Opowiadała o jajczkowaniu i odkrywała przed narzeczonymi piękno kobiecego cyklu. W jej słowach było tyle pasji, że każda z dziewczyn wracała do domu szczerze zainspirowana, żeby podjąć wyzwanie zgłębienia swojej płodności i sprawdzenia jej w praktyce w małżeńskim albo jeszcze przedmałżeńskim łożu. Wiele z nich za namową Beaty odrzuciło pigułki antykoncepcyjne i kondomy i zdało się na naturę.

Beata myślała o otworzeniu specjalizacji z położnictwa i ginekologii, ale jej rodzina niekoniecznie zniosłaby grafik dyżurów położniczych, więc po wspólnej naradzie z mężem wybrała mniej obciążającą specjalizację – medycynę rodzinną. Z perspektywy gabinetu POZ krzewiła w ludziach dobre postawy zdrowotne, a młode kobiety wspierała w podążaniu za głosem własnego ciała i przypominała im nie tylko o tykaniu, ale też o działaniu zegara biologicznego.

Zawodowo dużo rozprawiała o seksie, a tymczasem z roku na rok temperatura w jej łóżku stawała się coraz bardziej letnia. Mieli z Olafem wiele obciążeń kredytowych – mieszkanie, samochód, telewizor plazmowy i działka rekreacyjna, a i dzieci z wiekiem wymagały większych nakładów finansowych. Kolejna ciąża nie mogła im się teraz przydarzyć.

I nie przydarzyła się. Antykoncepcja, również naturalna, nie była im potrzebna. Po prostu stali się związkiem beznamietnym, a seks był już niemalże incydentalny. W takim zamrożeniu trwali przez kilka lat.

A teraz – kolejne poczęcie.

Ale już bez udziału Beaty.

– Jak to jest w ciąży? – Beata oburzyła się, ale na tyle cicho, żeby nie obudzić śpiących dzieci.

Olaf siedział w kuchni ze spuszczoną głową, nad talerzem z odgrzaną kolacją. Nie miał do dodania nic ponad to, co już powiedział.

Przydarzył mu się stosunek pozamałżeński. Z księgową – młodą, bardzo ładną, obiektywnie dużo ładniejszą i młodszą od jego żony.

Fakt, Beata trochę się zapuściła w ostatnim czasie, liczoną już w latach ich wspólnego życia. Intensywna praca i łóżkowa stagnacja oddaliły potrzebę nadmiernego troszczenia się o ciało. Ograniczyła zabiegi pielęgnacyjne do niezbędnego minimum, właściwie do podstawowych zabiegów higienicznych. Burza ognistych loków wciąż zachwycała, ale poza tym czas zrobił swoje: marszcząca się twarz z przebarwieniami, zmęczone spojrzenie, utyte biodra i ten nieforemny biust, wiotczący z wykarmieniem każdego kolejnego potomka. Dodatkowo zupełnie nieprzemysłana garderoba i nerwowość w gestach. To wszystko, zestawione z młodością i świeżością Majki, musiało wyglądać zniechęcająco.

Majka. Maja. Gówniara. Pracowała w firmie od roku, w księgowości. Była bardzo sumienna i zorganizowana. Urodę miała dziecięcą, delikatną, duże oczy, zadarty nosek, do tego figura z ogromnym potencjałem, choć co dzień nie eksponowała jej w żaden szczególny sposób; nosiła proste, niewyzywające stroje. Maja wszystko miała długie – blond włosy, nogi, szyję, dłonie. Smukła gazela. Beata, jak każda kobieta, ilekroć była w firmie, zwracała uwagę na urodę Majki. Nie przyszło jej do głowy, że Olaf też ją dostrzegał. A tu proszę. Nie był ślepy na jej wdzięki, mimo że dziewczyna nie starała się w żaden sposób nimi epatować.

Ciąża.

Beacie trudno było uwierzyć w to, co słyszy.

Jej Olaf, poczciwy mąż, rodzinny miś, tatusiek, partner, kanapowiec, ciepła klucha i skok w bok?

Zapewniał, że poza tym jednym razem między nim a Majką nic nigdy.

– Chcesz mi powiedzieć, że gdyby nie ta ciąża, w ogóle bym się o tym nie dowiedziała?! – Beata kipiła z wściekłości. – Co ci do głowy strzeliło, żeby zdradzać mnie i Boga, na Boga?! – Próbowwała na szybko znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, ale przychodziły jej do głowy tylko impulsywne rozwiązania. Miała ochotę wbić mu nóż w serce, wyrzucić go przez okno, powyrywać jego kurwie te długie kończyny i włosiska. Wzięła głęboki oddech, który powstrzymał ją od popełnienia przestępstwa w afekcie, ale dalej była wściekła.

W końcu Olaf przyznał, że ta ciąża to wypadkowa nieco większej liczby stosunków i nieco większego zaangażowania z obu stron.

– Maja i ja postaramy się tak to zorganizować, żeby nikt nie ucierpiał. Będę dbał o ciebie i dzieci. Zawsze będziecie ważni w moim życiu. – zadeklarował.

No zmysły chłop postradał!

– Jak to będziesz dbał?! – wrzasnęła Beata, zapominając o śpiącym potomstwie. – Co ty chcesz mi przez to powiedzieć?

Milczał. Po chwili zamieszał łyżką w talerzu.

– Dobra zupa, Beato – powiedział.

– DUPA! – Beata trzasnęła pięścią w stół. – Co ty chcesz mi powiedzieć przez to, że będziesz o nas dbał?! Jaka Maja i ty?! Nie ma żadnego „wy”! Jesteśmy rodziną – dodała ciszej, bo w drzwiach pojawiła się Andżelika. Rozczochrana, zaspana, zasmarkana.

– Mamo, dlaczego się kłóćcie? – spytała, siadając na kolana tacie. – Czy chodzi o mój test z matematyki?

– Nie, słoneczko – zapewniła Beata. – Wracaj do siebie i śpij. Matematyką się nie martw. Tatuś też był humanistą.

– Mam katar i ciężko mi się oddycha.

– Przyniosę ci sól do noska i olejek eteryczny. Wracaj do łóżka, słoneczko.

Świat stanął na głowie. Nic się nie zgadzało. Beata pamiętała Olafa z młodości – zakompleksiony facecik, z trądzikiem, w grubych brylach, którego sobie wychowała. A on jej wyciął taki numer! Już czuła

na sobie te oceniające spojrzenia, ból rodziców, rozstrój emocjonalny dzieci. Co ludzie powiedzą? Rozwód? Nie ma mowy! Nigdy! Co Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela! Tysiące myśli kłębiły się w jej głowie.

– Muszę... Muszę stąd wyjść – powiedziała, nie mogąc sobie znaleźć miejsca w kuchni.

Siłą wytargała śpiącego psa na spacer. Zwykle ochoczo skaczący przy drzwiach na widok smyczy, teraz patrzył na swoją panią z niedowierzaniem. W końcu dał się przypiąć i poszli razem do apteki nocnej, po sól morską i olejek eteryczny.

Przewietrzyć się. Ochłonać.

Po powrocie zastała Olafa wciąż siedzącego przy kuchennym stole. Kolacja dawno wystygła. Wyglądało na to, że na ostatnie pół godziny zapadł w letarg. W jakim kierunku szły jego rozważania? Niezależnie od tego Beata postanowiła kategorycznie ukierunkować jego myślenie na właściwy tor.

– Nie wiem, co ty sobie myślałeś, co ty teraz myślisz, ale masz się tym zająć – powiedziała chłodno i stanowczo. – Do końca tygodnia. Nie chcę słyszeć o żadnej Majce ani o żadnej ciąży. Nie chcę jej widzieć ani w firmie tatusia, ani w naszym życiu. Tutaj masz zamiary na ginekologa, doktor Ireneusz Skrobak, chłopak z mojego roku, to znaczy przed Marcelinką byliśmy na jednym roku, przez chwilę... Nieważne! Najważniejsze, że zajmuje się takimi rzeczami i bez skrupułów to skończy.

Beata wyszła z kuchni.

Olaf nie ruszył się z miejsca do północy.

W niedzielny poranek Beata założyła błękitną sukienkę o niewyszukanym kroju i rajstopy obciskające okolice talii i bioder, zrobiła makijaż, taki przypadkowy, byle trochę złagodzić kontrast przebarwień na twarzy i podkreślić płowiejącą oprawę zielonych oczu, a włosy ujarzmiła w kok. Dzieci odstroiła, warkocze dziewczynkom zaplotła i wpół do dziesiątej byli gotowi do wyjścia.

– Olafie, szykuj się, bo się spóźnimy – poganiała męża, który wciąż był w slipach, w stanie wymagającym prysznic, golenia i mycia zębów. – Śniadanie szybko chwytaj, my już zjedliśmy. Masz dziesięć minut!

– Nie idę dziś na mszę – rzucił.

– Jak to? Źle się czujesz?

Nie odpowiedział, tylko spojrzał na nią wymownie.

Dzieci podchwyciły bunt i zaczęły wołać, że też nie idą, że też nie chcą, że wolą pograć na play station i że nic się nie stanie, tylko raz, a tam i tak jest nudno, wypowiadają się potem, no a Patryk i jego rodzina w ogóle nie chodzą i dobrze się mają...

Beata szybko przywróciła je do porządku. Podniesionym głosem wyprawiła gromadkę przed blok, żeby czekały przy aucie, a potem podeszła do Olafa i rozkazała, żeby zachowywał się przyzwoicie i odpowiedzialnie. Ma doprowadzić się do porządku i dawać dobry przykład dzieciom. Ona sobie nie życzy takiego zachowania!

Brzmiała jak zwierzchnik, dyktator. Mógł tylko się podporządkować.

– A po mszy jedziemy do moich rodziców na proszony niedzielny obiad! – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Sprawnie rozbroiła bunt.

Olaf dotarł do łazienki, przeciągnął szyję żyletką, ścisnął krawatem i posłusznie udał się z rodziną do kościoła.

Niedzielny obiad u rodziców przebiegał w atmosferze rodzinnej sielanki, którą Beata doskonale odgrywała.

Urlop planują na sierpień, a w lipcu wyślą dzieci na kolonie, więc będą mieli trochę czasu tylko dla siebie. Wymieniają meble w kuchni i myślą o przeorganizowaniu salonu, tak żeby zmieścił się w nim większy zestaw wypoczynkowy, bo dzieci rosną i wszyscy muszą się zmieścić. A Michaś ma dziewczynę! To też był temat rozmów, choć młody wcale nie miał ochoty podejmować go przy stole.

– Nie ma czego się wstydzić, kochanie! To naturalne, że interesują cię dziewczęta! W twoim wieku to bardzo zdrowe. To tylko twój tata się uchował przez całą edukację bez żadnej sympatii u boku! – śmiała się Beata, głaszcząc obojętnego Olafa po karku. – A tu proszę, cicha woda... – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– A jak w pracy, kochanie? – dopytywała mama.

– Urwanie głowy! Niby lato, a pacjentów mam pełen grafik. Zresztą nie tylko swoich – sezon urlopowy, więc muszę obrobić też tych, którzy mają lekarza na wczasach. No ale ja też planuję urlop i moi pacjenci będą musieli szukać pomocy u innych lekarzy, więc godzę się na dodatkowe tłumy. Tato, byłabym zapomniana! Mam twoje recepty na leki nasercowe. Bierz je, proszę regularnie, żebyś nie miał żadnych przykrych incydentów. Źle jesz i to ciśnienie skaczące... A do tego tak ciężko pracujesz...

Sylwester i Anna, gospodarze niedzielnego obiadu, wymienili porozumiewawcze spojrzenia, jakby cały czas czekali na właściwy moment. I oto nadszedł.

– Tak właśnie myślę... myślimy z Anulką... – zaczął Sylwester, przyjmując recepty. – Coraz częściej rozważamy, żeby... nieco zwolnić.

– Czas na emeryturę! – zawołała entuzjastycznie Anna i wszystko stało się jasne.

– Olaf doskonale sobie poradzi z prowadzeniem biznesu, zna rynek, klienci kochają nasz sklep, hydraulicy w dalszym ciągu wolą się zaopatrywać u nas niż w dużych marketach... Myślę, że mogę spokojnie oddalić się na bok, pełnić funkcję... no nie wiem, mentora, honorowego dyrektora i oddać pałeczkę młodszemu pokoleniu. Synu – powiedział oficjalnie – teraz kolej na ciebie.

Beata klasnęła w dłonie. Olaf udawał zaskoczonego, choć wcale nie był. Widział, że teść oddaje mu po kawałku swoje stałe zadania, już dawno wtajemniczył go we wszystkie aspekty prowadzenia biznesu. Tak naprawdę od kilku lat był gotów, żeby prowadzić go samodzielnie.

Wszyscy zaczęli się obściskować i obcmokiwać, a Sylwestra naszło na sentymentalne wyznania: teraz jest czas, żeby zajął się sobą, swoim zdrowiem i swoimi wnukami, chcą z mamą pojeździć na wycieczki, jak na prawdziwych europejskich emerytów przystało. W końcu życie zaczyna się po siedemdziesiątce! I jest piękne!

– Teraz firma jest na prostej, Majeczka, nasza księgowa, bardzo pręźnie posprzątała w wydatkach i zoptymalizowała wiele kosztów. Dział obsługi klienta robi nam dobrą robotę, więc tu też porządek. Oddaję moją firmę w czasach jej świetności. Oddaję ją w dobre ręce, synu, tak jak kiedyś oddałem ci córkę – powiedział senior, ściskając Olafa, obecnego przy stole zaledwie ciałem. – To co? Możemy liczyć na kolejnego wnuka z tej okazji?

*

Beata tłumiała bóle głowy paracetamolem. Nasiliły się bardzo w ostatnim czasie, podobnie jak nocne moczenie Marcelinki. A już było tak dobrze! Przez te pobudki, zmiany pościeli, pidżamki, usypianki, rwany sen Beata chodziła niewyspana i pewnie dlatego głowa tak dawała się we znaki. I jeszcze ten psi jazgot o poranku, i wieczne kłótnie, kto dziś powinien wyprowadzić Atosa. Wszyscy oprócz Beaty chcieli psa, a do porannych spacerów – nikogo chętnego.

Siedziała w pracy. W swoim gabinecie w kolorach mydlanych, którego wystrój wymagał już odświeżenia, ale w przychodni nie było na to funduszy. Wstawili jej za to komputer i teraz musiała wszystkie wizyty dokumentować elektronicznie, co było dla niej dodatkowym wyzwaniem. Zawsze była na bakier z technologią. Przełamywała się bardzo opornie. Wolała papierową dokumentację i długopis. Od nich przynajmniej nie bolała głowa. A tu jeszcze system co chwilę próbował jej udowodnić, że zna się na medycynie lepiej niż ona! Mądrył się, wyrzucając jakieś komunikaty.

Błąd dawkowania!

Niepoprawny kod ICD choroby!

Sprawdź interakcje lekowe!

Niedouczona lekarzyno!

Twój mąż cię zdradził!

I ta boląca głowa ...

Gderała jej baba o swoich drętwieniach i bólach prawej ręki. To była jedyna dolegliwość dziewięćdziesięciolatki, o której mówiła z miną tak zboląłą, jakby co najmniej właśnie rodziła albo rozsiany nowotwór zżerał jej narządy. Wspólnie doszły do wniosku, że to może przez forsowanie dłoni wyczynowym szydełkowaniem, które kobieta uprawia od siedemdziesięciu lat z niezmienną aktywnością. Może czas zwolnić z produkcją serwet i zasłon z kordonka? Pacjentka nie przystała na tę propozycję. Poprosiła o leki przeciwbólowe, silniejsze, na receptę, nie takie zwyczajne z reklamy. Dostała. Plus osłona żołądka. Wychodząc, wręczyła ulubionej lekarce komplet dwóch serwetek, ślicznych, z motywem liści, i dodała, że „nie wszystek umrze”.

Potem przysłała młoda dziewczyna, świeża mężatka, po zwolnienie na kilka dni, bo boli ją podbrzusze i ciągle chce jej się siusiu, a jak już siedzi na kibelku, to w bólach rodzi zaledwie kilka kropel...

– Ma pani chorobę miodowego miesiąca – zawyrokowała Beata, wypisała zwolnienie, antybiotyki, kazała dużo pić i życzyła dziewczynie nie tylko udanego miodowego miesiąca, ale też miodowych lat.

Kolejnego pacjenta dopadł kleszcz. Hodował skurczybyka na swojej krwi przez ponad dobę. Zrobił się odczyn alergiczny, raczej nie była to borelioza, nie wyglądało na rumień wędrujący, ale kto wie? Przyszedł z pajęczakiem przytwierdzonym do skóry, pod kolanem. Dyndał jak dorodny, uszypułowany pieprzyk. Beata wprawnie usunęła kleszcza. To już siedemnasty w tym roku, a był dopiero początek sezonu.

– Mógł pan zrobić to wcześniej, sam – pouczyła chłodno. – W aptece są zestawy do usuwania kleszczy, a i pęsetą się da.

– Ale ja nie sięgam za kolano – odparł mężczyzna. – Mając do wyboru czteroletniego syna, żonę z owadofobią, ślepego teścia i permanentnie nietrzeźwego szwagra, postanowiłem wybrać panią.

Następny pacjent, stały bywalec, po przejściach sercowych, od progu machał kartą wypisową z szacownej kliniki kardiologii. Z epikryzy wynikało, że lekarze po analizie wywiadu chorobowego i wyników wykonanych badań kardiologicznych zakwalifikowali go do wszczęcia w trybie planowym nawigacji satelitarnej. Umówili termin, a pacjent zachodził w głowę, o co chodzi. Czy chcą go śledzić? Czy to jakieś nowe metody CBA? A może to jego żona im kazała?

Beata uśmiechnęła się. Ktoś tu musiał być bardzo zmęczony, jeszcze bardziej niż ona. Z całą pewnością w trakcie pracy myślał o czymś innym. Może konfigurował sobie nowe auto? Pod wypisem podpisany doktor, a tuż obok szef kliniki, obaj bardzo szacowni i utytułowani. I z pewnością bardzo przepracowani.

– Dziękuję, zapraszam ponownie – powiedziała w którymś momencie, jak pracownik kasy w supermarkecie. – Następny!

– Pani doktor, ja jestem pacjentką doktor Iwony, która zazwyczaj przyjmuje w gabinecie obok, ale jest na urlopie, mój ginekolog też ma wolne, a mi się skończyły tabletki antykoncepcyjne. Biorę je regularnie

od półtora roku. Przepisze mi pani?

To była jedna z tych sytuacji, w których Beata spełniała misję. Nabrała powietrza w płuca, wyprostowała się za biurkiem, nad jej głową pojawiła się aureola, a potem oznajmiła:

– Ja takich rzeczy moim pacjentkom nie przepisuję.

– E, ja... Za chwilę wyjeżdżam na pół roku i potrzebuję zapas tych tabletek. Co mam zrobić? Iść prywatnie?

– Nie wiem, co pani robi, to już nie moje zmartwienie. Może ktoś to pani przepisze w jakimś prywatnym gabinecie, ale na pewno nie ja.

– Za cenę wizyty w prywatnym gabinecie mogę kupić pięć opakowań tych tabletek... Przyszłam do pani, ale skoro pani mi nie może. Dlaczego właściwie? Skoro pani doktor Iwona może...

– Nic się pani nie stanie, jak powstrzyma się pani od współżycia do momentu, aż pani lekarze wrócą z urlopu. Poza tym to dobra okazja, żeby się nauczyć swojego cyklu miesięcznego. Proszę, tu są ulotki z podstawowymi informacjami o naturalnych metodach. – Gestem odprawiła pacjentkę. – Taka młoda, a już się truje antykoncepcją... Co za czasy... – mruzczała pod nosem.

Dziewczyny nie było stać na kontrę, na polemikę, na prywatną wizytę, na dziecko tym bardziej. Speszona, wyszła bez słowa, przekonana, że lekarz tak może. Beata też była przekonana, że tak może.

Młodzi, starzy, chorzy, zdrowi, do szesnastej przyjęła takich dwudziestu ośmiu, a po szesnastej pięciu z kategorii „tylko”. Po receptę. Po zwolnienie. Po zaświadczenie. Po poradę.

Po godzinach.

Po pracy – telefon do mamy. Dzieci, odebrane ze szkoły i z przedszkola, siedzą z babcią, która streszczała przebieg dnia. Andżelika jest zagrożona z matematyki. To bardzo upokarzające, bo wszystkie koleżanki mają trójki albo czwórki, a pała na koniec roku grozi tylko jej i kilku chłopakom. Nikt w klasie nie ma piątki. To niedopuszczalne, zdaniem babci, żeby tak stresować dzieci w gimnazjum.

– Na twoim miejscu, córciu, poszłabym do tej nauczycielki i powiedziała jej, co myślę o jej metodach! Na pewno uwzięta się na Andżelę!

– Bardzo prawdopodobne! – podchwyciła Beata. – Korepetytorka Andżeli mówi, że ona nie powinna mieć problemów z matematyką i umie co najmniej na trzy plus. A to nie byle jaka korepetytorka. Bierze sześćdziesiąt złotych za godzinę! – ekscytowała się, idąc z przychodni do auta.

– Wierzę, że mała umie, ale... ona mi tu cały czas płacze...

– To ją uspokój. Powiedz, że mama wszystkim się zajmie. Jutro pójde do dyrektorki i dowiem się, co w tej sprawie da się zrobić. Zdaje się, że lecę jej teścia w przychodni... A co u Marcelinki?

Marcelinka w przedszkolu znowu się zmoczyła, nie miała majtek na zmianę, więc panie założyły jej pieluszkę pożyczoną od maluchów. Bardzo się wstydziła tej pieluszki, ale babcia już zaradziła smutkom i kupiła nowe majteczki, cały pięciopak.

– A Michałek był tu ze swoją dziewczyną. Co o niej myślę? Hmm... Ma orli nos, taką trochę żydowską urodę, ale to przecież nie mnie ma się podobać... Odprowadził ją do domu, a teraz z dziadkiem jest i coś tam w firmie chyba pomaga. Kolejne pokolenie wyrosło! On już wyższy od Olafa jest...

– A właśnie – zreflektowała się Beata. – Jest tam gdzieś Olaf?

– A nie. Olaf dziś poza biurem, chyba pojechał z księgową złożyć jakieś wyjaśnienia w urzędzie skarbowym czy coś. Widziałam go w porze lanczu, jak im przyniosłam gołąbki do biura. Właśnie się zbierali z Mają do tej skarbówki... Jakieś sprawy mają.

– Ach, tak... Dobrze. Rozumiem. Odbiorę dzieci wieczorem. Do zobaczenia! – zakończyła rozmowę Beata.

Olaf odebrał telefon po pierwszym sygnale.

Co robił? Zajmował się „sprawą”. Poszedł po rozum do głowy. Zrozumiał, takie przynajmniej sprawiał wrażenie, jak wiele zawdzięcza żonie, jak wiele ma do stracenia i kto mu dzieci urodził. Beata przypomniła mu to wszystko w trakcie awantury.

Był właśnie z Mają u tego doktora, którego wskazała im Beata. Znajomy ze studiów, Ireneusz Skrobak. Zawsze było po nim widać, że to będzie gangster, nie lekarz, tak przynajmniej uważała Beata.

Nie poświęcał zbyt wiele czasu na naukę, nadmiernie inteligentny też nie był, ale mimo to miał świetne oceny. Rządził akademikiem, zrobił sobie sieć kontaktów międzygrupowych, międzyrocznikowych, i sprawnie zdobywał informacje, do kogo warto się zapisać na egzamin, kogo należy bezwzględnie unikać, jaki kolor koszuli lubi profesor Jabłońska, a to czasem była cenniejsza wiedza niż ta podręcznikowa. W jego posiadaniu były klucze do wielu testów, którymi dzielił się z wybranymi studentami, ale nigdy nie dopuszczał, żeby ktoś miał wersję kompletną. Byłoby podejrzane, gdyby nagle zbyt duża liczba osób udzieliła stu procent prawidłowych odpowiedzi. Dla niepoznaki sam Irek robił błędy w kilku pytaniach i zadowalał się czwórką z połówką. Wykładowców zawsze potrafił przekonać, że wie więcej, niż mówi. Wierzyli mu. Dużo kiwał głową, sprawiał wrażenie kompetentnego i zorientowanego.

Ginekologiem został z miłości do cipek, tak twierdził. Od kiedy zrobił specjalizację, prowadzi świetnie prosperujący prywatny gabinet. Beata wielokrotnie słyszała opinie na temat jego podejścia do pacjentek. Stare babcie nazywał „młodymi damami”, swoje równolatki przekonywał, że tam, na dole, wyglądają jak nastolatki, a zanim zbadał młodą dziewczynę, prowadził z nią długą rozmowę, niczym grę wstępną, która sprawiała, że samo badanie było już tylko formalnością, niekrepującym dopełnieniem sympatycznej wizyty. Kochały go. Wszystkie – bez względu na wiek i ginekologiczny problem.

A w międzyczasie, zgodnie ze swoim sumieniem i zupełnie wbrew stanowionemu prawu, pomagał w krótkim czasie od przekroczonego terminu miesiączki bezpiecznie ją wywołać, jeśli pacjentka miała ku temu jakiegokolwiek powody.

Beata bardzo go za to potępiała.

– Maja jest w gabinecie – powiedział Olaf. – Odwiozę ją potem i wrócę... do domu. O ile oczywiście będzie w takim stanie, żeby zostać sama...

– Oczywiście, że będzie! – zdecydowała surowo Beata. – Niech się nad sobą nie rozczula. Dostanie leki przeciwbólowe i da radę. Czekaamy na ciebie w domu z partyjką scrabli.

Odetchnęła z ulgą, choć głowa znów zapulsowała. Wzięła kolejną tabletkę.

Z konta zniknęły trzy tysiące, z macicy Mai zniknie bękart, a ich małżeństwo niebawem znów będzie wzorowe, przykładne. Życie wróci do normy.

– Drodzy państwo, Bóg skonstruował wasze ciała w taki sposób, żebyście wszyscy mogli zrealizować jego plan, ale wcale nie jest powiedziane, że dla każdego z was przewidziany jest taki sam plan! Jednym dane będzie stać się rodzicami, inni w oczekiwaniu na potomstwo mogą natrafić na inną drogę, której nigdy by nie odkryli, gdyby nie prokreacyjne zmagania. Przestrzegam was przed naginaniem woli Boga. Strońcie od sztucznej antykoncepcji, od in vitro i szanujcie każde życie, którym Bóg was obdarzył! Słuchajcie swoich ciał, słuchajcie siebie nawzajem, słuchajcie Boga – mówiła z pasją Beata. – Kończąc nasze nauki, zachęcam was do wyteżonej refleksji. Już niebawem spotkacie się w małżeńskim łóżu. Tylko od was zależy, czy zaprosicie do niego Jezusa!

– Ho, ho! Lubię trójkąci! – krzyknął jakiś facet z bocznej nawy, na co natychmiast dostał karcącego kuksańca od partnerki. – Auć! – rozbrzmiało w kościele.

Beata oddała głos ojcu Alfredowi, który zgrabnie podsumował nauki dla narzeczonych, i rozstali się z kolejną grupą kursantów. Od wielu z nich otrzymali osobiste podziękowania za liczne drogowskazy na małżeńskie życie. Inni wyszli pospiesznie, zadowoleni, że mają podbity papier i kolejną przedślubną formalność z głowy.

– Doskonały wykład, Beato – powiedział ojciec Alfred.

– Te słowa, które ojciec kieruje do młodych, powinni sobie odświeżać co jakiś czas wszyscy małżonkowie! – odparła żarliwie. – Widzę głęboki sens takich rekolekcji we dwoje w naszym duszpasterstwie. Wiele par zapewne by skorzystało. Tyle różnych przeszkód może stanąć na drodze miłości uświęconej przez Boga... Czasem jest lepiej, czasem gorzej, trzeba to przetrwać, razem, trzeba być silnym...

Ojciec Alfred, spowiednik i wieloletni przyjaciel Beaty, który udzielał ślubu jej i Olafowi, a wcześniej pomógł w szybkim zdobyciu sakramentów przez przyszłego męża, chrzczył ich dzieci i co niedzielę uśmiechał się do całej rodziny, która zasiadała na przedzie, w bocznej nawie, wyczuł w słowach parafianki wątek osobisty. Od razu zaproponował spacer i rozmowę. Podziękowała jednak. Powiedziała, że wystarczy jej chwila modlitwy, po czym rozstali się, wymieniając serdeczności.

Duchowny wyszedł z kościoła przez zakrystię, a Beata pokłęczała chwilę, patrząc na figurki świętych, którzy jakoś tak złowrogo na nią łypali, zupełnie nieprzyjaźnie. W kościele było przyjemnie – chłodno, cicho, spokojnie. Nie spieszyło się jej do wyjścia. Tylko te figurki tak patrzyły...

Odszukała młodego księdza, Mirosława, takiego świeżo po święceniach, i poprosiła go o spowiedź.

Wyszła z kościoła z czystym sumieniem. I z bólem głowy większym niż kiedykolwiek.

*

Po przejściu firmy od teścia Olaf wcale nie miał ani więcej pracy, ani więcej obowiązków, ani więcej pieniędzy. Przejście Sylwestra na emeryturę nastąpiło bardzo płynnie dla firmy, a dla Olafa prawie niezauważalnie. Zastanawiał się tylko, jak szybko może sobie pozwolić na rewolucyjne zmiany, których wcześniej nie miał odwagi forsować. Myślał o rozkręceniu sprzedaży internetowej, do której teść był nastawiony bardzo sceptycznie, żeby nie powiedzieć – wrogo.

W pierwszym tygodniu swojego zasłużonego odpoczynku Sylwester pojechał z żoną na wakacje do Turcji, w drugim – do Francji, w trzecim do Rzymu, a gdy wrócił z emeryckich wojaży, pojawił się w sklepie, żeby wypić kawę, pochwalić wszystkich, że świetnie sobie radzą bez niego, i popieścić swoje ego wiadomościami, że wszystkim bardzo go brakuje.

– A gdzie Majeczka? – spytał, bo jedynie od niej nie usłyszał jeszcze żadnego ciepłego słowa. – Urlop wzięła?

Niektórzy wymijająco wrócili do swoich zajęć, inni nabrali wody w usta, ktoś tam wycedził pod nosem coś, że zachorowała, na ciążę, rzuciła zwolnieniem i nie będzie pracować aż do rozwiązania, a po macierzyńskim wróci albo nie wróci, bo umowę miała na czas określony i wszystko zależy... od szefa.

– A dlaczego miałyby nie wrócić? Nie pozbywamy się tu takich dobrych pracowników tylko dlatego, że życie osobiste im się nie układa! Szef mówi, że Maja wróci! – powiedział Sylwester kategorycznie.

– Nowy szef? – zapytała cicho Ela, podając staremu szefowi ulubioną kawę.

– Nie straszcie mi tu naszych pracownic! My tu takich praktyk nie stosujemy. My się cieszymy z każdego dziecka, drogie panie. Każda ciąża to dla naszej firmy wielka radość. Olaf, rozumiesz coś z tego? A Maja w ogóle jakiegoś męża będzie miała dla tego dziecka? Myślałem, że to taka panienka na wydaniu, co to dopiero się rozgląda, a tu proszę!

Stary szef, Sylwester, był chyba ostatni w firmie, który ani nie wiedział, ani się nie domyślał. Kilka

miesiący temu Ela nakryła Maję i Olafa na zapleczu, jak między rurami i uszczelkami robili sobie nawzajem dobrze. Wieść szybko się rozeszła, bo to mała firma, hermetyczne środowisko. Potem, nawet jak się kryli, to robili to mniej niż nieudolnie. Majeczka, która miała aparycję bardzo dziewczęcą, niewinną, ilekroć odbywała stosunek z Olafem, chodziła z wypiekami na twarzy przez pół dnia. A i on nie mógł odpuścić sobie pożądlivych spojrzeń, gdy przechadzała się po sklepie, przebierając tymi długimi nogami w płaskim bucie, kołysząc drobnymi biodrami odzianymi w byleco... Czuł się jak szczeniak na szkolnym korytarzu wpatrujący się w klasowe boginie, tyle że jako czterdziestolatek był odważniejszy, mądrzejszy, choć w sumie może głupszy, ale przede wszystkim był świadomy swojej męskości. A ona zdawała się nie być świadoma swojej kobiecości, którą on tak chętnie przed nią odkrywał i...

I nagle Majeczka jest w ciąży. Na zwolnieniu. Plotkowali o tym wszyscy.

– To będzie moje dziecko, tato – tymi słowami Olaf wtajemniczył teścia w swój romans z księgową. Uświadomił mu, że zdradził jego córkę.

Wszyscy pracownicy cichaczem rozeszli się do swoich zajęć, udawali, że nie słyszą, że wcale nie podsłuchują.

Sylwester się nadał, poczerwieniał, poprosił zięcia na zaplecze. Byli teraz sam na sam.

– Wpadliśmy z Majeczką, pogubiliśmy się z Beatą, no ale już wszystko wychodzi na prostą. Beata i ja postanowiliśmy to przetrwać. Jakoś... Majka jest dzielna i też próbuje się w tym wszystkim odnaleźć... – tłumaczył pokrętnie Olaf.

Teść wpadł w furję. Rzucił kurwami, trzepnął zięcia po twarzy, raz, drugi, w końcu Olaf odskoczył, unikając kolejnych ciosów. Sylwester upadł na podłogę, ściskając dłoń w pięść w okolicy mostka. Zdążył jeszcze wycedzić przez zaciśnięte zęby:

– Ty-gno-ju-par-szy-wy! Jak syna cię kochałem! Miałeś mi robić wnuki, a nie rozchlapywać spernę! Nikt cię nie nauczył używać kondomów?!

Potem stracił przytomność. Nie odzyskał jej mimo masażu serca, mimo że karetka przyjechała za niespełna dwie minuty, mimo że bez zwłoki zrobili defibrylację jedną, drugą, trzecią, leki podali... Na ekranie pojawiła się ciągła linia, głuchy dźwięk, nic nie dało się zrobić. Gdy przestali, Olaf jeszcze uciskał klatkę teścia. Bezskutecznie.

Pomimo ogromnego bólu głowy Beata zdołała podźwignąć się z łóżka, założyć sukienkę, pończochy, zrobić makijaż i ułożyć włosy. Dziewczynki się odstroiły, ale na polecenie warkoczy było zdecydowanie za późno. Olaf wyprowadził Atosa, już było słychać, jak wracali po schodach z szybkiego spaceru. Zawsze wybierali schody, choć obok winda. Beata nie mogła tego zrozumieć, piąte piętro przecież!

– Gotowi? – Olaf zwrócił się do rodziny, która stała przy wyjściu. – No to jedziemy!

W aucie podkręcili klimatyzację, bo dzień był upalny. Jechali do kościoła podziękować za bezpieczne wakacje, które dobiegały już końca, poprosić Pana Boga o pomyślny kolejny rok szkolny i pomodlić się w intencji zmarłego dziadka.

– Tato? A kiedy się urodzi ta twoja dzidzia? – spytała Andżelika.

Beata ścisnęła usta w ciup.

– No... Jakoś chyba w styczniu albo jeszcze w grudniu – odparł Olaf. – Właściwie to termin jest na trzydziestego pierwszego grudnia, czyli w noc sylwestrową.

– A kto to będzie dla nas? Siostra czy brat? – dopytywała Marcelinka.

– Przyrodnia siostra albo brat.

– Hura! Nie będę już najmłodsza – ucieszyła się.

– No tego już za wiele! – krzyknęła Beata. – Nie żadna siostra czy brat, tylko dziecko taty! Nieślubne,

z nieprawego łoża! Czy może raczej z zaplecza firmy – dodała ciszej. – Zwykły bękart!

– A możemy je nazwać Zuzia, a nie bękart? Proszę! Zawsze chciałam mieć siostrzyczkę Zuzię – jęczała Marcelinka.

– Masz siostrzyczkę Andżelikę – ucięła Beata.

– Ale ja chciałam mieć młodszą siostrzyczkę!

– A jak będzie chłopczyk i urodzi się w sylwestra, to można mu dać imię po dziadku – zaproponował Michał.

– Tego już za wiele! – wrzasnęła Beata. – To nie będzie żadna rodzina dziadka, żeby jakieś obce dziecko miało nosić po nim imię! Ty się skoncentruj na prowadzeniu, a wy róbcie w głowach rachunek sumienia, czy możecie z czystym sercem podejść do komunii!

Po mszy dzieci gdzieś się rozpierzchnęły. W pobliżu były plac zabaw z trampoliną i cukiernia, do której postanowili się udać, zamiast tradycyjnego niedzielnego obiadu u rodziców Beaty, z których owdowiała Anna na jakiś czas zrezygnowała.

Anna była w głębokiej żałobie, z której nie mogła się pozbierać. Jeszcze za wcześnie. Mieli zacząć nowe życie, ta emerytura miała być początkiem ich drugiej młodości, przypieczętowaniem zgodnego, czterdziestoczworoletniego związku. Wszystko jej się posypało i nie była gotowa na powrót do codzienności. Wciąż przyjmowała psychotropy, wciąż rozpamiętywała okoliczności śmierci i myślała, jak można było jej zapobiec. Ten temat wypełniał wszystkie jej myśli.

– Mówiłam mu: nie idź do tej pracy, odpoczywaj – wspominała przy ostatnim spotkaniu. – Ale on uparł się, żeby was odwiedzić, zobaczyć, jak wam interes idzie, no i tak go ta wizyta podnieciła, że jak widać, no właśnie... Mógł nie iść. Mógł zostać w domu. Powiedz mi jeszcze raz, jakie były jego ostatnie słowa...

– Kondom – wycedził Olaf, na co Beata szturchnęła go karcąco.

– Słucham? O czym była jego ostatnia rozmowa?

– O biznesie. – Olaf bez wahania powtarzał od tygodni to samo kłamstwo, którego żaden z pracowników firmy nie odważył się zdementować. – O biznesie i wspaniałych wakacjach, które razem przeżyliście.

Anna uśmiechała się na te słowa, ale potem fala depresji wracała i znów pytała, myślała, rozważała, co by było, gdyby mąż do tej pracy nie poszedł.

Beata też rozważała. Co by było, gdyby brzucha Majki nie było.

Sączyła kawę i patrzyła na swoją rodzinę.

Na orli nos dziewczyny Michała, z którą rozmawiał po mszy. Miała nadzieję, że to czysty, platoniczny związek. Dobrze wychowała syna, ale na wszelki wypadek postanowiła poprosić męża, żeby porozmawiał z nim o „tych sprawach” i uświadomił, że jeśli seks, to tylko w małżeństwie. Chociaż może Olaf nie byłby zbyt wiarygodny w tej roli. Sama powie o tym Michałowi! Chociaż... chłopak liczyć umie i wie, że ślub brali już po tym, jak go spłodzili... Ech. Może jednak sam wie, co ma robić?

Andżelika taka duża, okres dostała przedwczoraj. Szewc bez butów chodzi! Własnej córce zapomniała opowiedzieć o cyklu, przeskolić ją stosownie do wieku, wtajemniczyć w płodność jej ciała. Musi nadrobić te rozmowy w tempie ekspresowym, bo Andżelika na miesięczkę zareagowała płaczem i miała poczucie jakiejś ciężkiej choroby.

Marcelina na trampolinie. To już dwunasty suchy dzień i noc w kalendarzu. Może wreszcie koniec moczenia?

No i Olaf. Ciągle przy niej. Mimo ciąży Majki. A ona przy nim. Mimo ciąży Majki.

– Nie mieszaj dzieciom w głowie, proszę – szepnęła Beata, trzymając Olafa pod rękę, ale z dystansem, gdy w przykościelnej cukierni stali w kolejce po ciasto na niedzielne popołudnie. – Spotkali ojca Alfreda, który zamawiał swoje ukochane lody miętowo-cytrynowe, rozpusta! Jak zawsze wykazał się kunsztem sztuki oratorskiej, a przy tym tak mądrze mówił o miłości, cierpliwej, która wszystko znosi i wszystko przetrzyma. Wygłosił poruszające kazanie, które Beata żarliwie skomplementowała. Wszyscy życzyli sobie miłego dnia, szczęść Boże, udanej niedzieli. – Twój bachor, twoja sprawa. Niech dzieci sobie nie zakodują, że to jest właściwy model rodziny – mówiła, wciąż szeptem, ale z goryczą w głosie. – W poniedziałek zerwij się na chwilę i pojedź z Andżeliką po podręczniki, bo ja pracuję do dwudziestej.

– W poniedziałek nie mogę. Do siedemnastej muszę być w firmie pozałatwiać sprawy... A potem obiecałem Mai, że zawiozę ją na wizytę do ginekologa. Ten polecany przez ciebie lekarz bardzo przypadł jej do gustu.

Po tym jak przywieziona na podziemną skrobankę Maja rozlała łzy, że dziecka nie planowała, ale aborcji nie chce, Skrobak ze zrozumieniem przyjął jej decyzję i zadeklarował, że bardzo szanuje jej wybór, tym bardziej znając skomplikowaną sytuację pacjentki. Zaoferował prowadzenie ciąży, dyskrecję i wszelką pomoc. Między nimi było chyba nawet coś więcej niż relacja lekarz–pacjent. Olaf musiał zaakceptować tę sytuację.

Beata też.

– Ach, to teraz tak będzie wyglądało nasze życie! Potrzeby Mai będą ważniejsze od potrzeb naszych dzieci, naszej rodziny... – mówiła z wyrzutem.

– Kupię te podręczniki we wtorek. Obiecuję – zapewnił Olaf, gdy przesunęli się bliżej kasy sklepowej.

Beata wyciągnęła z torebki ciemne okulary, bo oczy zaszyły jej łzami. Nawet okulary jednak nie zdołały ukryć smutku i żalu, które ją przepełniały.

– Wstyd mi – szepnęła ledwo słyszalnie. – Wstyd mi bardzo.

Olaf objął ją i pocałował w czoło.

– Poproszę pół kilo sernika krakowskiego, pięć ptysiów i to czarne ciasto z wiśniami... – powiedział, wyliczając wcześniej upatrzone i wybrane wraz z Beatą pyszności. – A tak na teraz... Beata, może strzelimy sobie po lodzie, co? – Przytulił żonę mocniej.

Ekspedientka nakładała kulki do wafelków, a Olaf szepnął do Beaty, że bardzo, naprawdę bardzo ją kocha.

Ela i Ala

Dzisiaj jest pełnia, a ja mam dyżur.

W pełnię pękają pęcherze płodowe i rodzi się dużo dzieci. A ja mam dyżur właśnie tej nocy. Niby przesąd, ale statystycznie rzecz biorąc, naprawdę moc księżyca koreluje z liczbą narodzin.

Jak sobie wyobrażam poród doskonały? Odbywa się w nocy, jest to jasna noc, z takim okrągłym superksiężycem za oknem. Jest cicho, głucho, i co jakiś czas słyhać pojękiwanie. Nie ma żadnych dźwięków aparatury. Gwiazdy migoczą, na brzuchu, na szczycie skurczu spoczywają splecione dłonie ukochanej osoby i rodzącej. I tak powoli, w coraz krótszych cyklach, docierają do punktu, w którym ciszę nocy maści jęk matki, a chwilę później głośny pierwszy oddech dziecka. Po wszystkim kobieta zasypia z noworodkiem przy piersi i budzi się rano, już jako matka. Budzi ją spokojne kwilenie pachnącego dzieciątka, które pragnie tylko bliskości.

W wersji idealnej tak to powinno wyglądać. Ale tu, gdzie pracuję, nawet pełnia nie niesie ze sobą magii. Może dlatego że białe roletki w oknach minimalizują oddziaływanie księżyca. Ale porodów i tak jest dużo więcej niż innych nocy, więc roboty będzie sporo.

Nie pośpię dzisiaj.

Miałam za sobą intensywny dzień: zakupy w poszukiwaniu butów – srebrnych baletek na płaskim obcasie. Srebrnych, nie szarych. I koniecznie płaskich, bo partner do poloneza jest o ćwierć głowy niższy od mojej Młodszej Córkę. W międzyczasie kupiłyśmy jedzenie, papier toaletowy, podświetlany globus, kątomierz, tampony mini, midi, maxi i szampon do włosów kręconych, cienkich, farbowanych i przetłuszczających się – czyli łącznie cztery różne szampony, bo każda z nas ma inne włosy. Potem zawiozłam Starszą Córkę do szkoły muzycznej, a po drodze musiałam się zmierzyć z jej buntowniczym fochem, wycelowanym w edukację muzyczną, którą rzuca już po raz piąty, choć jak dotąd czterokrotnie, zupełnie dobrowolnie, do niej wracała.

– Nie chce mi się tego robić. Nie chce mi się tu przyjeżdżać każdego popołudnia! Nie chce mi się ćwiczyć! Nienawidzę altówki! I fortepianu też! Nienawidzę audycji muzycznych! Nienawidzę muzyki!

– No to się wypisz – mówiłam, nie chcąc stać w opozycji do jej planów, bo pewnie spotęgowałabym tylko jej niechęć.

– No to się wypiszę! I jeszcze ta głupia Żakowa. Uwzięła się na mnie! Ciśnie mnie jak nie wiem...

– Myślę kochanie, że tak cię ciśnie, bo wie, że stać cię na więcej.

– Ty też mnie ciśniesz!

– Ja cię nie cisnę. Jak chcesz, możemy wracać do domu. Wypisz się. Nawet lepiej. Mi też się nie chce codziennie cię tu dowozić, przywozić, czekać na ciebie. Zaoszczędzimy na paliwie, na podręcznikach, płytach. I będzie cisza w domu.

Do skrzyżowania dojechałyśmy w ciszy. W lusterku zerkałam na jej minę, była nadąsana. Siedziała z tyłu, bo gdzieś wyczytała, że za kierowcą najbezpieczniej, i odtąd nie godziła się na siedzenie z przodu.

Zatrzymałam się przed szkołą. Wzięła futerał z altówką, trzepnęła drzwiami i wyszła bez słowa.

– Alicja przyjedzie po ciebie o dziewiętnastej! – krzyknęłam. – Cześć! – mówiłam do pleców oddalającej się postaci o posturze nastolatki. – Kocham cię – dodałam, już tylko do siebie.

Dzisiaj ładna data – urodziny miesiąca. Przed nami piękna noc, cudowna, by przywitać na świecie nowych ludzi. Jeszcze tylko kawa, chwila relaksu i zniknę z domu na pół doby, żeby z mamy przeistoczyć się w kipiącą energią położną.

Kawę wypiliśmy z Alicją. Jest największą kawoszką pasjonatką, jaką znam. Namówiła mnie na zakup ekspresu i co chwilę zapełnia go ziarnami z wyszukanych zakątków świata, z najlepszych plantacji. Arabica, aromatica, crema. Alicja zawsze pije czarną, nigdy nie mąci jej smaku żadną słodyczą ani nabiałem.

– Wiesz, że Sam i Arnold już planują kolejne dziecko? – zapytała w oczekiwaniu na proces mielenia i parzenia kawy, zapoczątkowany kliknięciem guzika.

– Naprawdę? Nie miałam pojęcia, że tak im się spodoba rodzicielstwo!

– Podobno Arnold zwariował na punkcie tego szkraba. Nosi je non stop przy sobie, chodzi na warsztaty o rodzicielstwie, a nawet... kupuje za grubą kasę naturalne mleko. Wyobrażasz to sobie? On. Arnold. No odbiło mu! Sam się martwi, że jeśli nie będą mieli szybko kolejnych dzieci, zamęczy tego ich synka rodzicielską nadgorliwością. Twoja kawa. – Wręczyła mi aromatyczny kubek. – Tak jak lubisz, latte z syropem pomarańczowym i cynamonem. Spakowałam ci kanapki z łososiem i sałatkę z mango na dyżur.

– Jesteś kochana.

– A ty piękna!

– A ty kochana i piękna! – Wysłałam jej w powietrzu buziaka. – Olga kończy o dziewiętnastej. Odbierzecie ją?

– Oczywiście. W drodze powrotnej zabieram dziewczynki do kina.

– Już wam zazdroszczę!

– Rano, jak wrócisz, już mnie nie będzie, ale zostawię ci coś pysznego na śniadanie.

– Jesteś wspaniała!

– A ty piękna!

– A ty wspaniała i piękna!

Tymczasem Młodsza Córka mierzyła swoje baletki i uznała, że do imprezy koniecznie musi je rozchodzić. Przechadzała się w nich więc po salonie, a my sączyliśmy kawę i cieszyliśmy się każdym łykiem, każdą minutą naszego czasu razem.

Godzina 19:00 – przejęłam dyżur.

Tego dnia pełniłam go z Mariolką. Fajna babeczka, ogarnięta, szybka, krzykliwa, zdecydowana, a przy tym naprawdę zna się na rzeczy. Z wyglądu – kuleczka, z gadki – katarynka, z zamiłowania – hodowczyni piesków miniaturowych. Gdybym kiedykolwiek miała rodzić, z pewnością to ona odbierałaby mój poród. Ten doskonały poród – w świetle księżyca. Ewentualnie zrobiłabym to sama, przed lustrem. Ze wsparciem Ali. Ale jeśli już koniecznie z położną – to tylko z Mariolką.

Ze strony lekarzy w grafiku dyżurowym miałyśmy dwuosobowy skład kontrastów: Skrobak i Kasandra.

Ireneusz Skrobak to największy leser, jakiego znam. Ciężko go wyciągnąć z dyżurki lekarskiej, w której w trakcie godzin pracy ćwiczy swoje bicki – dźwiga hantelki, rytmicznie i powoli. Wszyscy w szafce mają książki, suchy prowiant, bieliznę na zmianę, a on zorganizował sobie mikrosiłownię. Słuchać tylko przez drzwi uh-uh-raz-dwa-uh... Zawsze, jak go proszę, żeby podszedł do pacjentki, zamiast pytać: o co chodzi, co się dzieje, interesuje go, czy jest ładna. Poza tym, że jest seksistowskim burakiem

i stosunkowo młodym ginekologiem – wiedzę ma całkiem imponującą i naprawdę wiele potrafi. Widziałam go kilka razy w takich akcjach, że niejednemu doświadczonemu doktorowi drżałyby ręce, a on z pełnym opanowaniem robił, co trzeba. Mówią, że Irek skrobie. Tutaj, w szpitalu – owszem. Wszystkie legalne terminacje bierze na swoją wypakowaną klatę i sumienie lekarskie. A czy gdzieś jeszcze? W jakimś podziemiu aborcyjnym? Tam, gdzie nie docierają statystyki NFZ-u, GUS-u i innych urzędów... Kto go tam wie?

Dzisiaj na dyżurze towarzyszyła mu równie wielka gwiazda prywatnych gabinetów – Kasandra Pieronek. Kasandra na pewno nie skrobie. W jej przekonaniu życie zaczyna się od poczęcia i należy mu się pełna ochrona. Od stadium zygoty, przez morlulę, gastrulę, zarodek, aż do płodu i porodu! I basta. Nie ma w tej kwestii kompromisów. Żal jej kobiet, które chcą przerwać ten cudowny proces, niezależnie od powodów. Nie szczędzi im przy tym subtelnych nieprzyjemności. Traktuje je oschle, bezceremonialnie bada, gnębi.

Skrobak, który słynie z tego, że nie przebiera w słowach, powiedział kiedyś, że Kasandra zmieniłaby zdanie, gdyby w dniu owulacji została zgwałcona przez śmierzącego zbira, zbiegłego z więzienia, i gdyby nosiła w brzuchu ciążę trojaczą, w dodatku uszkodzoną, z wadami letalnymi, a sama straciłaby pracę i wszelkie świadczenia. Nawet tak zarysowana sytuacja nie złagodziła jednak jej podejścia. „Co bym zrobiła? Urodziłabym”, twierdziła, z pełnym przekonaniem, bez cienia wątpliwości. On machał tylko ręką i rzucał jakiś mało elegancki komentarz na temat stanu jej umysłu.

Nie lubią się ze Skrobakiem. Ona o nim mówi, że jest mordercą, a on o niej – że jest brzydka. Ale jak trzeba współdziałać, na przykład przy stole operacyjnym albo w jakimś nerwowym momencie porodu – dają sobie radę. Widziałam to wielokrotnie.

Godzina 19:03.

Ledwo zaczął się dyżur, a już przywitaliśmy pierwszą rodzącą.

Pierworódka, z bliźniętami w brzuchu, która nie doczekała terminu elektywnego cięcia, wyznaczonego na za trzy tygodnie. Przyszła z odpływającymi wodami i z przerażoną miną. I z mamą.

Mama przy porodzie? To rzadko dobre towarzystwo.

Czasem, naznaczona własnym doświadczeniem, „mędrkuje”. Rodziła, więc się zna! Poucza cały personel i co gorsza – własne cierpiące dziecko. Matki bywają beznadziejnie okrutne, turpistyczne i mało wspierające.

Boli? Jeszcze zobaczysz, jak się rozkręci!

Czy ty nie możesz się jakoś zachowywać?

Widziałaś, jakie ta położna ma odrosty?

A czemu ty sobie tych pięć nie wypumeksowałaś przed rodzeniem?

Różne rzeczy słyszałam z ust matek.

Ta tutaj wydawała się całkiem miłą, choć przez jej teatralny makijaż ciężko było odgadnąć charakter. Wachlowała córkę „Zwierciadłem” i precyzyjnie odliczała czas między skurczami, z dokładnością co do sekundy. Liczenie czasu to bardzo relaksujące zajęcie dla osoby towarzyszącej. Jej najwyraźniej było takowe potrzebne. Sprawiała wrażenie nieco nerwowej i nadgorliwej. Na szczęście na sali cięciowej nie ja będę musiała zarządzać jej obecnością.

Czy będę przy swoich córkach, kiedy będą rodzić? Jeśli tylko mnie o to poproszą – oczywiście. Nie mam osobistych doświadczeń, jeśli chodzi o porody, ale nie będę się mądrzyć, pouczać, nic nie będę gadać.

Będziemy z Alą czekać na wnuki i modlić się, żeby wszystko było dobrze.

Zaraz za dubletową ciężarną i jej matką wbiegła tleniona blondynka na astronomicznych koturnach, z pikowaną torebką za grube tysiące – z wielkim symetrycznym znaczkiem Chanel. Marzę, żeby kiedyś kupić taką Ali.

Blondynka zrobiła takie zamieszanie, jakby co najmniej to ona rodziła.

– O, rety! Ale jestem podekscytowana! Zaraz zostanę ciocią! – zawołała do obiektywu swojej komórki i szybko wrzuciła filmik na snapchata.

– A ta panusia to kto? – spytała Mariolka.

– Roxy! – powiedziałam od razu. – Roxy we własnej osobie!

– Jaka Roxy? Co za Roxy?

– Piosenkarka. *Nie będę twoja, jeśli nie zrozumiesz, jak spełnić moje sny...* – zanuciłam. – Nie? To może to: *Ile we mnie mnie, nie dowiesz się, o jeee, je, je...* OK, nieważne – zrezygnowałam, widząc w oczach Mariolki rosnące zdumienie. – Moje córki śledzą Roxy i jej sceny z życia celebryckiego, na snapchacie. Słuchają też jej muzyki, więc trochę znam... No nie patrz tak na mnie!

– Myślałam, że twoje córki mają bardziej wyszukany gust muzyczny. Starsza chyba chodzi do szkoły muzycznej, prawda?

– U nas w domu panuje szeroko pojęta otwartość. – Uśmiechnęłam się. – Na każdą muzykę, nie tylko poważną.

– Zaraz zabiorą ją na cięcie! – relacjonowała Roxy. – Rozkroją jej brzuch i wyciągną Joachima i Alojzego. O, matko! Chłopaki trochę się pospieszyli, ale jestem pewna, że dadzą sobie radę na tym świecie!

Wypełniłam papiery Michaliny, która wspierana przez mamę i siostrę dzielnie znosiła skurcze i perspektywę operacji, do której ją szykowaliśmy w uzasadnionym pośpiechu.

– W tym miejscu proszę podpisać upoważnienie najbliższych osób, które możemy informować o stanie zdrowia pani i pani dzieci.

– Mama. Upoważniam mamę.

– A ja?! – oburzyła się Roxy.

– I siostrę. Upoważniam też siostrę.

– Dobrze. – Podałam jej dokumenty do podpisu, a sama zadzwoniłam po Skrobaka, żeby mu powiedzieć, że za chwilę pacjentka będzie gotowa do cięcia. – Tak, Irku, gotowa. Nie pytaj mnie, czy ładna! W karcie ciąży są twoje pieczątki i podpisy, więc powinieneś kojarzyć.

– Chcę być z Miśką na tej całej cesarce – zadeklarowała Roxy, malując usta błyszczkiem, przed kolejnym ujęciem na snapchata. – Mogę? Mama raczej się nie nadaje. Jest zbyt przejęta... A tatuś dzieci, jak pani widzi, nieobecny... Szkoda gadać!

– Oczywiście. Jeśli tylko rodząca się zgadza – powiedziałam. – Proszę tylko przeczytać i podpisać, że rozumie pani zasady panujące na sali operacyjnej.

Podpisywała, a ja na końcu języka miałam prośbę o autograf. Tak „przy okazji”, skoro już trzyma długopis. Ale chwilowo miałam przy sobie tylko papier zapisany kardiografem macicy z bliźniętami, a chyba na tym nie wypadało składać autografów.

Może później, kiedy Roxy będzie odwiedzać siostrzeńców, przyjdę z płytą i poproszę o dedykację dla Olgi i Basi.

Dokumenty były prawie gotowe. Michalina zapozowała razem z siostrą i mamą do ostatniego wspólnego selfie z wielkim brzuchem.

– Będzie na Instagram! – zawołała entuzjastycznie Roxy.

W trakcie, gdy obrabiała zdjęcie, kadrowała i przepuszczała je przez bajeczny filtr, w drzwiach stanął

chłopak, śliczny facet. Brunet. Niebieskooki. Perfekcyjna sylwetka i drogie ciuszki. Na pierwszy rzut oka – gej, ale mimo przyjaźni z wieloma homoseksualistami czasem się mylę. Co do niego najwyraźniej również się pomyliłam.

– Co ty tu, do cholery, robisz? Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy? – spytała oschle Roxy.

– Jak to skąd? Z twojego durnego snapchata – odparł, ignorując celebrycką siostrę swojej partnerki, mniej lub bardziej aktualnej. – Chcę przy tym być. Chcę być przy narodzinach moich synów – dodał ze stanowczością. – Miśka, ja... Nie chcę, żebyś myślała, że ja uciekam, choć rzeczywiście zniknąłem na trochę, ale właściwie... ty też uciekałaś. Ani że jestem nieodpowiedzialnym dupkiem, choć pewnie jestem, na wiele sposobów, ale ta cała ciąża to jedna wielka nieodpowiedzialność – pozwolę sobie dodać, że to w dużej mierze twoja nieodpowiedzialność. Pomijając wszystko, ja, tym razem, spróbuję, żeby... to zadziałało. Moje rodzicielstwo, a może nasz związek... – Głos mu się łamał. – Pozwól mi być!

Oczy Michaliny zapełniły się łzami.

Roxy oddała chłopakowi zestaw jałowych ciuchów na salę cięciową.

– Masz – powiedziała. – Masz, tatuśku!

– Rozmiar M. Może lepiej wymienię panu na większy – zadeklarowałam.

– Ja tak strasznie się boję – jęknęła ciężarna. – Nie chciałam, żeby to tak wyglądało. Wszystko jest nie tak! W dodatku w pracy już mi się rozpanoszyła ta koleżanka w zastępstwie i już mnie doszły słuchy, że zaproponują mi przeniesienie na rynek rumuński, zaraz po powrocie, a jak odrzucę tę propozycję, to na pewno mnie zwolnią!

– Nie mogą...

– Wszystko jest nie tak...

– Wszystko będzie dobrze.

Michalina rozryczała się rzewnie.

Zespół sali cięciowej poganiał.

– Dajcie im jeszcze dwie minuty. To ostatnie dwie minuty, kiedy są tylko we dwoje – szepnęłam do instrumentariuszki, a ta wzruszyła ramionami. – Minuta, proszę...

– Jak Irek zejdzie, to się wkurzy, że musi czekać – oznajmiła kierowniczką bloku.

– No to się wkurzy. – Wzruszyłam ramionami.

Tymczasem Michalina przytulała przystojniaka, który próbował odnaleźć się w swojej roli najlepiej, jak potrafił.

– Tylko błagam cię, Miśka... Joachima przeżyję, ale pozwól mi nazwać mojego drugiego syna jakoś bardziej współcześnie.

– To nie jest twój drugi syn. Masz jeszcze jednego – w Stanach, przypominam ci... – mówiła zboląta ciężarna.

– Tak, wiem, wiem... Może Alex? Albo Brajan? Hmm?

– Tak, moi drodzy, to już blisko! – relacjonowała podekscytowana Roxy. – Niestety z łoży tego wiekopomnego wydarzenia wygrzył mnie nieoczekiwanie ojciec dzieci, ale... może to i lepiej?

Godzina 19:55

– Dzień dobry. Przyszłam zmierzyć pani ciśnienie. Jak się pani czuje? – spytałam wychudzoną dziewczynę z baby bluesem widocznym w gestach i niebieskich oczach. Obok niej w łożeczku leżała słodka dziewczynka. Spokojniutka, bardzo drobna, nieco hipotroficzna, ale noworodkarze nie czepiają

się jej zbytnio i jutro chcą ją z mamą wypuścić do domu. – Karmi pani?

– Tak... Dostała butlę... – westchnęła zrezygnowana położnica, Maja, matka samotna już na starcie macierzyńskiej drogi.

– Chodziło mi o... Hmm. – Chwilowo zaprzestałam walki o karmienie naturalne, na które najwidoczniej nie miała ochoty.

Usiadłam obok. Podniosła na mnie oczy, wystawiła szczupłe ramię, które owinęłam mankietem.

– Kto dziś ma dyżur? Doktor Irek?

– Tak. Doktor Ireneusz Skrobak i Kasandra Pieronek.

– I nie zajrzał do mnie?

– Z pewnością zajrzy zobaczyć, jak się pani czuje, ale teraz ma pełno pracy na izbie, więc...

Ona i ten cały Irek przez krótką chwilę byli razem. Gdzieś w okolicach połówki ciąży Irek wycofał się nieelegancko z tej znajomości. „Naprawdę sukinsyn z ciebie”, powiedziałam mu wtedy. „Rozumiem, że bzykasz, co popadnie, nie jesteś stały w uczuciach, a chyba nawet nie jesteś zdolny do prawdziwego kochania. Zrobiłeś kobiecie dziecko, a teraz ją zostawiasz?! To bezduszne, zupełnie beznadziejne!”. Wzruszył ramionami i kazał mi się odczepić, nie wpierdalać i jeszcze inne rzeczy mi kazał. Nie przestałam go opieprzać. Zamknął mi usta dopiero informacją, że brzuch Majki to nie jego sprawa i nie jego sprawa. Nie on jest ojcem i choć przez chwilę pomyślał, że stan Majki mu nie przeszkadza, mylił się. Nie chce być niczym tatusiem – ani biologicznym, ani przyszywanym.

Biedna dziewczyna, pomyślałam wtedy. Biedna dziewczyna, pomyślałam teraz, gdy patrzyłam na jej smutek i rezygnację.

– Dziewięćdziesiąt osiem na sześćdziesiąt pięć – powiedziałam, wypinając mankiet. – Myślała już pani, jak nazwie córeczkę?

– Nie – odparła, wracając do przeglądania komórki, którą była bardziej zainteresowana niż leżącym obok maleństwem.

– Muszę jeszcze pobrać pani krew. Przyjdę za godzinę, dobrze?

– Mhm.

– Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę wołać.

– OK – podniosła na mnie wzrok. – Mogłyby panie wziąć ją na chwilę do siebie? Chciałabym się zdrzemnąć.

– Tak. Oczywiście.

Spełniłam jej prośbę z bólem serca.

Godzina 19:59

Na izbie pojawił się Arnold. Rozsunęły się przed nim drzwi automatyczne i wparował do szpitala z ogromną skórzaną torbą, jakby miał tu zostać na kilka dni. Co on tu robi? Może kolejna surogatka rodzi mu dziecko, a ja o niczym nie wiem? Niemożliwe! Wiedziałabym! Arni przyjaźnił się ze mną i z Alą. Wprowadzie intensywne życie, różne sprawy i uporczywy brak czasu sprawiły, że więzi nieco się poluzowały, ale zawsze w krytycznych momentach byliśmy dla siebie wsparciem i pomocą. Byłam przy najważniejszych momentach w jego życiu: przy nieformalnym ślubie z Samem, przy narodzinach jego dziecka, a kiedyś przy stosunkowo późnym coming oucie, gdy okazało się, że nagle z przyjaciela awansowałam do roli najbliższej mu osoby, bo rodzina się nie spisała. Byli zszokowani, niczego się nie domyślali i trudno było im zaakceptować jego wybór (ich zdaniem był to wybór). Potem nieco

złagodnieli, odpuścili nawracanie go na heteroseksualizm, ale bez akceptacji dla niego i dla Sama, i dla tego, co panowie do siebie czują i co robią w łóżku. Ich dzieciątko rodzina również powitała niezbyt wylewnie.

Arni był też ze mną, gdy wyszłam za Alę i gdy powiększała się nasza rodzina.

Dzisiaj, gdy tylko wszedł do izby, od razu odszukał mnie wzrokiem. Nasze oczy się spotkały i widziałam, jak stres go opuszcza. Jego twarz wyrażała ulgę.

– Arni? Co ty tu robisz? – przywitałam go z entuzjastycznym zdziwieniem. – Myślałam, że jesteś na macie... to znaczy na tacierzyńskim i nieprędko zobaczę cię znowu na porodówce.

– Witaj, Elu! Byłem, byłem na błogim urlopie.... Ale Sam mi pozazdrościł i resztę tego przywileju postanowił wykorzystać osobiście. Dziecko zostało z drugim tatą, zresztą i tak musiałem wrócić do pracy, bo szefowa potrzebuje teraz wsparcia, jak nigdy. Jakie to szczęście, że to ty masz dziś dyżur! Adriana rodzi! Pamiętasz, wspominałem ci, w jakiej jest sytuacji. Chciała się do ciebie wybrać, ale w ostatnim trymestrze miała tak napięty grafik, że zanim się spotkałyście – zaczęło się! Za chwileczkę tu będzie! – Uścisnął mnie serdecznie.

– Już jestem. – Za jego plecami wyrosła elegancka postać. Stara, jak na pierwiastkę – młoda, jak na lat czterdzieści kilka, które wskazywała jej metryka. – Miło mi poznać. Adriana. Arnold dużo mi o pani opowiadał – przywitała się ze mną.

Prawdę mówiąc, poza brzuchem żadnych symptomów ciąży ani tym bardziej zbliżającego się porodu nie było po niej widać. Była perfekcyjnie ubrana, umalowana, a ból skurczu demonstrowała zaledwie dziubkiem, jakby pozowała do zdjęcia. Arni coś wspominał, że chciała się spotkać, że to ciąża o skomplikowanej genezie

– Elżbieta jest znakomitą położną – zachwalał mnie głośno. – Odbierała poród naszej surogatki. To do niej cię odsyłałem na konsultacje przed porodem, ale nie miałaś wolnej chwili w kalendarzu.

– Miałam, miałam...

– Tak, tak. Każdą wolną chwilę spędzałaś na spotkaniach z koleżankami. To oczywiście było nieprzekładalne. Nic już nie poradzimy – oto widzicie się, drogie panie, przy porodzie. Może Ela zdąży udzielić ci kilku wskazówek. Jakiś szybki porodowy instruktaż?

Uśmiechnęłam się życzliwie.

– Instruktaż? Szkoła rodzenia w pigułce tuż przed porodem? – zdziwiłam się. – Nie wiem, czy to ma sens. Poprzestańmy może na tym, że poród jest... – O rany, jaka ona stylowa – ...jest... naturalną konsekwencją ciąży i...

– Nasłuchałam się już specjalistów przed ciążą, wystarczy mi na całe życie – przerwała mi Adriana. – Teraz muszę sprawnie urodzić. Miejmy to z głowy. – Uśmiechnęła się chłodno, po czym znów na chwilę złożyła usta w dziubek.

– Skurcz? Z moich obliczeń wynika, że się zagęszczają. Są co trzy minuty! – oznajmił Arnold. – Chyba nie uda ci się już porozmawiać z C.O. z UK przed rozwiązaniem...

– Zdążymy! Dlaczego nie? Jest tu jakieś miejsce, gdzie można w ciszy porozmawiać? – Lodowata postać ciężarnej zwróciła się w moją stronę.

– Ee, mmm... – Próbowałam zebrać myśli, dziwnie onieśmielona. – Tutaj raczej trudno o ciszę, ale jak wjedziecie na pierwsze piętro, to z pewnością będzie można usłyszeć swoje myśli i spokojnie zadzwonić... W sali lawendowej powinno pani być komfortowo – powiedziałam całkiem składnie. – Pójdę tylko sprawdzić, czy jest wolna.

– Musi być. Cena nie gra roli – padła rzeczowa odpowiedź, już za moimi plecami.

Wróciłam po chwili, żeby potwierdzić z ulgą:

– Wolna. Płatne przy wyjściu ze szpitala, dwieście pięćdziesiąt złotych za dobę.

– Świetnie. Arnoldzie, moje bagaże wniesiesz później, a teraz przejdźmy już, proszę, gdzieś, gdzie da się porozmawiać, bo sytuację z Anglikami chciałabym mieć za sobą jeszcze bardziej niż poród.

– E... Mhh... Ale... – próbowałam przebić się z kwestiami formalno-merytorycznymi.

– Tak?

– Przyszła tu pani urodzić, więc chciałabym spytać o kilka rzeczy i panią zbadać.

– Teraz?

– Pani Adriano, pani rodzi. Tak, teraz. Musimy się nastawić na współpracę. Pani umysłu z ciałem, pani z dzieckiem, ale też pani ze mną.

– Dobrze – Zgodziła się Adriana, naprawdę krępująco elegancka, jak na okoliczności porodu. Narzutka w odcieniu pudrowego różu, pod nią jasna tunika i buty na obcasie. Wszystkie rozlazłe, popękane brzuchy, które przyszły na zapis KTG późną porą, patrzyły na nią zazdrośnie.

– Proszę pytać – zwróciła się do mnie, zdejmując narzutkę.

Na moment zabrakło mi słów, wciąż byłam dziwnie spięta.

– Skurcze są minut co ile...? – zapytałam mało gramatycznie.

– Teraz jest – odparła z niewzruszoną miną.

– Co dwie i pół minuty – doprecyzował Arnold, zerkając na minutnik w komórce. – może jednak przełożymy ten telefon do UK?

– Hmmm. – Adriana się zastanowiła. – A ile to wszystko potrwa?

– Poród czy badanie? – rzuciłam idiotycznie, i tak też się przy niej czułam, nie wiedzieć czemu. To znaczy wiem czemu, ale ze wszystkich sił starałam się nie okazać, jak bardzo mi się podoba. Kocham Alę, jestem profesjonalna, co nie znaczy, że całkiem odporna na kobiece wdzięki. Była piękna! Chłodna. Elegancka. Z klasą. Wręcz perfekcyjna. Podziwianie to przecież nie jest zdrada... – Badanie potrwa kilka minut, a jeśli chodzi o poród – więcej będę mogła powiedzieć po badaniu.

– No tak – zawiesiła się. – Arnoldzie, w takim razie decyzję o telefonie do UK podejmiemy po badaniu, gdy będziemy mieć wstępną estymację czasu, jaki nam pozostał do rozwiązania.

Zbadałam ją. Z niedowierzaniem rozpoznałam pełne rozwarcie, na całe pięć palców, pęcherz zachowany, główka na wchodzie miednicy.

– Nie zdążymy porozmawiać z Anglikami – powiedziałam. – Pani lada moment będzie rodzić.

Chwilę później chlusnęła na mnie płynna zawartość pęcherza płodowego. Główka raptownie przesunęła się niżej i dziecko zaczęło swoją śrubową rotację na ten świat.

Obłożyłam Adrianę turkusowymi serwetami, rozpakowałam jałowy zestaw do rodzenia i zawołałam w kierunku korytarzu, że mam drugi okres porodu na izbie.

W okamgnieniu pojawiła się Kasandra.

– Za chwilę wrócę, tylko odprawię pacjentkę, która domaga się pigułki po...

– Doktor, zlituj się nad nią! Nie odsyłaj jej do domu, tylko wezwij Skrobaka...

– Auuuuuaaa! – jęknęła Adriana.

– Elu, dasz sobie radę? – spytała Kasandra.

– Jasne. Nie wołałam o pomoc, tylko tak informacyjnie, żebyście wiedzieli, co się dzieje – powiedziałam. – Jak dotąd wygląda to na czystą fizjologię, lada moment będzie po wszystkim.

Tunika Adriany umazała się tłusto-krwistą mazią. Rodząca miała bose stopy, jej fryzura od leżenia na lewym boku trochę się zdefasonowała, na czoło wypłynął pot, a do tego przy pierwszym skurczu partym urodziła kawałek kupy, którą szybko sprzątnęłam spod jej krocza. Czysta fizjologia. Arnold wyszedł.

Oddychała rytmicznie, tak jak podpowiadało jej ciało. Wyglądała teraz bardziej adekwatnie do sytuacji, w której była.

Teraz rodziła.

– Coś mnie rozpiera w krzyżu! Aaaa! Aaaaarnoldzie! – zawołała.

– Tak, Adriano? – Arnold wychylił głowę zza futryny uchylonych drzwi.

– O rany! Jeszcze nie chcę rodzić! Neeee... Połącz nas z UK!

– Teraz?!

– Tak, teraz!

– Ale... Ale ty...

– Arnoldzie, dzwoń, nie dyskutuj! Dzwon! Auuu!

– Niech się pani nie wygłupia! – krzyknęłam. Do takiego tonu wycelowanego w swoją stronę raczej nie przywykła. Chyba nikt nie zwraca się do niej w taki sposób. – Pani Adriano, rodzimy. Teraz rodzimy! – dodałam autorytarnie.

– Ale...

– Żadnego ale!

Pokornie rozluźniła miednicę i wzięła głęboki wdech. Arnold ponownie wycofał się z sali.

Poszło gładko. Trzy skurcze parte, śluzówka krocza nawet niedraśnięta, żadnych powikłań.

– Mów coś. Będę musiała coś wpisać do raportu. – Kasandra, ziewając, pojawiła się za moimi plecami.

– Cięża z IVF, transfer dwóch zarodków, przebieg ciąży bez przygód, dzidzius zdrowy... – recytowałam.

– Co?! Mówiłaś, że to czysta fizjologia! In vitro to nie jest fizjologia! – oburzała się Kasandra. – A gdzie mąż?

– Nie ma męża. To dziecko pozamażeńskie, ze spermy dawcy – podsycalam jej obyczajowe zgorszenie.

– Biedactwo. Nie będzie mieć ojca – oburzała się dyskretnie, wprost do mojego ucha.

– Oj, daj już spokój – zachnęłam się, oddając mamie zawinięte w chustę nagie dzieciątko. – Moje dziewczynki też nie mają ojca i jest fajnie.

Świeżo upieczona matka tuliła synka do piersi. Zupełnie spokojnie leżeli sobie w sali lawendowej, do której przenieśli się zaledwie kilkanaście minut po sprawnym, naprawdę pięknym porodzie. Jestem przekonana, że był to jeden z tych porodów pod wpływem magii pełni księżyca.

Adriana odłożyła synka do łóżeczka i przywołała Arnolda.

– Weź, proszę, telefon i zadzwoń do zarządu – powiedziała służbowym tonem.

– Teraz? – zawahał się. – Teraz może odpocznij...

– Natychmiast.

– Ale... Może ty nie potrzebujesz odpoczynku, ale inni ludzie owszem. Jest późno. Myślę, że nikt z zarządu już nie pracuje.

– No tak, racja. W takim razie puść do nich mejla, że od teraz przez najbliższy rok będę na urlopie macierzyńskim, a ty pełnisz moje obowiązki. – Arnold zbladł. – No dobrze. Pół roku – westchnęła, ale mina Arnolda nie uległa zmianie. – OK... Daj mi chociaż trzy miesiące! Ty byłeś już na swoim urlopie rodzicielskim, mnie również należy się trochę sielanki. Chcę się nacieszyć moim dzieckiem!

– Ja... Adriano, oczywiście, ale... Nie będę w stanie i nie jestem gotów przejąć twoich obowiązków. Poza tym Anglicy czekają na twój approval...

– Nie, mój drogi. Jesteś w stanie i jesteś gotów. Od teraz Anglicy niech czekają na twoje decyzje, bo jeśli o mnie chodzi... Nie chce mi się z nimi gadać. Nie teraz. – Uśmiechnęła się błogo i pogłaskała kudłatą, nieco asymetryczną główkę synka, który spał w najlepsze. – Może powinnam założyć mu

czapkę? Mam tu gdzieś taką. – Otworzyła stojący na szafce przy łóżku kuferek, z którego wyciągnęła kawałek naturalnej, mięciutkiej bawełnki, z markowym logo, którą nałożyła maluszkowi. – Czyż on nie jest śliczny? – szepnęła ze łzami w oczach.

– Jest – powiedziałam, rozczulona.

– To pierwszy facet, którego kocham – wyznała ze wzruszeniem. – Dziękuję pani, pani Elżbieto.

W sali lawendowej zapachniało kwitającym macierzyństwem.

Uwielbiam ten zapach.

Godzina 22:37

Na izbę wbiegła bardzo szczupła dziewczyna w stroju maratończyka. Oczekała swoje przy rejestracji, trzymając się kurczowo za brzuch, a gdy nadeszła jej kolej, spytała:

– Czy jest dziś Irek? – Spojrzałyśmy z Mariolką po sobie i rzuciłyśmy jakieś „A o co chodzi?”, bo zabrzmiało to tak, jakby szukała kolegi, a nie lekarza. – Krwawię, pewnie ronię, chcę wiedzieć, czy jest dziś Irek? Jestem lekarzem. – *You have run eight kilometers; left time fifty one minutes, last kilometer eight minutes, nineteen seconds* – wybrzmiała jej komórka, z włączoną aplikacją treningową. – Biegałam i nagle poczułam, że coś mi pociekło po nodze... – Jej broda zaczęła drżeć. – Wczoraj wróciłam z Norwegii, miałam ciężką podróż, bo mieliśmy przymusowe międzylądowanie w Sztokholmie, a dziś... poszłam pobiegać... Nie forsowałam się więcej niż zwykle i... i teraz wszystko skończone!

– Proszę usiąść. – Wskazałam jej miejsce i podałam ligninę, żeby mogła się wytrzeć. – Spokojnie. Ma pani jakieś dokumenty? Irek bada teraz pacjentkę, zaraz będzie, a ja już włączam USG. Zawołam doktor Kasandrę, ona się panią zajmie... Proszę odpocząć – mówiłam spokojnie. – Który to tydzień?

– Jedenasty – powiedziała ze zboląłą miną. – Bardzo długo się starałam, już prawie straciłam nadzieję, a teraz... – W jej głosie słychać było rezygnację. – Strasznie boli mnie brzuch... Nie powinnam była biegać. Nie powinnam była lecieć do tej pieprzonej Skandynawii!

– Spokojnie. Jeszcze nic nie jest przesądzone... – starałam się ją pocieszyć, choć sama nie miałam dobrych przecuć.

USG nie pokazało śladu życia w strukturach, które pewnie jeszcze chwilę wcześniej były rokującym na prawidłowy rozwój płodem. Serduszko stało w bezruchu. Kasandra westchnęła ciężko, wezwała Pana Boga nadaremnie, złapała Gretę za rękę i delikatnym „Bardzo mi przykro” przekazała pacjentce wiadomość, z którą ciężko się pogodzić, z którą ciężko iść dalej, która nie niesie za sobą nadziei.

Wtedy w drzwiach stanął uradowany Irek.

– Co tam słychać, lasencjo? – zapytał po swojemu. – Jak tam twój upragniony dzidzius?

Greta zalała się łzami i nic nie powiedziała. Kasandra pokazała mu obraz USG z zupełnie nieruchomą zawartością macicy.

– Nie ma wątpliwości. Dziecko musiało obumrzeć niedawno, bo wielkość wskazuje na dziesiąty, jedenasty tydzień ciąży, a pani mówi, że jest właśnie w jedenastym tygodniu.

– O rany, Greto... – westchnął Irek. – Nie płacz, maleńka... – Gładził ją po włosach. – Uda wam się, jeszcze raz.

– Aktualnie to nie jest pocieszenie – mruknęła Kasandra, wyłączając aparaturę. – W stanie żałoby po stracie dziecka perspektywa posiadania kolejnych nie przynosi ulgi.

– Uda się albo się nie uda – łkała Greta. – Wiesz przecież, że mam tylko jeden jajnik... A w dodatku

Szymon... On ma fatalną spermę! Nic tam się nie rusza, prawie żadnych plemników zdolnych do zapłodnienia...

– Jak widać, raz się udało. Dzwoniłaś po niego?

– Jeszcze nie. Muszę się zastanowić, co mu powiedzieć. Będzie się czuł winny, że pojechaliśmy na wycieczkę, że pozwolił mi biegać, podczas gdy ja...

– Nie płacz... To nie twoja wina. To nie jest niczyja wina. Po prostu tak się czasem zdarza.

– Podczas gdy ja... – Greta na moment wstrzymała szloch, po czym wyznała: – To nie było jego dziecko. Znalazłam sobie zastępczego dawcę i... – znów zaniosła się płaczem. – I przespałam się z nim centralnie w owulację, bo mój mąż z armią swoich niepełnosprawnych żołnierzy w jądrach był akurat na dyżurze. Poza tym był już tak zniechęcony tym całym leczeniem, że seks, jeśli w ogóle do niego dochodziło, kończył się kłótnią... Pomyślałam więc, że obejdę ten problem w taki sposób...

Kasandra w jednej chwili straciła wobec pacjentki wszelką empatię.

– Koniec tego przedstawienia. Pani nie histeryzuje, szykujemy się do zabiegu – powiedziała tonem komendanta. – Proszę zadzwonić po męża, żeby przywiózł pani rzeczy, i podpisać zgodę na zabieg tu i tu. – Wskazała palcem miejsca na szpitalnym formularzu.

Greta podpisała i zastygła w uścisku Irka.

– Nie płacz. – Skrobak tulił wciąż łkającą Gretę. – Nie mów Szymkowi o tym, jak zaszłaś w tę ciążę. Nic mu nie mów. Zaoferowałbym ci swoją spermę na przyszłe owulacje, ale z niej też nie ma pożytku, bo odciąłem plemnikom drogę na zewnątrz w połowie nasieniowodów. Z pewnością jednak nie będziesz miała problemów ze znalezieniem kolejnego naturalnego dawcy.

Greta na moment przestała płakać.

– Ty to jednak jesteś durny, Irek... – Spojrzała na niego ze zdumieniem. – Naprawdę zrobiłeś to sobie?

Uśmiechnęli się do siebie przelotnie, a potem Greta znów zaczęła chlipać.

– Nic nie mów Szymonowi, dobrze? – poprosiła.

– Będę milczał jak grób. I pani Ela też.

Kiwnęłam głową, szykując zestaw do pobrania krwi przed zabiegiem.

– Pani Kasandra też będzie dyskretna – Irek zwrócił się do koleżanki po fachu, która wciąż nie wychodziła z szoku od nadmiaru bulwersujących informacji, które co chwilę do niej docierały.

Nie kryjąc wzburzenia, oddaliła się do innych pacjentek, rzucając na odchodne:

– Bóg was wszystkich oceni!

Godzina 1:08

– Pobrałaś krew tej pacjentce z ósemki?

– Której?

– Tej ładniutkiej Majce, tej od Irka. Pobrałaś? – spytała Mariola. – Ej, ty, powiedz, to jest dziecko Skrobaka czy nie?

– Nie.

– Tak myślałam. On chyba sobie uciął nasieniowody, tak mówią, więc skąd miałoby to być jego... Ale jak dziewczyny mówiły, że oni są razem i że to jego, już nie wiedziałam, komu wierzyć... Bo przecież różne rzeczy gadają.

– Różne? A o mnie co gadają? – zapytałam.

Mariola, tak jakby czekała na to pytanie, z marszu odpowiedziała:

- O tobie mówią, że jesteś w związku z tą swoją Alą, ale że... Od czasu do czasu tęsknisz za mężczyznami i zapraszacie z Alą do łóżka Skrobaka. – Uśmiechnęłam się na myśl o Skrobaku w naszym łóżku. – Nie zdementujesz tego? – Mariolka uniosła brwi.
- Hmm... Może jestem biseksualna, ale na razie hołduję monogamii – odpowiedziałam z uśmiechem. Mariola wzruszyła ramionami i wróciła do swojej pracy.
- Więc pobierałaś jej tę krew czy nie?
- Byłam u niej po dwudziestej i pobrałam. Zapomniałam odhaczyć w zeszycie.
- Aha. OK. A gdzie ona teraz jest?
- Chyba śpi. Nie wiem, nie zaglądałam już potem.
- Nie śpi. Byłam u niej, chciałam jej zanieść dziecko do karmienia, ale nie było jej w łóżku.
- Może poszła się umyć.
- Pewnie tak. A to jej dziewczątka tak śpi i śpi... Nakarmiłam je godzinę temu i dalej śpi. Może zawieziemy je już mamie do pokoju, co? Niech się oswaja. Jutro mają wyjść do domu i będą musiały sobie radzić same.
- Dajmy jej jeszcze trochę spokoju. Idę na izbę. Po drodze zajrzę do ósemki i sprawdzę, czy śpi.

Po Majce zostało wymięte łóżko, pobrudzone płynami połogowymi, i zestaw naczyń z napoczętą kolacją. Zabrała wszystkie swoje rzeczy. Poszła sobie.

Znalazłam w dokumentacji jej numer telefonu.

Nie odpowiadała. Pięć sygnałów. *Tu Maja, zostaw wiadomość po sygnale.*

– Witam, z tej strony położna Elżbieta. Pani Maju, szukamy pani, martwimy się, proszę o jakiś kontakt. Z pani córeczką wszystko dobrze. Dziękuję... Ymm. Proszę do nas zadzwonić na numer, z którego dzwonię.

Osoba do kontaktu – nie było takiej w dokumentacji.

Ojciec dziecka – wpisany niejaki Olaf, ale na niego też nie zostawiła żadnych namiarów.

Kto by przypuszczał.

Dziecko Majki zaniósło się głodowym płaczem, więc wzięłam je na ręce i poszłam do dyżurki lekarskiej.

Irek drzemał.

– Ty, Irek... – obudziłam go. – Ta Majka chyba sobie stąd poszła na amen.

– Bez wypisu? Co ona taka niecierpliwa? Jutro byśmy ją wypisali do domu i cacy...

– Taaa... Ale ona... zostawiła dziecko.

– Nie pier... Co ty?

Pokazałam mu zawartość becika i wzruszyłam ramionami. Zerknął na małą, uspokojoną lulaniem. Przy kołysaniu na moment zapomniała chyba o głodzie.

Irek wziął komórkę i wybrał numer. Pięć sygnałów. *Tu Maja, zostaw wiadomość po sygnale.*

– Maju, gdzie ty, do cholery, jesteś? Brawo, dziewczyno! Ślicznie, że donosiłaś i urodziłaś, ale na tym twoja rola się nie kończy. Dziecko potrzebuje mamusi, więc weź ten swój zgrabny tyłek i zawróć tu natychmiast! No! Daję ci godzinę, a jak nie, to dzwonię po Olafa!

Trzymałam na rękach tę małą i znów przyszło mi to do głowy.

Kiedyś, przed laty, trzymałam tak Basię, porzuconą przez jej biologiczną mamę. Mama miała naście lat, ale więcej oleju w głowie niż niejedna dorosła. Jeszcze w szpitalu zrzekła się praw, płakała strasznie, ale mówiła, że robi to dla dziecka, a nie wbrew niemu. Mieliśmy z mężem przetartą ścieżkę adopcyjną – wychowywaliśmy razem Olgę, więc proces przyjęcia Basi do naszej rodziny poszedł gładko. Zaledwie

po dwóch miesiącach Baśka była z nami.

Marzyłam o pięknej, pełnej rodzinie. Nieszczęśliwie męża już z nami nie ma. Przerosło go wszystko. Korporacyjny dryl pracy, rodzicielstwo, niespodziewana choroba płuc i ta beznadziejna bezpłodność, która mimo że mieliśmy przecież dwoje pięknych dzieci, wciąż była tematem naszych rozmów... Uważał, że mimo dwóch adoptowanych córek nigdy nie będę się czuła spełniona jako matka. Że z pewnością marzę o tym, żeby być po drugiej stronie fotela porodowego. Że skoro ja mogę, a on nie może, to na pewno prędzej czy później go zostawię. I jego szef go zdegradował. I jeszcze ta rozedma płuc... Głupi był w tym swoim myśleniu.

Sam zdecydował, żeby skończyć swoje życie. Wypadł z drogi. Zasnął za kierownicą – napisali w raporcie policyjnym, ale ja byłam prawie pewna, że nie zasnął.

Zostałam sama z dwójką małych dzieci i byłam na niego bardzo, bardzo zła. Miałam ochotę udusić go gołymi rękami i z pewnością zrobiłabym to, gdyby żył.

Ale nie żył. A wraz ze swoim odejściem zafundował mi masę problemów, których nie byłam w stanie sama udźwignąć.

Gdyby nie Arnold... Gdyby nie jego pomoc... Nie było mi łatwo.

Wkrótce w moim życiu pojawiła się Ala i to właśnie z nią udało mi się stworzyć rodzinę, piękną i pełną – o której marzyłam. I wbrew temu, co sugerują plotki, nie tęsknię za facetem w łóżku.

Ta mała dziewczynka powinna mieć jakieś kwiatowe imię. Może Róża? Tak ślicznie pachniała... Tak bardzo chciałabym jej szczęścia.

– Trzeba było ją wyskrobać – utyskiwał Irek. – Jak Majka do mnie przyszła niezdecydowana...

– Przestań! – przerwałam mu. – Tylko na nią spójrz. Śliczny dzieciak, miliony par czekają na takie чудо...

– Mhm... Trzeba było wyskrobać. Wydawało mi się, że Majka jest silniejsza...

– Cicho! Była wystarczająco silna, żeby urodzić. Zabrakło jej siły, żeby wychować. Zrobi to ktoś inny. Ciiii... Śpij, malutka... Śpij, kruszynko... Ciii... – Tuliłam ją mocno. – Może jeszcze tu wróci, co? Znasz tego Olafa? Już minęła godzina...

Godzina 6:12

– Tu izba przyjęć, w czym mogę pomóc? – wyrecytowałam na wdechu, kryjąc przeciągłe ziewnięcie.

– Yyy, yyy, najlepiej, jakby tu pani szybko przyjechała, karetka już jedzie, ale, ale... wydaje mi się, że może nie zdążyć! – usłyszałam zupełnie nieopanowany męski głos.

– Ale o co chodzi?

– Moja żona rodzi! Jest w trzydziestym ósmym tygodniu i jesteśmy za Warszawą. Miała mieć cięcie, ale... o rany... od rana tak ją coś pobolewa co chwilę w dole, myślała, że to skurcze przepowiadające, bo tak w internecie wyczytała, a teraz mówi, że jej się chce kupę, i wsadziłam ją do auta, ale kazała mi się zatrzymać i stoimy, bo nam pękła guma, i cały czas nie widzę tej karetki, a ona bardzo chce to cięcie i... O rany!

– Jestem z panem... – mówiłam, słysząc w tle jęki, znane mi z codziennej pracy. – Czy to jej pierwszy poród?

– Yyy... Tak. Nie... To znaczy... była cztery razy w ciąży, ale to nasze pierwsze dziecko będzie... To znaczy... O rany! Agatko, oddychaj spokojnie! Tak jak czytałaś w internecie!

– Spokojnie, wszystko będzie dobrze – powiedziałam, choć wcale nie byłam spokojna. Cztery ciążę

i pierwsze dziecko – to śmierdziało patologią. Ale może będą mieli szczęście, może to będzie fizjologiczny poród, może jednak zdążą tu dotrzeć... – Spokojnie. Będzie pan musiał zbadać żonę. Czy czuje pan główkę dziecka?

– Nie tylko czuję! Ja ją widzę! – krzyknął chłopak. – O rany! Takie kudłate coś się pojawiło... Co mam zrobić?

– Proszę położyć na główce obie ręce i delikatnie przytrzymywać, ona się sama wytoczy. Karetka już jedzie.

– Mam ją... O rany, jest cała główka... O rany... Jesteś dzielna, Agatko! O rany...

W tle słyszałam syreny karetki i płacz. Płacz dziecka. Brzmiał zdrowo. I donośnie.

– To mój synek! Słyszysz pani? I co teraz? Co teraz mam zrobić? – spytał roztrzęsiony i wzruszony ojciec.

– Gratuluję panu. Proszę nie ciągnąć na siłę pępownicy, otulić dziecko, można je przystawić do piersi, to szybciej urodzi się łożysko...

– Żona nie chce karmić piersią... To znaczy... Właśnie chyba zmieniła zdanie i przystawiła go do piersi. Chyba mu się spodobało. O rany... Jaki on jest malutki... Już jest pogotowie... Możemy przyjechać? Ale nie musimy od razu, prawda? On jest taki spokojny przy jej cycuszkę... Wie co dobre! Rany, czy on się nie zatruje tym mlekiem, jeśli ona ma implanty? Jak to jest? Muszę się rozłączyć, bo chcę zrobić Agatce i synkowi kilka zdjęć...

– Czekamy na państwa! Gratuluję!

Godzina 6:23

Na izbę przyjęć wparowała ekscentryczna dziewczyna z dwójką maluchów przy boku. Kręciły się jak bączki na podłodze pokrytej linoleum, a potem rozbiegły się we wszystkie strony świata, mimo że stron świata mamy cztery, a ich było zaledwie dwoje. Percepcja zmysłów nie nadążała za ich ruchem. Dziewczyna też chwilowo straciła nad nimi panowanie.

– Potrzebuję pomocy – powiedziała, opierając się o naszą konsolę. – Dobrze trafiłam? To izba przyjęć, prawda?

– Tak. Położniczo-ginekologiczna. W czym mogę pomóc? – spytałam.

– Tak się składa, że... – ściszyła głos – ...usiadłam na zabawkę i totalnie rozpieprzyłam sobie krocze. – Przez każde kolejne słowo przebijająca desperacja.

– Yyy, mmm, hmm... Na zabawkę?

Irek, który kręcił się na izbie między gabinetami, parsknął śmiechem.

– A co to była za zabawka? – zapytał głośno. – Może nieprawidłowo jej pani użyła? Zwykle takie zabawki mają dość ergonomiczne kształty, ale może ta była jakoś wyjątkowo agresywna...

– To była zabawka dzieci! Taka metalowa, z prowadnicami do klocków! Z Ikei! Nie nadążam za nimi sprzątać i po całym domu walają się te ich graty... Chciałam usiąść na podłogę, żeby naciągnąć Ani rajtuzy, i z impetem usiadłam na metalowy poprzeczny pręt. To nie jest ani trochę śmieszne!

Irek spoważniał.

– To bardzo ciekawa historia – przyznał. – Mocno panią poturbowało?

– Ciociu? Czy długo tu będziemy?

– To nie są pani dzieci? – spytałam.

– Nie. Mojej siostry. Niebawem rodzi i obiecałam na jakiś czas zabrać do siebie jej starszaki. Ma ich czworo i ledwo żyje.

– Dobra z pani ciocia. – Irek uśmiechnął się. – Zapraszam ciocię na fotel, a te maluchy...

– Ja się nimi zajmę – zadeklarowała Mariolka i dała młodym po długopisie i kartce. – Narysujcie tu, hmm... Może las? Albo swoją rodzinę? – wykazywała się pedagogicznie.

– Wygląda na powierzchowne pęknięcie. Jest wprawdzie mały krwiatek, ale z pewnością się wchłonie. Nawet nie będę tego szyl. – Ireneusz ściągnął rękawiczki. – Musi pani to odkażać i wietrzyć. Nic więcej. Na przyszłość proszę uważać... khem... na co pani siada. I niech pani odda te dzieci matce, bo najwyraźniej ich zabawki są dla pani niebezpieczne. Szkoda, że w instrukcjach nie podają górnej granicy wieku, prawda?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Chciałabym już je oddać, ale nie mogę. Mają taki parszywy układ, że bez pomocy...

– Ciociu, ciociu, zobacz! – Dziewczynka podbiegła do niej i wręczyła jej kartkę. – To rysunek dla mamy. Jak do niej pojedziemy, to jej damy. Narysowałam całą naszą rodzinę. Tu jest mamusia, tu jesteś ty, ciociu, tu jestem ja, tutaj Marysia, Antoś i mała Helenka, a obok najmłodsza, nowa dzidzia.

– Śliczne, kochanie – powiedziała z uznaniem Gracja. – Naprawdę pięknie! A gdzie jest tata?

– Jak to gdzie? W pracy.

Godzina 6:52

– Witam! Przywiozłem mamę z noworodkiem z porodu ulicznego. Adres narodzin: trasa S8 – powiedział ratownik w czerwonym uniformie. – Dziecko ma się dobrze, mama też. Tata zaraz dojedzie. Prawdę mówiąc, po tym wszystkim wydawał się być w największym szoku. Taki poród z rana! To cud boży!

Twarz Kasandry ożywił pobożny uśmiech.

– Tak, a jakby się spierdoliło, to by była kara boska – szepnął do mnie Skrobak. – Dajcie tę matkę z ulicy, obejrzę ją. Jestem już ledwo przytomny, ale może jej krzywdy nie zrobię oglądaniem, skoro sama zdołała urodzić... Która jest w ogóle godzina?

Ratownik spojrział na zegarek.

– Prawie siódma – oznajmił, ziewając szeroko. – Ja też już kończę dyżur. Jeszcze tylko zjedziemy do bazy i...

– Staszek? A co ty tu robisz? – spytała pacjentka, z rysunkami, kartą wypisową i dwójką dzieci przy boku.

– Ja co tu robię? Ja tu pracuję! Co ty tu robisz? I co tu robią moje dzieci?! – Ucałował dzieciaki, natychmiast przejmując je w swoje silne ramiona.

– Miałam mały wypadek. Usiadłam na zabawkę, bardzo niefortunnie, krew się lała i nie miałam pomysłu, co zrobić, więc tu przyjechałam.

– Usiadłaś na zabawkę?! Opiekujesz się moimi dziećmi i w międzyczasie zabawiasz się zabawkami? Zawsze miałem obiekcje co do twojej zdemoralizowanej osoby, ale tym razem przesadziłaś!

– Usiadłam na zabawkę... Zresztą! – oburzyła się Gracja. – Myśl sobie o mnie, co chcesz! Mam już dość! – Szybko ucałowała dzieciaki. – Kończysz dyżur, powiadasz? Z przyjemnością dziś odpocznę. Miłego dnia! – Odwróciła się na pięcie.

– Ale... Gracja! Zaczekaj! Mam dziś zajęcia w szkole pierwszej pomocy... Honorata ledwo chodzi i ma rwę kulszową! Ej! Co ja mam z nimi zrobić?

– Przestać je masowo produkować, ty bezduszny dzieciarobio! – Krzyknęła przez ramię na cały korytarz.

– Nie rób scen! O dziesiątej mam pracę! Odwiozę je karetką do bazy, a potem do Honorki! – odgrażał się facet w czerwonym uniformie, totalnie bezradny. – Gracja zatrzymała się w drzwiach izby i pokazała mu środkowy palec. – Ej! – jęknął. – Sorry! No przepraszam!

Wzięła głęboki oddech, przewróciła oczami i powoli wróciła.

– Ostatni raz – wycedziła, biorąc na ręce młodszą pociechę. – Idziemy, Aniu. A ty, skoro masz czas do dziesiątej, pojedziesz i zrobisz zakupy. I pamiętaj: ostatni raz!

– Odnotuj, żeby przy następnym porodzie podwiązać jego żonie jajowody – powiedział Skrobak do Kasandry, która wypełniała zaległe papiery.

– Sam się podwiąż! – fuknęła. – Żebyś nie powielał sobie podobnych na tym świecie!

– Cóż za cięty język, Kasandro. Nie poznaję cię.

– Jakie to szczęście, że już kończymy dyżur. Nienawidzę cię, Skrobak.

– To bardzo niechrześcijańska postawa wobec bliźniego.

– Zamilcz! Idę przygotować raport, a ty zobacz, co u tej kobiety po cesarce. Spionizuj ją, jeśli będzie gotowa.

– Się robi.

Stałam, ubrana już po cywilnemu, w progu sali numer osiem.

Dziecko Majki trzymała w ramionach jakaś ruda kobieta, z nadmiarem włosów. Obok niej stał łysy facet. Rozmawiali z lekarką, która coś im tłumaczyła. Ta ruda zdawała się całkiem ogarnięta, jeśli chodzi o dzieci. Becik z dziewczynką trzymała zdecydowanie, pewnie i dyrygowała łysym, krążącym obok:

– Podaj mi smoczek, zamknijcie to okno, bo przeciąg, no, przygotuj ten fotelik, ruchy!

– Dziecko należy karmić co trzy, cztery godziny, wybudzać w nocy na karmienie, bo ma lekki niedobór masy, pupę smarować, witaminę K i D podawać... – trajkotała neonatolog, jakby obsługę noworodka dało się sprowadzić do krótkiej instrukcji.

– Niech mi pani nie mówi, co mam robić – weszła jej w słowo ruda. – Mam troje własnych dzieci, jestem lekarzem i z pewnością sobie poradzę z kolejnym noworodkiem. Olaf, czy ty mógłbyś sprawnie wypełnić te papiery i zejść na parking nagrzać samochód. Żółta jest trochę. Fizjologiczna żółtaczka? Skontrolować jej jeszcze bilirubinę za kilka dni? Urodzona w trzydziestym szóstym tygodniu? Świetnie! Będzie miała refundowane pneumokoki! Olaf! Proszę, podaj mi pieluchę tetrową i idź już nagrzać ten cholerny samochód, bo to dziecko się wyiębi! Dziecko... Trzeba je jakoś nazwać i ochrzcić prędko! Zadzwońię do ojca Alfreda. A ty idź już do tego auta, bo się guzdrasz strasznie! Może Judytka? Hmm?

Uspokoiliam się na ten widok.

To była długa, ciężka noc.

– Już po dyżurze? – Ala zadzwoniła, gdy tylko wyszłam ze szpitala.

– Tak. Co tam u was?

– Dobrze. Dziewczynki w szkole, wszystko w porządku. Basia mówi, że jednak odda te srebrne baletki, bo ją cisną, a Olga nie chce iść do szkoły muzycznej. Ani dziś, ani nigdy. A jak ci smakowała sałatka z mango?

– Smakowała...

Nie smakowała. Byłam tak zaganiana, że nie zdążyłam jej zjeść. Dopiero teraz, nad ranem, gdy

adrenalina odpuszczała, poczułam ogromny głód.

– A u ciebie, jak tam? Dużo dzieci się urodziło? Jakies fajne porody?

– Kilkoro, nie tak dużo... Fajne porody... Dyżur jak zawsze... – westchnęłam, starając się zostawić jak najwięcej emocji w budynku, z którego właśnie wyszłam.

Pytania do dyskusji

1. Czy decyzja o świadomym samotnym macierzyństwie to przejaw egoizmu czy heroizmu?
2. Ojca się nie wybiera! Wybrała Ci go matka. Czym się kierują kobiety, wybierając mężczyzn na ojców swoich dzieci?
3. Czy istnieje instynkt ojcowski?
4. Prokreacja naznaczona licznymi niepowodzeniami. Walczyć do upadłego czy odpuścić? Kiedy w ogóle nie powinniśmy decydować się na dzieci (względy medyczne, społeczne, psychologiczne)?
5. Ginekolog, położna, doula, duchowny, embriolog, dawca komórek rozrodczych, surogatka – czasem do powstania człowieka potrzeba więcej niż tylko ojca i matki. Jaki powinien być status prawny tych osób, skoro biorą udział w procesie prokreacji?
6. Zdrowie reprodukcyjne: czym jest? Profilaktyka niepłodności, profilaktyka nowotworów, profilaktyka zakażeń, bezpieczeństwo życia seksualnego, opieka w ciąży i podczas porodu, edukacja w obszarze funkcjonowania własnego ciała, dostęp do antykoncepcji, prawo do bezpiecznej aborcji – które z tych obszarów są najważniejsze?
7. Prokreacja – sprawa prywatna czy publiczna? Na ile polityka ingeruje w nasze plany prokreacyjne? Na ile powinna ingerować?
8. Gwałt to nie tylko seks z bandytą w krzakach ciemnego parku. Jakie są najczęstsze okoliczności tego przestępstwa, kim są sprawcy gwałtów?
9. Odkładanie rodzicielstwa „na potem”. Pieniądze, kariera, wygoda, brak stałego związku. Jakie są motywacje ludzi, którzy nie spieszą się z decyzją o dziecku?

Spis treści

[Ireneusz](#)
[Greta i Szymon](#)
[Agata i Gucio](#)
[Adriana i sperma](#)
[Michalina i Ksawery](#)
[Honorata i Staszek](#)
[Beata i Olaf](#)
[Ela i Ala](#)
[Pytania do dyskusji](#)